

BY ZBUDOWAĆ PRZYSZŁOŚĆ, MUSI ZNISZCZYĆ PRZESZŁOŚĆ



CZARNY
KLUCZ

AMY EWING

AMY EWING

—
CZARNY
KLUCZ
—

Przełożyła
Iwona Wasilewska



Tytuł oryginału: *The Black Key*

Redakcja: Marta Chmarzyńska

Korekta: Urszula Przasnek

Skład i łamanie: Ekart

Photograph of girl © 2016 by Michael Frost

Photo illustration of girl and stone © 2016 by Colin Anderson

Jacket design by Ellice M. Lee

Copyright © 2016 by Amy Ewing. All rights reserved

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo
Jaguar Sp. Jawna

ISBN 978-83-7686-533-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej:

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and blue, while the rest of the word is in a lighter blue color.

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Podziękowania

DLA FAETRY,
CODZIENNIE ZA TOBĄ TEŚKNIĘ.

Rozdział 1

Kiedy pada, Bagno naprawdę cuchnie.

Razem z Raven kulimy się pod umierającym drzewem tuż pod ścianą Południowej Bramy. Wielkie krople deszczu uderzają w kaptury naszych płaszczy i wsiąkają w nie, sprawiając, że gruba tkanina wydaje się miększa. Leje i pokrywający ulicę brud i pył zamieniają się w lepiałe się do butów błoto.

Nie przeszkadza mi deszcz. Chcę odrzucić kaptur i pozwolić kroplom rozpryskiwać się na moich policzkach. Chcę połączyć się z wodą i poczuć, jak spadam z nieba, rozbita na miliony fragmentów. Ale to nie pora, by stać się jednością z żywiołem. Mamy robotę do wykonania.

To nasza trzecia od kilku miesięcy wizyta w Bramie Południowej, od czasu, gdy Hazel została porwana. Termin Aukcji przeniesiono z października na kwiecień, tak więc członkowie Sprzysiężenia Czarnego Klucza, tajnej organizacji skupiającej rebeliantów z niższych kręgów miasta, działającej pod wodzą Luciena, nie ustają w staraniach, by zwerbować kolejnych członków. Gromadzą również broń i materiały wybuchowe, a także próbują zinfiltrować przyczółki arystokracji w zewnętrznych, uboższych kręgach.

Ich starania na nic się jednak nie zdadzą, jeśli nie uniemożliwimy arystokracji ukrycia się za potężnymi murami oddzielającymi Klejnot od reszty wyspy. To zadanie należy do nas. Surogatki są silniejsze, gdy działają razem, a do obalenia niebosiężnego muru będziemy potrzebowały wszystkich dziewcząt, jakie tylko możemy pozyskać. Inaczej nie pozbawimy arystokracji ich głównej ochrony. Inaczej nasi ludzie nie dostaną się do Klejnotu.

Wspólnie z Raven oraz innymi surogatkami, które Lucien ocalił z Klejnotu, Jenną, Olive i Indi, odwiedziłyśmy wszystkie cztery Magazyny. Najgorsza była Brama Północna. Nagi kamień, żelazne drzwi, ponure uniformy i zakaz posiadania jakichkolwiek osobistych przedmiotów. Nie dziwię się, dlaczego Sienna tak bardzo nienawidzi tamtego miejsca. Nie była zachwycona powrotem do Magazynu, ale

potrzebowaliśmy kogoś, kto orientuje się w planie budynku i zna mieszkające tam dziewczęta.

Pokazywałyśmy dziewczętom w Magazynach prawdę. Pomagałyśmy im jednoczyć się z żywiołami i przemieniałyśmy surogatki w coś więcej, w kogoś zupełnie innego. Raven ma niespotykaną umiejętność – potrafi przenieść się w pewne niezwykle miejsce, na szczyt wznoszącego się ponad oceanem klifu. I umie zabrać tam inne dziewczęta. To niesamowity, magiczny obszar, w którym nam podobne natychmiast czują jedność z żywiołami. W trakcie ostatnich miesięcy byłam tam więcej razy, niż mogłabym zliczyć.

Bardzo ostrożnie wybieramy dziewczęta, werbujemy tylko te, które trafią na tegoroczną Aukcję, a więc wsiądą do jadącego bezpośrednio do Klejnotu pociągu. Lucien dostarczył nam listę.

Do Bramy Południowej nie ma tajnego wejścia, takiego jak to, które prowadziło do Sztuby Towarzyszy, w której szkolił się Ash, ale, na szczęście, nie kręcą się tu Gwardziści. Magazyn jest fortecą wybudowaną pośrodku morza żalonych ruder. Bagno okazuje się nawet bardziej przygnębiające, niż pamiętałam. Słony odór błota pod stopami, nieliczne, skarłowaciałe drzewa i rozpadające się domy... Wszystko to krzyczy wręcz: *bieda, bieda* w sposób, którego nie rozumiałam, póki na własne oczy nie ujrzałam Klejnotu.

Nawet Dym i Farma wyglądają lepiej. niesprawiedliwość jest jak celnie wymierzony policzek. Wielka część populacji Samotnego Miasta żyje w skrajnym ubóstwie i nikogo to nie obchodzi. Gorzej: prawie nikt o tym nie wie. Co tak naprawdę wiedzą mieszkańcy Banku albo Dymu o Bagnie? Dla nich to położone daleko miejsce, w którym mieszkają ci, którzy ładują węgiel do pieców, sprzątajają ich kuchnie i służą w ich domach. Nie traktują go poważnie. Nie traktują go jak coś realnego. Dla nich Bagno właściwie nie istnieje.

– Zostały nam tu do wtajemniczenia tylko trzy dziewczyny – mówi Raven. – Za kilka dni pojedziemy do Zachodniej Bramy.

Raven znów przycięła krótko włosy, a jej skryte w cieniu kaptura oczy płoną czarnym ogniem. Nie jest tą samą osobą, która w październiku opuściła wraz ze mną Bramę Południową, ale nie jest również pustą skorupą, którą zabrałam z Klejnotu, cieniem człowieka

poddanym okrutnym torturom Hrabiny Kamienia. Obecna Raven jest kimś pomiędzy. Wciąż śni koszmary o tym, co się działo, gdy tkwiła w klatce, w głębokim lochu Pałacu Kamienia. Wciąż słyszy urywki cudzych myśli i rozpoznaje cudze uczucia. Mówi, że szeptają do niej głosy. To efekt uboczny krwawych eksperymentów, które prowadził na niej lekarz hrabiny.

Na szczęście wrócił śmiech Raven, wróciła również jej kpiarskość, objawiająca się najsilniej wtedy, gdy rozmawia z Garnetem. Raven również codziennie ćwiczy z Ashem, a jej drobne, wychudzone ciało nabrało muskulatury i stało się po prostu silne i smukłe.

Raven spogląda na górującą nad nami wysoką ścianę. Nie ma mowy o wspinaczce, bo powierzchnia kamienia jest idealnie gładka i nie miałybyśmy gdzie zaczepić dłoni i stóp. Całe godziny spędziłyśmy razem z Sil przy stole, debatując nad tym, jak najlepiej dostać się do Magazynów. To Sienna wpadła na najbardziej sensowny pomysł. Nie mogłyśmy wspiąć się na ściany, nie mogłyśmy również przejść przez nie (a przynajmniej nie udałoby nam się tego zrobić cicho i nie wzbudzając niepożądanego zainteresowania).

Mogłyśmy jednak przedostać się dołem.

Moja siła przez ostatnie miesiące znacząco wzrosła. Sienna również jest silniejsza, tak samo jak Indi, surogatka z Bramy Zachodniej. Sienna może połączyć się z Ziemią i Ogniem, Indi jedynie z Wodą. Jak na razie tylko ja i Sil potrafimy zjednoczyć się ze wszystkimi żywiołami. Olive, drobna dziewczyna z Bramy Wschodniej, jako jedyna wciąż ma obiekcje, by korzystać z mocy żywiołów, z którymi może się łączyć, czyli Powietrza i Wody. Wciąż jeszcze używa Augurii. I tylko ona w Białej Róży ma do powiedzenia dobre słowo o arystokracji.

Ale Olive, Indi, Sienna i Sil są daleko stąd, w ceglanym, skrytym w lesie budynku, który przywykłam nazywać domem. Najpewniej śpią już, otulone kołdrami, w wygodnych łóżkach, bezpieczne w nieprzebytej głuszy otaczającej Białą Różę.

– Violet? – odzywa się Raven.

Kiwam głową.

– Jestem gotowa – oznajmiam, zamykając oczy.

Połączenie się z Ziemią jest dla mnie równie łatwe, jak wskoczenie

do gorącej kąpieli. Po prostu staję się żywiołem. Pozwalam mu wypełniać się po brzegi, aż zlewamy się w jedno. Wyczuwam zbite warstwy piachu pod stopami, a moja pierś staje się ciężka. Wystarczy, że poproszę, i Ziemia mi odpowie.

Kop, myślę.

Ziemia w Bagnie jest inna niż ta na Farmie, szorstka, jałowa, chora. Krople deszczu natychmiast wsiąkają w otwierającą się przed nami szczelinę, rozmaczając brudny piach. Sięgam myślą dalej, prosząc Ziemię, by otwierała się głębiej i głębiej, aż wreszcie dosięgam miękkiej, brązowej gleby. Otwarcie przejścia nie sprawia mi trudności, Ziemia z rozkoszą ze mną współpracuje. Kiedy wyczuwam chropawy kamień, wiem, że dotarłam do podstawy muru. Kopię jeszcze dalej. Ściana jest gruba i muszę mieć pewność, że przedostałam się na drugą stronę.

Dziwnie jest jednocześnie mieć świadomość tunelu i stać ponad nim na twardym podłożu. Zupełnie jakbym miała dwie pary oczu, rąk, uszu i nozdrzy. Ciekawe, czy Raven czuje podobnie, słysząc szepty; czy słyszy cudze myśli jednocześnie z własnymi. Wyczuwam, kiedy wreszcie mur się kończy i nade mną pozostają tylko światło i piach. Tunel wznosi się, kiedy rozsuwam ziemię na boki. Wreszcie z cichym westchnieniem przebijam się przez ostatnią warstwę i otwieram się na leżący po drugiej stronie muru dziedziniec.

Po chwili rozluźniam połączenie z żywiołem i otwieram oczy.

Raven intensywnie mi się przygląda.

– Masz strasznie dziwną minę, kiedy to robisz – zauważa.

– Ash uważa, że to piękne. Trochę straszne, ale piękne.

Raven przewraca oczami.

– Ash uważa, że wszystko, co robisz, jest piękne – kwituje.

Ze wszystkich ludzi, którzy pozostali w Białej Róży, zapewne nie śpi tylko Ash. Choć przecież tak wiele razy wyjeżdżałam do różnych Magazynów, on wciąż się martwi. Wyobrażam go sobie na naszym stryszku, jak wpatruje się w listwy na suficie obory i rozmyśla, gdzie jesteśmy, czy nam się udało, czy przypadkiem nie zostałyśmy złapane i kiedy wrócimy do domu.

Ale nie mogę sobie teraz pozwolić na to, żeby dumać o Ashu dumającym o mnie. Spoglądam w głąb ciemnego tunelu.

– Chodźmy – mówię.

Przejście jest wąskie, nie zmieścimy się z Raven obok siebie. Na osypującej się ziemi nie sposób utrzymać równowagę, więc po prostu ześlizgujemy się na dół.

Jakieś dziesięć stóp poniżej muru panuje nieprzenikniona ciemność, w której brniemy przez jakąś minutę, by wreszcie znaleźć się po stronie Magazynu i ujrzeć mętne światło płynące z dziedzińca. Z dołu wydaje się, że od powierzchni dzieli nas całe kilometry.

Wspinamy się po krzywiźnie i jakiś czas później, ubłocone i zdyszane, wyłazimy spod ziemi.

Zaczyna robić się niebezpiecznie. Na ulicach Bagna, nikt poza najbliższymi członkami naszych rodzin by nas nie rozpoznał. Ludzie widzieli nas po raz ostatni, gdy miałyśmy dwanaście lat. Rodzina Raven mieszka daleko na wschód od Bramy, moja zaś na zachód. Ale u mnie w domu nie pozostał nikt poza mamą. Mój brat, Ochre, należy teraz do Sprzysiężenia i pracuje na Farmie. A Hazel, moja młodsza siostra, została porwana przez Diuszesę Jeziora, by zająć moje miejsce w jej pałacu.

Nie. Nie powinnam teraz myśleć o Hazel. Muszę się skoncentrować na zadaniu, bo przecież robię to, co robię, dla niej. Żeby ją ocalić. Ją i wszystkie surogatki.

Wciąż jednak nie umiem się nie martwić. Lucien powiedział, że Diuszesa zawarła porozumienie z Władcą. Zaręczyny. Zaręczyny między synem miłościwie nam panującego a przyszłą córką Diuszesy. Powiedział, że jej surogatka, moja rodzona siostra, jest brzemienna.

Jeśli to prawda, to Hazel jest właściwie martwa. Poród zabija surogatki.

Nie. Potrząsam głową i spoglądam na Raven. Była w ciąży, kiedy uratowałam ją z Klejnotu w grudniu. Przetrwała. I Hazel też przetrwa. Zadbam o to.

Ale teraz mam co innego do zrobienia.

Budynek majaczy przed nami w ciemnościach, odcinając się od ściany deszczu. Wydaje się mniejszy niż wtedy, kiedy tu mieszkałam, choć pewnie dlatego, że tak wiele czasu spędziłam w gigantycznych, pełnych przepychu pałacach w Klejnocie. Poza tym Brama Południowa

to najmniejszy ze wszystkich Magazynów. Północna jest ogromna. Nawet Wschodnia i Zachodnia są większe niż ta. Bramę Zachodnią otacza duży ogród, a w samym jego środku znajduje się solarium. Właściwie tamten Magazyn jest całkiem ładny.

– Chodźmy – szepce Raven.

Wymijamy wielką hałdę ziemi, którą wypchnęłam z tunelu. Później, gdy będziemy stąd znikać, przywrócę ją na miejsce, by zatrzeć nasze ślady. Kierujemy się do cieplarni.

Szklana budowla połyskuje w deszczu. Wślizgujemy się do środka i zdejmujemy kaptury. Raven potrząsa włosami i rozgląda się wokół.

– Jesteśmy za wcześnie? – pyta.

Wyciągam z kieszeni zegarek Asha. Za trzydzieści sekund północ.

– Przyjdą – mówię.

W szklanym budynku jest ciepło, a w wilgotnym powietrzu unosi się woń roślin, ziemi, korzeni i kwiatów. Czekamy, a deszcz stuka o szyby.

Dokładnie pięć sekund po północy dostrzegam zakapturzone sylwetki spieszące ku nam przez dziedziniec. Chwilę później drzwi cieplarni otwierają się i do środka wchodzi grupka dziewcząt, na które czekałyśmy.

– Violet – szepcą niektóre z nich, podchodząc bliżej, by się z nami przywitać.

Na przód wychodzi Amber Lockring i odrzuca kaptur płaszcza. Jej oczy błyszczą.

– Jesteśmy w samą porę – oświadcza z grymasem zadowolenia.

– Właściwie to pięć sekund po czasie – wytyka jej Raven.

Nie przyjaźniłyśmy się z Amber, choć mieszkałyśmy na tym samym piętrze. Raven zdradziła mi kiedyś, że mojego pierwszego dnia w Magazynie Amber nazwała mnie „wariatką”, za co Raven wykręciła jej ramię za plecami i trzymała ją tak długo, póki nie przeprosiła. Nigdy się nie polubiły. Kiedy dostałyśmy od Luciena listę dziewcząt jadących na Aukcję, Raven natychmiast oświadczyła, że to Amber powinnyśmy uświadomić jako pierwszą. Kiedy zapytałam, dlaczego, popatrzyła na mnie zmrużonymi oczyma i oświadczyła:

– Nienawidzi arystokracji tak samo jak ja. A poza tym tylko ona

oprócz mnie nosiła spodnie.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Gdyby tak strasznie się nawzajem nie znosiły, mogłyby się zaprzyjaźnić.

– Przeprowadziłaś je? – pytam.

Amber z dumą wskazuje ciemne sylwetki wciąż kulące się przy drzwiach. Na twarzach dziewcząt maluje się mieszanina strachu i podejrzliwości.

– Tawny, Ginger i Henna. To ostatnie. Tylko tyle nas jedzie na Aukcję.

Pospiesznie przeliczam w myślach. Tylko dziewięć z siedemdziesięciu siedmiu dziewcząt biorących udział w tegorocznej Aukcji pochodzi z Bramy Południowej. I stoją właśnie przede mną.

– Nikt was nie widział? – dopytuje Raven.

Amber prycha pogardliwie.

– Oczywiście, że nie. Może kojarzysz, że robiłam to już wcześniej.

– Świetna robota – mówię.

– Gotowe? – mamrocze Raven.

Robię krok naprzód.

Pora pokazać tym dziewczynom, kim naprawdę są.

Rozdział 2

Nim jednak zdążę otworzyć usta, ktoś się odzywa.

– Violet, co ty... Co... – Ginger potyka się na każdym słowie. Jest najstarszą z przybyłych dzisiaj dziewczyn. Ma szerokie ramiona i burzę marchewkowych włosów. – Co ty tu robisz? – wydusza z siebie i wbija wzrok w Amber. – Co ona tu robi? Mówiłam ci, że nie chcę mieć żadnych problemów.

– Nie marudź – ucisza ją Amber. – Wybrałyśmy cię z konkretnego powodu. Nie chcesz wiedzieć, o co chodzi?

Amber nie należy do najbardziej subtelnych osób, ale Raven nie mogła wybrać lepiej. Nikt nie ma ochoty kłócić się z Amber, a ona świetnie wie, w jaki sposób skłonić dziewczyny do zrobienia tego, co zrobić należy.

– Nie powinnaś być w Klejnocie? – dopytuje Tawny. Ma piętnaście lat i sarnie oczy, w tej chwili tak ogromne, że zdają się zajmować pół jej twarzy.

– Byłam w Klejnocie – odpowiadam. – Ale teraz jestem tutaj, by wam pomóc.

– Pomóc nam? – wcina się Henna. Drobniutka, ma śniadą skórę i czarne włosy skręcone w pierścionki. Coś w niej przypomina mi Hazel i serce kłuje mnie boleśnie. Nie wygląda na przerażoną albo zmieszaną, jest zaciekawiona. – Jak?

– Zobaczysz – odpowiada jej piękna rudowłosa Scarlet i obejmuje dziewczynę ramieniem. – To niesamowite.

– Ćwiczyłyśmy – oznajmia Amber. – Ostatniej nocy Scarlet zrobiła wir w jednej z wanien, a ja stworzyłam w dłoni maleńkie tornado, takie, jak mi pokazałaś, kiedy pierwszy raz tu przyszłyście.

– To cudownie – mówię unisono z Ginger, która z niedowierzaniem rzuca:

– Co zrobiła Scarlet?

– Tylko nie dajcie się nikomu przyłapać – ostrzega Raven.

Amber posyła jej pełne pewności siebie spojrzenie.

– Jesteśmy ostrożne.

Być może powinnam była się obawiać, że mnogość otwartych na żywioły dziewcząt zamkniętych w jednym miejscu okaże się problemem. Ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie. Zauważyłam to po raz pierwszy przy Indi i Olive. Nie doświadczyły tego dziwnego stanu, w którym ja się znalazłam, gdy śniłam i nieświadomie wpływałam na otoczenie. Miały mnie, Siennę i Sil. Tak jakby im więcej z nas się przebudziło, tym kontrola nad żywiołami stawała się łatwiejsza. Jakbyśmy razem tworzyły bezpieczną sieć.

Co za szczęście. Gdyby tak nie było, jakaś biedna, niewinna dziewczyna mogłaby zniszczyć we śnie własny pokój. Trudno byłoby wyjaśnić taki incydent opiekunkom.

– No dobrze, to o co chodzi? – pyta stanowczo Ginger, splatając ramiona na piersi. – Jak się tu dostałyście? Dlaczego nie jesteście w Klejnocie? Po co wyciągnęłyście nas z łóżek w środku nocy?

– Wiedziałam, że z nią będą problemy – mruczy do mnie Amber. Raven chichocze pod nosem.

Biorę głęboki oddech i zaczynam wyjaśniać. Opowiadałam tę historię wiele razy, tak więc gładko mi idzie. Mówię im, co naprawdę oznacza bycie surogatką, mówię o smyczach, o pistolecie ze stymulantem, o upokorzeniu w trakcie wymuszanych przez arystokrację publicznych występów. Mówię o tym, jak jesteśmy traktowane, niczym sprzęty albo zwierzątka. Opowiadam im o Dahlii zamordowanej przez Diuszesę Jeziora ze zwykłej niechęci. Opowiadam również o Raven i o tym, jak Hrabina Kamienia dobierała się jej do mózgu. Raven wychodzi naprzód.

– Wciąż możecie je wyczuć – oznajmia, zachęcając Ginger, by dotknęła jej głowy.

– Co wyczuć? – pyta Ginger.

– Blizny.

Raven ma tyle blizn, że już za pierwszym razem palce Ginger natrafiają na jedną z nich. Dziewczyna cofa się gwałtownie.

– Violet uratowała mi życie – wyjaśnia Raven beznamiętnym tonem. Sięga do kieszeni koszuli i wyciąga z niej zdjęcia. Nie cierpię tego momentu. – Gdyby nie ona, skończyłabym w ten sposób. I was również to czeka, jeśli zostanieie sprzedane na Aukcji.

Wbijam wzrok w zagubiony loczek na czole Henny. Nienawidzę tych fotografii. Byłam ogromnie wdzięczna Raven, gdy zaproponowała, że to ona będzie je pokazywała. Myślę, że wiedziała, jak bardzo boli mnie ich widok.

Na zdjęciach są cztery dziewczyny, wszystkie martwe, o sinych wargach i woskowej skórze. Mają zamknięte oczy, a na ich piersiach widnieją głębokie rozcięcia w kształcie litery v. Lucien wyjaśnił mi, że czasami, gdy lekarz był wyjątkowo zaintrygowany którąś z surogatek, dokonywano autopsji. Nie po to, by określić przyczynę zgonu, ta była już znana. Chciał po prostu zajrzeć do środka, zobaczyć, jak wyglądają nasze narządy wewnętrzne. Bo przecież byliśmy inne...

Henna łapczywie zasysa powietrze, Tawny zaś odwraca wzrok. Ginger pochyla się nad fotografiami.

– One... One są prawdziwe? – pyta.

– Czy to Verdant? – wcina się nagle Henna. Głos się jej łamie. Każda fotografia przedstawia dziewczynę z innego Magazynu. Verdant została sprzedana na Aukcji rok przede mną.

Miny moja i Raven wystarczą za całą odpowiedź. Ginger cofa się, a jej twarz zastyga w maskę przerażenia.

– Ale przecież powiedzieli nam, że arystokraci będą się nami opiekować – wyrzuca z siebie. – Oni... Patience powiedziała...

– Patience kłamała – kwituję.

– Tak właśnie skończyły wszystkie surogatki, które zostały sprzedane na Aukcji – mówi Raven. – Poród nas zabija, chyba że wcześniej dopadnie nas któryś z Domów. Teraz, po raz pierwszy w historii mamy szansę coś z tym zrobić.

Wyciągam rękę i kładę ją na ramieniu Raven.

– Schowaj je – proszę. – One już rozumieją.

Tawny mruga, żeby powstrzymać łzy.

– Ale dlaczego? Przecież im pomagamy. Dajemy im dzieci. Dlaczego oni chcą... chcą... nas zabić?

– Nasza śmierć to skutek uboczny – wyjaśniam. – Wynik nienaturalnej ciąży. Nie jesteśmy pewne, dlaczego rodzenie dzieci arystokratów nas zabija. Może to z winy Augurii. Może dlatego, że to nie nasze potomstwo. Tak naprawdę tylko do tego im służymy. Nie

widzą w nas ludzi. W Klejnocie nie mamy nawet imion. I nie mamy głosu. Nasze słowa się nie liczą. Ale – ciągnę – są w Samotnym Mieście ludzie, którzy chcą to zmienić. Ludzie, którzy ryzykują życie, żeby pozbawić arystokrację władzy. Dlaczego możni z Klejnotu odgradzają nas od siebie murami? Dlaczego dyktują nam, jak mamy żyć, gdzie mamy pracować, ile zarabiać? Dlaczego nie mamy prawa sami o sobie decydować?

– Zresztą nie tylko surogatki są traktowane jak przedmioty, które można zużyć i wyrzucić – dodaje Raven. – Prawie całe miasto żyje pod butem niewielkiej grupy uprzywilejowanych.

– Wyobraźcie sobie, co możemy osiągnąć, jeśli będziemy działać razem – mówię.

– Wybacz – odzywa się Henna, unosząc rękę, jakby siedziała w klasie. – Powiedziałaś, że wreszcie możemy coś z tym zrobić, ale... Przecież jesteśmy tu zamknięte. Pilnują nas Opiekunki. Jedyne, co mamy, to Augurie, ale... Nie umiem sobie wyobrazić, jak zmieniienie koloru czegoś mogłoby nam pomóc.

– Zabierzmy je na klif – prosi ciemnowłosa Sorrel, pociągając Raven za rękaw. Jest najmłodsza w grupie.

– Tak, na klif – popiera ją Scarlet.

– Nie wierzę, że o tym wiedziałaś i siedziałaś cicho – irytuje się na nią Ginger.

Scarlet wygląda na zmieszaną.

– Nie mogłam, kazały mi przyrzec! – tłumaczy się. – Kiedy znajdziesz się na klifie, sama zrozumiesz. To zbyt niebezpieczne, żeby o tym rozmawiać. Gdyby ktokolwiek się dowiedział...

– Dobra, dosyć gadania – oznajmiam stanowczo. – Pora, żebyście zobaczyły.

Amber, Scarlet i pozostałe dziewczyny, którym pokazałyśmy klif, szybko formują krąg. Scarlet z przeproszającą miną bierze za rękę Ginger.

– Nie wściekaj się na mnie – prosi. – Będziesz zachwycona, gdy to zobaczysz.

Raven ściska moje palce. Uśmiecham się i zamykam oczy. Kocham podróżować na klif.

To dziwne miejsce, zawieszane gdzieś pomiędzy światem rzeczywistym i dawną twierdzą Paladynek. Paladynki były rasą wojowniczych, obdarzonych mocą żywiołów kobiet, których rolą była obrona wyspy. Ale pewnego dnia na statkach przyłynęli arystokraci, którzy ogłosili się panami tego miejsca i zabili wszystkie Paladynki.

A przynajmniej tak im się wydawało. Bo Paladynki przetrwały. My, surogatki, jesteśmy ich potomkiniami. Lucien uważa, że to kwestia genetyczna, iż niektóre kobiety (na przykład ja) mogą łączyć się z żywiołami, niektóre zaś (jak moja mama) nie. Uważa, że za tę zdolność odpowiada gen recesywny, podobny do tego, którego posiadanie skutkuje błękitnymi oczami. Sil powiedziała mu, że to gówno prawda i że nie wszystko można wyjaśnić w tak prosty sposób.

Tak czy owak, nie to jest istotne. Dziewczyny, które się tu spotkały, są Paladynkami i najwyższa pora pokazać im, co to znaczy.

Po raz pierwszy ujrzałam klif, gdy ocalałam życie Raven tuż po tym, jak poroniła. Nie wiem, co przeniosło mnie w to miejsce, czy to było przeznaczenie, przypadek czy miłość, jednak gdy się tam znalazłam, w jednej chwili poczułam jedność z żywiołami, z moim dziedzictwem. Zrozumiałam siebie i świat w sposób, którego nie doświadczyłam nigdy wcześniej.

To samo stało się ze Sienną, Indi i Olive. To właśnie robiłyśmy z dziewczętami w Magazynach. Zabierałyśmy do nich Raven. Zabierałyśmy je na klif.

Ledwie sekundę po tym, jak zamykam oczy, spadam. Słyszę zduszony pisk, chyba Tawny, ale nic się nie stało, jesteśmy już w miejscu, w którym nie mogą nas dosłyszeć śpiący w najlepsze mieszkańcy Bramy.

Na klifie panuje noc i pada deszcz. Tutejsza pogoda często odzwierciedla tę, jaka jest w normalnym świecie. Zdarza się jednak, że odpowiada na skryte marzenia surogatki, jak wtedy, gdy zabrałyśmy na klif Siennę. Padał śnieg dlatego, że Sienna go kocha.

Krople deszczu są ciepłe i spływają po moich policzkach, gdy unoszę twarz ku zachmurzonemu niebu. Poniżej rozpościera się ocean i choć ledwie widzę go w ciemnościach, do moich uszu dociera grzmot fal rozbijających się o skały. Drzewa za moimi plecami szumią na

wietrze. Pośrodku klifu stoi statua z błękitnoszarego kamienia, która, na podobieństwo zamrożonej fali, wzbija się spiralą ku niebu.

Tęskniłam za tym miejscem, szepczę w myśli.

Ja też, wtóruje mi Raven.

I ja, dodaje Amber.

Niektóre z dziewcząt, które były tu wcześniej, rozbiegają się, by robić to, co ukochały najbardziej. Azure tańczy pod baldachimem drzew. Sorrel spogląda w mrok poniżej klifu, nasłuchując ryku oceanu. Ginger stoi jak słup soli, zszokowana, a Scarlet ściska ją za rękę. Tawny wydaje się rozdarta pomiędzy podekscytowaniem a lękiem.

Henna z oczyma jak spodki obchodzi posąg i ostrożnie wyciąga rękę, by dotknąć kamienia. Wiem, co czuje. Monument jest zaskakująco gładki, sprawia wrażenie, jakby stworzono go z zastygłej w bezruchu wody.

Nagle Henna wybucha głośnym śmiechem i wyrzuca w górę ręce, by schwytać w dłonie krople deszczu. Uśmiecham się, bo wiem, że jest jedną z nas. Już wie, kim powinna być.

Coś w jej śmiechu sprawia, że również Tawny parska, a potem razem z Sorrel podbiegają do klifu. Przez ułamek sekundy boją się, że mogą z niego spaść.

Ale nie spadną. To Paladynki stworzyły to miejsce i chronią je. Kiedy tu jesteśmy, chronią również nas.

Scarlet sprawia, że deszcz zaczyna tańczyć i wirować wokół głowy Ginger. Ginger jest zachwycona. Nie przestaje mnie zadziwiać, jak wolne i nieskrępowane jesteśmy w tym miejscu, jak dzikie i nieposkromione. Za każdym razem, gdy widzę, że kolejna z dziewczyn odkrywa swoje dziedzictwo, gdy czuje połączenie z innymi i z całym otaczającym nas światem, moja nadzieja rośnie.

Pora iść, oznajmia Raven i nagle klif oddala się, a my znów stoimy w cieplarni w Bramie Południowej. Tawny otwarcie płacze, a oczy Ginger są szkliste od łez. Henna jest makabrycznie rozczochrana i wyraźnie przeszczęśliwa.

– Co... Ja... – Ginger nie może znaleźć właściwych słów dla tego, co chce powiedzieć. Znam ten stan, nieźle go pamiętam.

– Co to było za miejsce? – dopytuje Henna.

– Spójrzcie w dół – mówię. Wszystkie trzy pochylają głowy i wydają zdumione westchnienia.

U stóp Ginger rozkwitają fioletowe, a u stóp Tawny blad różowe kwiatki. Kwiaty Henny są wściekle pomarańczowe. Przez kilka długich chwil dziewczyny po prostu patrzą na nie w zachwycie, a krople deszczu bębnią głośno o szklany sufit nad naszymi głowami.

– Powiedz im o Paladynkach, Violet – prosi Scarlet.

– I o Sprzysiężeniu Czarnego Klucza – dodaje Amber.

– A w ogóle to musisz nam powiedzieć więcej – nalega Azure. – Chcemy wiedzieć, co się dzieje poza tymi murami.

– Wszystko po kolei – oznajmiam, a potem biorę głęboki oddech i zaczynam mówić.

Rozdział 3

Więc następnym razem Brama Zachodnia – mówię, z trudem dławiąc ziewnięcie. W Bramie Południowej siedzieliśmy niemal do świtu. – Za dwa dni.

– Nie mogę się doczekać, aż się wyśpię we własnym łóżku – mamrocze Raven, wzdrygając się w przemoczonym płaszczu.

Choć słońce wstało ledwie godzinę temu, wagon jest wypakowany robotnikami. Lucien załatwił nam wszystkim fałszywe dokumenty, w których napisano, że pomagamy na jednej z farm. Powiedział, że najlepszą metodą na swobodne przemieszczanie się między Kręgami jest ukrycie się na widoku. W końcu nikogo nie interesują pracownicy mieszkający w Bagnie.

Kiedy jechałyśmy tak po raz pierwszy, byłam sztywna z przerażenia. Bałam się, że wypatrzy nas jakiś Gwardzista, który od razu zorientuje się, że mamy lewe papiery, i ryknie: Aresztować je! Ale wszyscy w Klejnocie myślą, że Raven nie żyje, a mnie nikt nie szuka, bo oficjalnie przebywam dalej w Pałacu Jeziora. Moją funkcję pełni tam Hazel. Gwardzista, który nas legitymował, ledwie rzucił na nas okiem.

Tak samo jest wszędzie. Nikt nie zawraca sobie głowy nastoletnimi pracownikami jakiegoś gospodarstwa.

Patrzę, jak słońce wznosi się ponad zrujnowane budynki i zaczyna zaglądać w okna pociągu. Ta podróż jest zupełnie inna niż ta, którą odbyłam, kiedy jechałam na Aukcję. Wtedy miałam zacząć nowe życie w zupełnie obcym miejscu, byłam przerażona i nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Dzisiaj dobrze wiem, dokąd jadę – z powrotem do Białej Róży. Nie mogę się doczekać, kiedy się tam znajdę.

Ciekawi mnie, jak przeżyją dzisiejszy dzień Ginger, Tawny i Henna. Na pewno czują się trochę dziwnie. Świat, który je otacza, nabrał życia, wszystko zdaje się nowe, pełne energii, kolory zdają się wyrazistsze, zapachy mocniejsze. Cieszę się, że mają Amber i inne dziewczęta, które je poprowadzą. Henna niemal natychmiast połączyła się z powietrzem. W jej oczach było radosne zdumienie, kiedy wiatr

zawirował wokół niej, reagując na jej myśli. Scarlet pokazała Ginger, jak zrobić niewielkie pęknięcia w ziemi, a Tawny sprawiła, że krople deszczu wzbijały się w górę. Nigdy mi się nie znudzi patrzenie, jak dziewczyny odkrywają stopniowo swoją moc. Z każdą kolejną Paladynką moja nadzieja na powodzenie wzrasta.

Burczy mi w brzuchu. Spodziewam się, że Sil upiekła na śniadanie słodkie bułeczki. Ciepła, ciągnąca się bułeczka z dżemem truskawkowym to to, o czym w tej chwili marzę. No i marzę o pocałunku Asha. I może jeszcze o uścisku Indi. Indi uwielbia się przytulać.

Orientuję się, że przysnęłam, dopiero gdy Raven potrząsa mnie za ramię.

– Jesteśmy – oznajmia.

Wyładujemy się z pociągu na stacji Bartlett. Serce rośnie mi w piersi, gdy dostrzegam w tłumie wózków i wozów sylwetkę Sil i potrząsającą piaskową grzywą Turnip. Sil ma na sobie swoje zwyczajowe ubranie, ogrodniczki i flanelową koszulę. Czarne, kręjące się włosy, oprószone na skroniach siwizną, okalają jej głowę niczym dziwaczna aureola.

– No więc – mówi, gdy już weszliśmy na wóz, i lekko potrząsa lejcami, by Turnip ruszyła – jak poszło?

– Normalnie. Na początku były przestraszone i uparte, a gdy zobaczyły zdjęcia, a potem klif, wszystko się zmieniło – odpowiada Raven.

– Jego Królewska Kluczowatość będzie szalenie kontent, jestem pewna – sarka Sil. Łączy ją z Lucieniem coś w rodzaju niechętniej przyjaźni. Podejrzewam, że tak naprawdę troszczą się o siebie nawzajem bardziej, niż byliby skłonni przyznać.

– A jak tam w Białej Róży? – pytam.

Sil prycha z rozbawieniem.

– Nie było was jedną noc. Czego się spodziewasz? Że Sienna zdążyła spalić chałupę?

– Nawet by mnie to nie zdziwiło – mamrocze Raven.

– Twój chłopak chyba się za bardzo nie wyspał, ale poza tym nic się nie zmieniło. Sienna nadal jest wkurzająca, a Indi łązi za mną

i próbuje mnie ścisnąć, jakby nie miała nic lepszego do roboty. Olive zaczęła szyc kolejną kieckę. Mówi, że to suknia balowa. Zapytała mnie, czy mogłabym jej załatwić trochę szyfonu.

Parskamy z Raven śmiechem, ale tak naprawdę przywiązanie Olive do wszystkiego, co ma związek z arystokracją, raczej mnie martwi, niż bawi.

Sil uwielbia narzekać na dziewczyny, sędzę jednak, że tak naprawdę cieszy się z ich towarzystwa. Była samotna przez bardzo długi czas, póki nie odnalazła jej Azalea, siostra Luciena.

Gdy wjeżdżamy do lasu, znów zaczynam odpływać. Zapowiada się ciepły dzień. Ostatnie krople padającego w nocy deszczu skapują z liści i Raven naciąga na głowę kaptur. Ja tego nie robię. Uwielbiam czuć wodę we włosach.

Las staje się gęstszy, im bardziej się w niego zagłębiamy. Między starymi drzewami ukrywa się Biała Róża, chroniona przez dawną magię Paladynek, jak podejrzewa Sil. Wierzy, że to one poprowadziły ją na polanę, na której znalazła ruiny domu. W tym lesie drzewa mają dziwne kształty, ich pnie gną się niepokojąco, a gałęzie wrastają niekiedy prosto w ziemię.

Nagle odnoszę wrażenie, jakby ktoś delikatnie pociągał mnie ku sobie i wiem, że jesteśmy niedaleko.

Kilka minut później wjeżdżamy na polanę ze stojącym na niej domem z cegły. Cóż za miły widok. Wciąż jednak nie tak miły jak widok znajomej postaci stojącej na ganku.

Nim dojeżdżamy do połowy polany, Ash zbiega ze schodów i pędzi w naszą stronę. Zeskakuję z wozu i biegnę mu na spotkanie. Ash podnosi mnie i przyciąga do siebie, a ja wtulam twarz w jego szyję.

– Wróciłaś – szepce.

Całuję go w ucho.

– Mam nadzieję, że się nie zamartwiałeś.

Ash stawia mnie na ziemi.

– Zdrzemnąłem się godzinkę, może dwie. Powiedziałbym, że to postęp.

Przeciągam palcami po jego włosach, które przez ostatnie miesiące znacznie urosły, a potem muskam delikatnie cienie kładące mu się pod

oczami. Ash bierze mnie za rękę i ruszamy w kierunku domu, w którym Sil i Raven zdążyły już zniknąć. Po drodze opowiadam mu o trzech dziewczętach z Bramy Południowej.

– Więc teraz wszystkie surogatki z tego Magazynu, które jadą na Aukcję, wiedzą, że są Paladynkami – mówię. – Jakież wieści z innych kręgów?

Bagno właściwie nie odczuło na własnej skórze niepokojów, które ogarniają wyspę, ale sytuacja w Banku i Dymie staje się z każdym dniem coraz bardziej nieprzyjemna. Choć wiem przecież, że rewolucji nie da się przeprowadzić bezkrwawo, to jednak nienawidzę czytać artykułów w gazecie, wieści o wybuchach, zniszczeniach, kolejnych zgonach. Każdego dnia słyszymy o następnych aresztowaniach i aktach przemocy. Sprzysiężenie obiera za cel budynki należące do arystokracji: koszary Gwardzistów, budynki magistratu oraz banki. Staramy się ocenić szybkość reakcji wrażliwych sił i zdezorientować wroga. Nigdy nie uderzamy dwa razy w tej samej dzielnicy, nigdy w tym samym Kręgu. Na kolejnych ścianach i drzwiach pojawiają się czarne klucze. Jednak z każdym dniem dociera do nas więcej i więcej informacji o nieautoryzowanych atakach, bo ludzie dają upust swojej nienawiści do rządzących.

Ash szkoli grupę członków Sprzysiężenia, ale jego zasięg jest ograniczony. Musi trzymać się blisko Białej Róży, bo wciąż jest poszukiwany listem gończym i w razie pochwycenia grozi mu śmierć. W przeciwieństwie do mnie nie może udać się do innego kwartału Farmy ani do innego Kręgu.

– Nic się właściwie nie zmienia – oznajmia Ash, marszcząc ponuro brwi. – Nie mogę przestać myśleć o Towarzyszach. Gdybym tylko mógł się z nimi skontaktować, naprawdę by nam pomogli.

– Wiem – mówię cierpliwie. Już o tym rozmawialiśmy. – Lucien zapewnia, że robi dla nich, co tylko może. A ty wciąż jesteś zbiegiem.

– Lucien niczego dla nich nie robi, bo niczego dla Towarzyszy zrobić nie może. Nie zaufają mu – odpowiada Ash. – Takie są fakty.

Nie chcę znowu odbywać tej dyskusji. W trakcie ostatnich miesięcy Ash stawał się coraz bardziej niespokojny. Z każdym kolejnym atakiem w Banku rósł też jego strach o Towarzyszy.

– Przecież tak bardzo pomagasz nam tutaj – mówię. – Zobacz tylko, ile zrobiłeś dla Raven, dla Whistlera i jego ludzi, dla wszystkich członków Sprzysiężenia w Południowym Kwartale.

Whistler, jeden z najlepszych agentów Luciena, prowadzi salon tatuażu, w którym w tajemnicy zbierają się rebelianci. Z Whistlerem od jakiegoś czasu pracuje mój brat, Ochre. Ash trenuje innych młodych ludzi, zarówno kobiety, jak i mężczyzn, do walki, tak by mogli oni przekazać swoją wiedzę ludziom w sąsiednich kwartałach i Kręgach, skoro sam nie może tego zrobić.

– Jasne, ale tylko tutaj. I tylko nocą, kiedy nikt nie może mnie zobaczyć. I tylko jeśli Sil jedzie ze mną. – Ash milknie i siada na schodkach ganku, pocierając czoło grzbietem dłoni. – Rye jest w Klejnocie, w domu Diuszesy. Gdybym tylko mógł... Gdybym mógł jakoś się z nim skontaktować. I, błagam, nie mów mi o Lucieniu. To geniusz, ale Towarzysze nie przepadają za dwórkami. Jeśli dwórka ma taki kaprys, może ci skutecznie uprzykrzyć życie.

Zawsze mnie zaskakuje, gdy Ash opowiada mi o tym, jak wygląda życie za pięknymi fasadami pałaców w Klejnocie. O walkach między służącymi albo o zakazanych romansach. O hierarchii, która obowiązuje wśród tych, którzy służą arystokracji.

– Robisz wszystko, co możesz – zapewniam. – Ash, ludzie dołączają do nas na dźwięk twojego imienia.

Ash stał się czymś w rodzaju legendy Samotnego Miasta. Jego status poszukiwanego zbiega działa na naszą korzyść. Buntowniczy Towarzysz, fałszywie oskarżony, który uciekł z Klejnotu... Nawet kolejne działania arystokracji nam się przysługują, bo Ash jest bohaterem, który uniknął pojmania. W kręgach Sprzysiężenia ma status herosa.

– Więc co? Mam po prostu siedzieć na tyłku i pozwalać na to, żeby moje imię działało za mnie, kiedy Towarzysze wciąż są wykorzystywani i umierają w osamotnieniu? – pyta gorzko Ash.

Życie Towarzysza jest ciężkie. Byłam w szoku, kiedy Ash wreszcie opowiedział mi, jak to naprawdę wygląda. Towarzysze często mają skłonności samobójcze, okaleczają się albo wpadają w nałóg, używając płynnej formy opium, by zapomnieć o bólu. Rye, z którym Ash kiedyś

mieszkał, nadużywał błękitka, kiedy spotkałam go kilka miesięcy temu.

Kładę dłoń na karku Asha i próbuję choć trochę rozmasować napięte od stresu mięśnie.

– Wiem, że ci ciężko – mówię. – Ale to jedyna droga. W Banku jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie. Tylko tutaj, w Białej Róży, nic ci nie grozi.

– Ale ty możesz ryzykować, prawda? – rzuca Ash. – Ty i Raven, i inne dziewczyny, z którymi jeździcie do Magazynów. Nie mów mi, że to bezpieczne.

Nim zdążę odpowiedzieć, frontowe drzwi otwierają się na oścież.

– Och, Violet, wróciłaś!

Indi podrywa mnie na nogi i zamyka w uścisku. Jest tak wysoka, że głową sięgam jej ledwie do ramienia.

– Jak poszło? Znalazłyście te dziewczyny?

– Tak – odpowiadam, poklepując ją po plecach. – Poszło świetnie. O wszystkim ci opowiem, ale najpierw muszę coś zjeść, bo inaczej padnę.

– Jasne, musisz umierać z głodu. Zaraz ci nałożę. – Rumieni się lekko, spoglądając na Asha. – A ty masz na coś ochotę?

Choć Indi zna Asha od kilku miesięcy, wciąż nie przestaje się w jego obecności czerwienić. Na szczęście Ash zachowuje się, jakby tego nie zauważał.

– Wrócę niedługo – oznajmia. – Najpierw odprowadzę Turnip do obory.

Ściska mnie za rękę, więc wiem, że na razie nie będziemy ciągnąć naszej dyskusji. Turnip, wciąż zaprzężona do wozu, leniwie skubie trawę. Ash prowadzi ją do stojącego nieopodal linii drzew budynku. Przyglądając mu się, myślę, że naprawdę chciałabym w jakiś sposób mu pomóc.

Ale nie pozwolę Ashowi jechać do Banku. To byłby dla niego wyrok śmierci.

– No dobra, to chodź, Violet – komenderuje Indi, odprowadzając Asha wzrokiem. – Chcę, żebyś wszystko mi opowiedziała. Wiesz, jak Raven opowiada, nie? Żadnych smakowitych szczegółów, sucha relacja. I na dodatek robi się zgryźliwa, kiedy o coś dopytuję.

– Indi! – Z wnętrza domu niesie się ryk Sil. – Twoje cholerne babeczki się palą!

Indi zapowietrza się na chwilę, po czym obraca się na pięcie i wpada do środka.

Przez chwilę po prostu stoję na ganku i pozwalam ciepłym promieniom słońca ogrzewać moją twarz. Chcę zapamiętać ten poranek, wyryć go w mózgu. Chcę, by stał się talizmanem, który rozjaśni mrok przyszłości, nieważne, jak głęboki by on nie był.

W tej chwili jestem bezpieczna i otoczona przez krąg przyjaciół.

Rozdział 4

Większość dnia przesypiam.

Późna kolacja jest wydarzeniem tak samo chaotycznym i hałaśliwym jak zazwyczaj.

– Olive, możesz mi podać sałatkę? – proszę.

Olive jest przeciwieństwem Indi. Indi jest wysoka, jasnowłosa i emanuje nieustającym optymizmem, Olive zaś niska i ciemnowłosa, a jej oczy mają czerwone obwódki od ciągłego płaczu. Nawet teraz dostrzegam zbierające się w nich łzy.

– Moja pani kochała sałatki – szepce Olive, podając mi miskę. – Któregoś dnia jadłyśmy w Pałacu Promienia sałatkę z kandyzowanymi pekanami i świeżym serem udekorowaną na czubku kwiatem lotosu i kiedy go otworzyłaś, to w środku był mały złoty ptaszek. – Dramatycznie pociąga nosem i patrzy na niewielką kupkę sałaty, pomidorów i ogórków na swoim talerzu.

Sienna odrzuca przez ramię kilka warkoczyków.

– Twoja pani kochała też prowadzić cię na smyczy – przypomina, bawiąc się zapalniczką, którą Sil kupiła jej w prezencie. W górę strzela mały płomień. – Powinniśmy na noc przypinać cię na łańcuchu na podwórzu? Jak psa?

– Odłóż to – warczy Sil.

Olive rzuca widelec na stół i wstaje gwałtownie.

– Nie mów do mnie w ten sposób!

– Wiesz, że najpewniej byłabyś już martwa, gdyby nie Violet, prawda? – naciska Sienna, chowając zapalniczkę do kieszeni.

– Skończcie już – wcina się Raven.

Kilka stojących pośrodku stołu świec zaczyna płonąć jaśniej. Olive marszczy brwi i nagle, z cichym poszumem podmuchu wiatru, świece gasną.

– Hej! – rzuca Sil.

Sienna unosi dłonie w obronnym geście.

– To był przypadek, przysięgam!

– Proszę cię... – Sil jest wyraźnie zirytowana. – W pełni

kontrolujesz swoją moc. Od miesiący nie miałaś żadnej wpadki.

– Lepiej powtórzmy sobie plan – proszę i wszyscy poza Ashem, który zwykle w trakcie kolacji milczy, wydają z siebie jęki frustracji. Ash zazwyczaj po prostu pospiesznie przełyka jedzenie i ucieka do stodoły, by dotrzymać towarzystwa kurczakom i kozom. Oraz Turnip.

Tak właśnie Ash nazywał kiedyś swoją młodszą siostrę. Turnip. Dziewczynka zmarła miesiąc temu na czarne płuco. Lucien dowiedział się tego od jednego z jego agentów w Dymie, od chłopca, który nadał sobie przydomek Thief. Wcześniej Thief pomógł Ashowi pożegnać się z siostrą, gdy uciekaliśmy z tamtego Kręgu. Przypuszczam, że od tamtej pory miał na nią oko.

Ash przełyka ostatni kawałek kurczaka, wpycha do ust resztkę ziemniaków i wstaje.

– Miłe panie – mówi z lekkim ukłonem, a potem całuje mnie delikatnie w czubek głowy i podchodzi do zlewu. Ash wszystko to już słyszał. Po dzisiejszej kłótni mam lekkie poczucie winy, że nie jest częścią naszego planu, że zamierzam poradzić sobie bez niego. Ale nic nie poradzę na to, że to Paladynki mają obalić mur, a Ash nie jest Paladynką.

Podchodzę do szafki i wyciągam z niej kilka zwojów papieru. Na jednej z kart jest mapa miasta. Inne są kopiami planów Domu Aukcyjnego.

– No więc – zaczynam, rozkładając mapę na środku stołu – za kilka dni udamy się do Bramy Zachodniej. Sil, ty zostaniesz tutaj i będziesz współpracować z Whistlerem. W Bramie Zachodniej zostały nam cztery dziewczyny. W Północnej mamy do wtajemniczenia siedem, we Wschodniej pięć. – Wskazuję po kolei numery wypisane nad wyobrażeniami Magazynów, po czym biorę gumkę i wycieram cyfrę 3 nad Bramą Południową. – Indi, Sienna i Olive, kiedy już przenikniecie do wyznaczonych Magazynów i pokażecie dziewczętom żywioly...

– Mamy zabunkrować się w Białej Róży i nie wyściubiać z niej nosa aż do czasu Aukcji – kończy za mnie Sienna monotonnym, wyraźnie znudzonym tonem.

– A potem, z pomocą dziewcząt, które kontaktują się z Ziemią, wrócimy do Magazynów – dodaje z wielką radością Indi.

– I schowamy się w jadących na Aukcję pociągach – kończy Olive. W oczach ma dziwny błysk. – W ten sposób pozbędziemy się naszych opiekunek i lekarzy.

– Nie zabijemy ich – przypominam. – Po prostu ich ogłuszamy.

– Jestem pewna, że damy sobie radę – mówi Raven. – W naszym pociągu byli tylko Charity i doktor Steele.

– Brama Północna zawsze wysyła trzy opiekunki – zauważa Sienna.

– I tak będziemy miały przewagę liczebną – stwierdzam.

– W Domu Aukcyjnym będą na was czekać Gwardziści – przypomina nam Sil.

– Garnet postara się opóźnić ich tak długo, jak tylko się da. – Zwijam mapę miasta i wyciągam plany. – Pamiętajcie, jeśli cokolwiek wydarzy się w pociągu, jeśli zostaniecie wykryte albo... Wiadomo. Macie się kierować do murów. Ich obalenie jest najważniejsze. Nawet jeśli to nie będzie mur otaczający Klejnot, to zniszczenie każdej przeszkody się dla nas liczy. Jasne?

Olive wydyma wargi, ale milczy. Planów Domu Aukcyjnego jest kilka, bo to wielki budynek z mnóstwem pokoi i piętami skrytymi pod ziemią. Rozstawiam na stole szklanki i talerze, żeby papier się nie zwijał.

Dom Aukcyjny to wielka kopuła z dobudowanymi mniejszymi budynkami i wieżyczkami. Są tu oddzielne komnaty, w których arystokracja zażywa rozrywek, czekając na rozpoczęcie Aukcji, a także, rzecz jasna, sam amfiteatr, w którym odbywa się zasadnicza część imprezy. Ale to nie wszystko. Tak jak wyjaśniał nam Lucien, na Dom Aukcyjny składają się również poczekalnie, gotowalnie, podziemna stacja, pokoje, w których czekają służący, i toalety, gdzie młode arystokratki mogą poprawić fryzury i makijaże. Są tu również dobrze zabezpieczone schrony, w których kupujący mogą bezpiecznie przeczekać każde hipotetyczne zagrożenie. To otoczone grubymi murami, zaopatrzone w ciężkie, żelazne drzwi komnaty. Tam właśnie pobiegną arystokraci, gdy coś zacznie im grozić. Prosto w pułapkę. Będą siedzieć w swoich norach, a miasto wokół nich będzie się rozpadać.

Aukcja to największe wydarzenie towarzyskie roku. Lucien powiedział mi, że może w niej wziąć udział każda zamężna arystokratka.

Nie potrzebują zaproszeń jak na bal u władcy albo na zwykłe przyjęcie w arystokratycznym Domu. Każdy, kto tylko może, będzie uczestniczył w wydarzeniu. Przy żadnej innej okazji w jednym miejscu nie zgromadzi się taka grupa arystokratów.

– Więc dostaniemy się tutaj – mówię, wskazując palcem stację znajdującą się na najniższym poziomie Domu Aukcyjnego. – I musimy być gotowe. Sil ma rację, na miejscu będą Gwardziści spodziewający się transportu nieprzytomnych dziewcząt. Nie wiemy, o ile Garnetowi uda się ich opóźnić. Pewnie niewiele, może w ogóle. Musimy po prostu być gotowe na walkę.

– Tak. Większość Gwardzistów, których przeciągnął na naszą stronę, nie stacjonuje w Klejnocie – dodaje Raven. – Mówi, że ci z Klejnotu są najgorsi.

W absurdalnie krótkim czasie Garnet zamienił się z bawidamka w przykładowego obywatela. Wszyscy arystokraci mają w Gwardii stopnie oficerskie, ale traktowane są one raczej jak honorowe tytuły. Nikt tak naprawdę nie pełni służby. Kiedy Garnet postanowił wykorzystać swój stopień, by pomagać (a raczej przeszkadzać) w szukaniu Asha, pojął, jak bardzo niejednorodną i skłóconą wewnątrz grupą jest Gwardia. Dotyczyło to zwłaszcza niższych Kręgów. Garnet wykorzystał te podziały na korzyść Sprzysiężenia.

– Chciałabym, żeby to się dało załatwić inaczej – wtrąca ze smutkiem Indi. – Żebyśmy mogły to załatwić polubownie.

– Chcesz, żebyśmy walczyły z nimi uściskami? – pyta Sienna.

– Miłość jest silniejsza od nienawiści.

– Niestety, przemoc jest jedyną drogą do naszego celu i naprawdę nie ma sensu się o to kłócić – przerywam im. – Kiedy będziemy w środku, musimy ściśle trzymać się planu. Nie będzie czasu na pomyłki. Musimy powstrzymać Gwardzistów. Musimy wywołać tyle zamieszania, żeby arystokracja spanikowała i pobiegła do tych swoich cudownych schronów. Wreszcie, najważniejsze, musimy dotrzeć do muru.

– A wtedy pošlemy sygnał – mówi do mnie Sienna, znów pstrykając zapalniczką.

Kiwam głową.

– Tak, pošlemy sygnał.

– I świat wybuchnie ogniem. – Tańczący płomyk odbija się w lśniących, czarnych oczach Sienny.

Musimy zgrać wszystko w czasie. W ostatnich dniach przed Aukcją w kluczowych lokacjach w mieście, które dotąd nie były atakowane, zostaną podłożone ładunki. W Banku zbierze się jak największa grupa rebeliantów. W dniu Aukcji rozstawią się przy murze odgradzającym Bank od Klejnotu, by czekać, aż Paladynki obalą barierę. Moim zadaniem jest wspiąć się jak najwyżej, na jedną z pięciu iglic wieńczących Dom Aukcyjny i odpalić flarę na tyle wielką, by wszyscy w mieście ją ujrzeli. To będzie sygnał, by zdetonować ładunki. Zrobiłabym to sama, ale, niestety, możemy łączyć się tylko z jednym żywiołem naraz.

Potem, jak to dobitnie ujęła Sienna, świat wybuchnie ogniem.

Niez mordowanie powtarzam z dziewczynami każdy kawałek planu. Pokazuję palcem różne korytarze i zadaję zebranym przy stole pytania, chcąc upewnić się, że wiedzą, dokąd prowadzi który korytarz, gdzie kończy się jaka klatka schodowa, które drzwi prowadzą do którego pokoju, ile poziomów ma Dom Aukcyjny, co jest na którym poziomie, gdzie znajdują się schrony i jak najszybciej dotrzeć do wszystkich wyjść z budynku. Wreszcie Sienna wydaje długie i ciężkie westchnienie.

– Violet, my to na serio pamiętamy, jasne? Powtarzałyśmy to milion razy. Rany, mogłabym narysować te plany przez sen.

– Musimy być przygotowane – mówię. – Inne dziewczyny nie będą niczego wiedzieć, nie dostaną map i planów. To my będziemy im przewodzić. To my musimy dokładnie wiedzieć, dokąd iść i gdzie skręcić. Nie możemy pociągnąć ich za sobą tylko po to, by je potem zawieść.

Sienna wygląda na nieco zawstydzoną. Indi marszczy brwi, a Olive zagapia się w talerz.

Raven wyciąga rękę i ściska moją dłoń.

– Nie zawiedziemy ich – zapewniam.

Zwijam plany i mapy, a potem odkładam je na miejsce. Mam wrażenie, jakbym połknęła kamień, tak ściska mnie w żołądku. Robimy to, by pomóc surogatkom, ale moja siostra wciąż tkwi zamknięta

w Pałacu Jeziora i nauczenie się na pamięć wszystkich planów na świecie nic jej w tej chwili nie pomoże.

Od czasu kiedy Diuszesa ogłosiła, że Hazel jest w ciąży, minęły miesiące. Czy brzuch mojej siostry wygląda tak, jak kiedyś brzuch Raven, wzdęty jak niewielki balonik? Czy lekarz używa na niej tego straszego iniektora ze stymulantem? Nie wiem nawet, czy Hazel naprawdę jest surogatką. Porwano ją, nim została zbadana w jednej z klinik w Bagnie. Ale najwyraźniej musi być surogatką, bo w innym przypadku Diuszesa nie miałaby z niej żadnego pożytku.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób, bym mogła się z nią zobaczyć, upewnić się, że wszystko z nią w porządku, powiedzieć jej, że pomoc nadejdzie...

Po kolacji Olive zaczyna błagać Sil, by wyjął Księgę.

Księga nie jest tak naprawdę książką, raczej fragmentami wielu pism. Lucien zbierał je dla Sil przez długie lata, wykradając kolejne karty z ogromnej biblioteki Diuszesy. Księga opowiada o Paladynkach i o wyspie w czasach, zanim stała się Samotnym Miastem. Wszystkie dziewczęta w Białej Róży ją uwielbiają. Ja również.

Wyspa nazywa się Excelsior, Klejnot Ziemi.

Olive tuli się do mojego boku, gdy czytamy pożółkłe, kruche strony. To dla mnie dziwne, że Olive tak bardzo kocha Księgę, choć ta bez ogródek opisuje jak arystokracja podbiła wyspę i wyrznęła większość tubylców. Ale są tu także informacje o miejscu zwanym Bellstar i jeszcze innym, określanym mianem Ellarii. Myślę, że idea tego, że gdzieś poza Wielkim Murem i głębią oceanu są jeszcze inne miejsca, inne światy, przemawia do Olive tak, jak do mnie kiedyś przemawiała baśń o Studni Życzeń. Olive chce wierzyć w magię i tajemnicę.

Nie wydaje mi się, by rozumiała, że jest ich częścią. Że my jesteśmy ich częścią.

Jedynym dźwiękiem mącą ciszę jest postukiwanie zmywanych przez Siennę naczyń i ciche nucenie Indi, która je wyciera. Sil siedzi na bujanym fotelu przy kominku i tuli do piersi szklaneczkę whisky. Raven usiadła na podłodze, u moich stóp, i milczy, złożony mi głowę na kolanach.

– Jak myślicie, jak może wyglądać Bellstar? – pyta nagle Olive. – Szkoda, że nie ma obrazków.

– Kiedyś na pewno było bogate – mówię. – Zbudowali setki statków, by odnaleźć to miejsce.

– Co się z nimi stało?

– Z ludźmi?

– Ze statkami.

Przesuwam opuszkami palców po wyblakłych literach.

– Nie wiem – szepczę.

Nagle w moich włosach zaczynają buczeć arkana. Już dawno zdradziłam sekret niewielkiego urzędnika dziewczynom, zbyt trudno byłoby mi je ukrywać. Wyciągam arkana z włosów i srebrny kamerton zawisa niecałe pół metra od mojej twarzy.

– Halo? – rzucam. Raven spogląda z zaciekawieniem na urzędnika. Nigdy nie wiemy, czy kontaktuje się z nami Lucien, czy Garnet.

– No więc? – W głosie Luciena słyszę napięcie. – Jak poszło?

Uśmiecham się.

– Dobrze, czyli tak, jak zazwyczaj. Bramę Południową mamy już z głowy, zostały nam tylko trzy Magazyny.

– I jedynie miesiąc do dnia zero.

Żołądek zaciska mi się ze zdenerwowania, a myśli biegną ku mojej siostrze. Miesiąc to strasznie długo.

Wytrzymaj jeszcze trochę, Hazel. Idę do ciebie.

– Jak sytuacja w Klejnocie? – pytam, co właściwie zawsze oznacza to samo. Co z Hazel? Kiedy Lucien zaczyna przydługą opowieść, niemal wyskakuję ze skóry.

– Mniej więcej tak samo jak co roku, gdy zbliża się Aukcja, czyli panuje kompletne szaleństwo – mówi. – Oczywiście tym razem jest jeszcze gorzej z powodu niepokojów w niższych Kręgach. Ale można byłoby pomyśleć, że arystokracja nie czyta gazet. Pani Gradu nie przestaje perorować o kolacji, którą wydaje po zakończeniu Aukcji. Jeśli zaufać jej słowom, czego nie polecam, szykuje dwadzieścia dań. Wysłała Wybrance pewnie z setką zaproszeń. A teraz mam nadzorować dostawę do Domu Płomienia. Doprawione na ostro mięsiwa, szafran i świeża

śmietanka z rodowych mleczarni na Farmie. Wszystko ma przyjść jutro. Jakbym nie miał niczego lepszego do roboty tylko martwić się jakimś szafranem. Poza tym w Banku aresztowano trzy osoby i naprawdę mało brakowało, bym myślał, że pojmano jednego z moich ludzi. No i w Dymie wybuchł kolejny ładunek, którego na pewno nie autoryzowałem. Beznadziejna robota, w bombie było mnóstwo szrapneli i teraz cały kwartał został obarczony sankcjami. Obcięli im dostawy jedzenia. Nawet Gwardziści robią się niespokojni. Że nie wspomnę...

– Co z moją siostrą? – przerywam mu.

Kiedy Lucien nie odpowiada, serce podjeżdża mi do gardła.

– Lucienie! – ponaglę go. – Co się dzieje?

– Nic – mówi Lucien. – Nic, czym powinnaś się, w mojej opinii, martwić.

Raven siada sztywno wyprostowana, wbijając wzrok w arkana. Sil odstawia szklankę z whisky.

– Dlaczego nie pozwolisz mi samej zdecydować, czy mam powody do zmartwienia, czy nie? – pytam.

– Ja... Mam pewne podejrzenia. Nic pewnego, to tylko przeczucie, ale wydaje mi się, że Wybranka planuje... wypadek. Wypadek twojej siostry.

– Co?! – Zrywam się na nogi, jakbym miała natychmiast pobiec do Hazel, jakbym mogła ją w jakiś sposób ochronić. Muszę ją ochronić! Muszę! – Pracujesz dla niej, dowiedz się, co kombinuje i powstrzymaj ją!

– Nawet nie wiem, czy naprawdę coś planuje – odpowiada Lucien.

– Wiem tylko, że im bardziej Hierarcha jest zachwycony tymi zaręczynami, tym bardziej ona jest wściekła. Rzuciła kilka komentarzy, po których pomyślałem...

– Zrobi to ze zwykłej niechęci – mówię. – Żeby odegrać się na Diuszesie.

– Tak, ale zrozum...

– Co za ludzie! – Sfrustrowana ponad wszelkie granice wyrzucam ramiona do góry. – Naprawdę nie dociera do nich, że to czyjaś siostra, czyjaś córka, przyjaciółka?

– Nie – ucina sucho Lucien. – I akurat ty powinnaś to dobrze

wiedzieć.

Jego ostre słowa bolą mnie, ale nie na tyle, żebym przestała myśleć o tym, że Hazel może zostać zamordowana. Myślałam, że będę miała czas. Czas, by do niej dotrzeć, by ją uwolnić. Żeby wszystko jej wyjaśnić i przeprosić ją za to, co ją spotkało.

Lucien nie da rady jej ocalić. Nie może pilnować jej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ma inne zadania i inne priorytety. Wiem, że mu na mnie zależy, ale poświęci Hazel, jeśli będzie to potrzebne, by ocalić miasto.

– Jadę do Klejnotu – oświadczam. – Teraz. Tej nocy.

– Violet, nie bądź...

– Jadę – wyrzucam z siebie, nie chcąc słuchać jego tłumaczeń. – Co ty byś zrobił, gdyby chodziło o Azaleę? Hazel jest w Klejnocie przeze mnie. Diuszesa porwała ją po to, żeby dorwać mnie. Wiem o tym, czuję to... Jeśli jej nie ochronię... – Milknę, bo nie jestem nawet w stanie dokończyć tego zdania.

– A jak dokładnie masz zamiar dostać się do Klejnotu? – pyta trzeźwo Lucien.

– Pojadę pociągiem do Banku. Potem przekopię się pod murem, tak jak przekopywałam się pod murami Magazynów. To dokładnie to samo. – Nie, to nie to samo i na pewno nie pójdzie tak łatwo, ale już to robiłam.

– Świetny pomysł, Violet, jedna wpadka i storpedujesz wszystkie plany. Poza tym co zamierzasz zrobić, gdy już znajdziesz się w Klejnocie? Pójdiesz do Pałacu Jeziora i zadzwonisz do drzwi? Pomyśl przez chwilę. Chodzi o coś więcej niż tylko o twoje sprawy osobiste.

– Jeśli nie spróbuję, jeśli nie uratuję Hazel to... To o co właściwie będę walczyć? – pytam.

– Ktoś cię rozpozna, Violet – naciska Lucien. – To zbyt...

Nagle przychodzi mi do głowy zupełnie szalony pomysł. Nie wiem nawet, czy można coś takiego zrobić, ale muszę spróbować, w tej chwili nie cofnę się przed niczym. Bez słowa odwracam się na pięcie i pędzę na górę, nie zwracając uwagi ani na pytające okrzyki Sil i Raven, ani na coraz cichszy głos Luciena, który domaga się wyjaśnień, co się u licha

dzieje.

Śpiemy z Ashem w oborze, ale nasze ubrania trzymamy w pokoju Raven. W szafie są również ubrania, które zgromadziła z biegiem lat Sil. Jedną z wiszących tu sukienek pamiętam wyjątkowo dobrze, bo bardzo przypomina odzienia służących, które miałyśmy z Raven na sobie, kiedy uciekałyśmy z Banku. Przerzucam kolejne sukienki, aż wreszcie znajduję tę, której szukam, i ściągam ją z wieszaka. Jest prosta w kroju i brązowa, nieco przyciasna w gorsie, ale da się dopiąć. Założywszy ją na siebie, przeglądam się w lustrze. Potem unoszę dłoń i wplatam ją we włosy.

Najpierw ujrzyj, jakie jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj to.

Przechodzą mnie dreszcze, gdy moje włosy z czarnych zamieniają się w złote. U podstawy czaszki pulsuje ból, nieodłączny kompan Augurii. W ten właśnie sposób przebrałam Asha, gdy mieliśmy wślizgnąć się do jego Sztuby. Potrząsam głową, przyglądając się nowym dla mnie blond lokom.

Ale największym problemem nie są moje włosy. Są nim moje oczy. Jeśli nie uda mi się zmienić ich barwy, Diuszesa natychmiast mnie rozpozna.

Opuszczam powieki. Sądzę, że dam radę przekształcić oczy bez wpychania sobie do nich palców. Sam pomysł, że miałabym to zrobić, sprawia, że aż się wzdrygam. Po prostu muszę się mocno skoncentrować na tym, czego pragnę. W głowie krystalizuje mi się obraz.

Najpierw ujrzyj, jakie jest. Potem ujrzyj w myślach swych. Wreszcie wolą skrepuj to.

Ból przy zmianie koloru włosów był do zniesienia, ten jest porażający. Z głośnym krzykiem przyciskam dłonie do oczu. Mam wrażenie, jakby gałki oczne zamieniły się w małe kule magmy, jakby miały mi wypłynąć. W momencie, w którym myślę, że nie zniosę tego ani sekundy dłużej, koszmarny ból ustaje. Przez chwilę garbię się przed lustrem, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Kiedy otwieram oczy, z lustra spogląda na mnie obca dziewczyna. Jasnowłosa, zielonooka nieznajoma z moim nosem i moimi policzkami. Szybko używam drugiej Augurii, Kształtu, żeby dopasować do nowego

wizerunku rysy mojej twarzy. Boli niemalże tak samo jak przemiana oczu, ale po kilku chwilach mam krągłejsze policzki, wyższe czoło i nieco mocniej zaznaczony nos.

– Violet, co ty... – Raven staje w drzwiach i milknie zaszokowana.
– Co ty zrobiłaś?

– Jadę do Klejnotu – mówię, mijając ją i schodząc na dół, gdzie Lucien najpewniej wciąż gada do arkanów.

Kiedy wchodzę do pokoju, Olive wydaje głośny wrzask. Indi upuszcza wycierany właśnie talerz. Sienna z sykiem nabiera powietrza. Sil przez moment wygląda na mocno zdumioną, ale po chwili dostrzegam w jej oczach cień dumy.

– Mówiłam mu – oznajmia, zagłuszając wciąż mówiącego do kamertonu Luciena. – Jesteś uparta, że niech to szlag.

– Co się dzieje? – wścieka się Lucien. – Dlaczego ona krzyczała? Sil, do cholery, odpowiedz mi!

– Jadę do Klejnotu, Lucienie – mówię spokojnie. – Dostanę się jakoś do pałacu Diuszesy i będę pilnowała siostry aż do Aukcji.

Lucien zaczyna się śmiać. Właściwie to śmieje się tak długo, że aż wymieniamy z Sil zaniepokojone spojrzenia.

– Przepraszam – wydusza z siebie wreszcie Lucien. – Ale to przerasta nawet ciebie. Jak myślisz, ile czasu uda ci się ukrywać przed Diuszesą w jej własnym pałacu? Jak zamierzasz chronić siostrę, kiedy zostaniesz schwytana? A może Diuszesa wcale nie będzie chciała cię więzić, tylko po prostu cię zabije, skoro nie potrzebuje cię już, żebyś urodziła jej dziecko.

– Lucienie – zaczyna Sil, składając dłonie i opierając na nich policzek – w każdych innych okolicznościach bym się z tobą zgodziła, ale... Nie sądzę, żeby Diuszesa mogła ją w jakikolwiek sposób rozpoznać.

– A dlaczegoż to?

– Bo, Lucienie, ona wygląda teraz jak ktoś zupełnie inny.

Nie zauważyłam, że Sienna weszła z kuchni do pokoju. Wyciąga dłoń i delikatnie dotyka moich włosów.

– Kolor i kształt, tak? – upewnia się. Kiwam głową. – Bolało?

Nie mogę powstrzymać grymasu.

Sienna szczyrzy zęby.

– Ash będzie musiał...

– Co rozumiesz przez to, że wygląda jak ktoś inny? – przerywa jej Lucien.

– Użyłam Augurii – wyjaśniam. – Na sobie. – Do oczu napływają mi łzy i natychmiast znikają w ciepło, którym emanuje moje ciało po niedawnej przemianie. – Lucienie, proszę cię – mówię cicho. – Pomóż mi. Pomóż mi ocalić siostrę.

Pamiętam dobrze mój Dzień Obrachunku. To był ostatni raz, gdy moja rodzina była w całości. Pamiętam, jak wściekła była na mnie Hazel, pamiętam, jak sądziła, że o niej zapomniałam. Nie rozumiała, że nie wolno mi było do niej pisać, że w Bramie Południowej panowały ścisłe zasady.

W Klejnocie również panują pewne zasady. I ja je znam. Nie pozwolę na to, by moja siostra znów uwierzyła w to, że o niej zapomniałam.

Rozdział 5

W ciszy, która zapadła, słyszę tylko łomot swojego serca.

– Pozwól, że porozmawiam o tym z Garnetem – odzywa się wreszcie suchym tonem Lucien. – Zaczekaj, nie rób niczego pochopnie.

Kamerton milknie i spada na podłogę. Podnoszę go drżącymi palcami.

– Nie mogę jej tam zostawić – mówię, opadając ciężko na kanapę. Raven siada obok mnie. – Jest zupełnie sama. Nie mogę...

– Wiem – odpowiada mi Sil wyjątkowo jak na nią łagodnym głosem.

Wydaje mi się, że siedzimy tak w ciszy przez długie godziny. Arkana nie dają znaku życia. Wreszcie podnoszę się z sofy.

– Pójdę do Asha – mówię. – Na pewno się zastanawia, gdzie się podziałam.

Nie sądzę, żeby był zachwycony moim pomysłem. Gdy tylko staję na nogach, kamerton unosi się w powietrze.

– No więc – odzywa się Garnet – słyszałem, że planujesz tajną operację.

– Hazel jest w niebezpieczeństwie – wyjaśniam. – Muszę z nią być. Muszę zrobić, co tylko się da.

– Cóż, masz zatem szczęście – odpowiada Garnet. – Tak się składa, że znam jeden Dom, który akurat ma wakat wśród służby.

– Naprawdę?

– Tak. Mam na myśli mój dom.

Wymieniamy z Raven zdumione spojrzenia.

– Moja żona potrzebuje własnej dwórki – ciągnie Garnet. Na dźwięk słowa „żona” Raven wyraźnie sztywnieje. – Coral od miesiący próbuje jakąś zatrudnić, ale matka odrzuca każdą, jaką znajdzie. Do tej pory się w to nie mieszałem, bo nie ma co się wyklócać z matką o coś tak błahego, a poza tym, wybaczcie szczerłość, niespecjalnie zajmuje mnie to, czy Coral ma dwórkę, czy jej nie ma. Jednak właśnie uznałem, że chyba jakiejś potrzebujemy. Tak więc jutro od niechcienia poinformuję wszystkich, że zatrudniłem na to stanowisko ciebie. To

takie dla mnie typowe, prawda? Arogancki Garnet ma w nosie opinię swojej mamusi. – Mogę sobie wyobrazić szelmowski błysk w jego niebieskich oczach. – Dam ci znać, w który pociąg masz wsiąść. Jestem pewien, że do Klejnotu przyjedzie jutro kolejne stadko służących, bo wszystkim z powodu Aukcji mocno odbija. Powiem tu i tam, że cię oczekujemy.

– Garnecie, stokrotne dzięki – wyrzucam z siebie gorączkowo.

– Nie ma sprawy. Hej, jest tam gdzieś Raven?

– Już myślałam, że nie zapytasz – odpowiada Raven, podnosząc się z krzywym uśmiechem.

– Najpierw obowiązki, potem przyjemności, moja pani. Znajdziesz dla mnie chwilę?

Raven parska śmiechem.

– To nie ja mieszkam ze stukniętą żoną i apodyktyczną matką. Mam cały czas tego świata.

– Niby tak, ale mieszkasz z Sil, a Sil nie jest najłatwiejszą we współżyciu osobą pod słońcem, nie? Hej, Sil, żartowałem! – dodaje, nim Sil zdąży mu się odciąć.

Raven zabiera arkana na frontowy ganek. Życzę wszystkim dobrej nocy i ruszam do obory, żeby przekazać wieści Ashowi.

Kiedy wchodzę do budynku, Ash stoi przy zagrodzie dla kóz. Jeden ze zwierzaków ociera się o jego rękę, oczekując widocznie kolejnej porcji przysmaków.

Przystaję w progu i przez chwilę po prostu przyglądam się Ashowi, jego silnej sylwetce i szerokim ramionom. Patrzę, z jaką łagodnością drapie za uszami łaciatą, biało-czarną kozę. Rozkoszuję się panującym w oborze spokojem, wiedząc, że gdy się odezwę, nic z niego nie zostanie.

– Ash? – pytam nieśmiało.

Ash obraca się i, widząc moją twarz, z trudem powstrzymuje okrzyk.

– Co u... Violet?

– To ja – mówię, podchodząc bliżej. Ash staje przede mną i przygląda się moim oczom, nosowi i włosom. Na jego twarzy zaciekawienie miesza się z niezrozumieniem.

– Augurie? – pyta. Potakuję. – Dlaczego?

Wyjaśniam mu, że zdaniem Luciena Hazel znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a Garnet zgodził się zatrudnić mnie w Pałacu Jeziora. Zaskoczenie Asha ustępuje miejsca ponurej furii.

– Mówisz poważnie – zauważa. – Wyjeżdżasz z Białej Róży. Zostawiasz wszystko, nad czym pracowałeś, i jedziesz do Klejnotu. Tam, gdzie jest najbardziej niebezpiecznie.

Przełykam ślinę.

– Tak.

– W porządku. – Ash odwraca się i wspina po drabinie na stryszek. Po chwili na dół zaczynają spadać te nieliczne rzeczy, które trzyma w oborze: zapasowa koszula, zegarek kieszonkowy, zdjęcie jego rodziny, które zabrał ze Sztuby Madame Curio. Opróżniwszy stryszek, Ash wraca na dół. – Jadę z tobą.

– Co? Nie, Ash, nie możesz.

– A ty możesz?

– Nie wyglądam jak ja! I za mną nie gania milion Gwardzistów, którzy chcą mnie dopaść i zabić. Garnet się o mnie zatroszczy. Będę bezpieczna.

– Garnet ma w tej rewolucji własną rolę do odegrania – odpowiada Ash. – Nie zwolni się z obowiązków, żeby pilnować ciebie. – Zaczyna wrzucać swoje rzeczy do niewielkiej torby. – Wszyscy w tym pieprzonym mieście mają jakieś role do odegrania. Wszyscy poza mną.

Zarzuca sobie torbę na ramię. Jego oczy płoną.

– To kiedy wyjeżdżamy?

Czekam kilka chwil, aż jego oddech choć trochę się uspokoi. Wtedy podchodzę bliżej i kładę dłoń na policzku Asha.

– Proszę, nie możesz – przekonuję. – Nie uda ci się przejść przez Bank. Ktoś cię rozpozna.

– Przestań za wszelką cenę mnie chronić, dobrze? Szkoda, że w ogóle nie starasz się chronić samej siebie. – Kury gdaczą nerwowo, gdy Ash zaczyna chodzić po oborze. – Ciągłe powtarzasz mi, żebym siedział tutaj, był cierpliwy i się nie wychylał. A co, jeśli nie tego chcę? Co, jeśli chcę robić coś więcej, nawet jeśli miałbym ryzykować? Ty uważasz, że skoro Hazel jest w niebezpieczeństwie, możesz tanecznym

krokiem wmaszerować do Klejnotu i oczekujesz, że wszyscy to rozumieją. No cóż, Violet, ja nie rozumiem.

– Ona jest w niebezpieczeństwie.

– Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie! – krzyczy Ash. Turnip rży i potrząsa grzywą. Ash przesuwając dłoń po muskularnej końskiej szyi, by uspokoić klacz. – Naprawdę nie dostrzegasz własnej hipokryzji? Nie rozumiesz, jakie to niesprawiedliwe, że ty możesz się narażać, a ja nie? Towarzysze to moje surogatki, Violet. To moi ludzie. I oni również cierpią, tyle tylko, że nie mają żadnych specjalnych zdolności, więc kogo to obchodzi? Kogo to obchodzi, że to bystrzy, utalentowani młodzi mężczyźni, których się wykorzystuje i którymi się manipuluje. To po prostu śliczni mali chłopcy, których można wydymać, zepsuć i zostawić. Dlaczego ich los miałby mieć jakieś znaczenie?

– Nie o to... To jest Hazel, Ash. Moja siostra. Zrobiłbyś to samo dla Cinder.

Nie powinnam tego mówić, zdaję sobie z tego sprawę, gdy tylko słowa ulatują z moich ust. Ash gwałtownie podrywa głowę. Jego pałające gniewem spojrzenie sprawia, że aż się kulę.

– Nie waż się – mówi zimno.

Policzki mi płoną.

– Przepraszam. Chodziło mi o to, że każdy z nas ma kogoś, dla kogo byłby gotów się poświęcić.

– A mnie kto został, Violet? Ty. Tylko ty. – Ściąga torbę z ramienia i rzuca ją na ziemię. – Ale tobie chyba się wydaje, że jako jedyna możesz dokonywać trudnych wyborów. I zdaje się, że zupełnie nie rozumiesz, że te wybory mają wpływ na innych ludzi, również na mnie.

Przez kilka sekund wbija we mnie wzrok, po czym potrząsa głową, obraca się na pięcie i wypada z obory prosto w noc.

Kiedy Raven zagląda do obory, by oddać mi arkana, natychmiast spostrzega, że coś jest nie tak.

Właściwie nawet nie muszę jej opowiadać o tym, co poróżniło mnie z Ashem. Najwyraźniej wcale nie mówiłam tak cicho, jak mi się wydawało. Raven odsuwa na bok słomianą kukłę, którą Ash zmajstrował, żeby uczyć na niej Raven cięć i pchnięć, sadza mnie na beli

siana i obejmuje ramieniem.

– Jest przerażony i wściekły – mówi. – I chce ci jakoś pomóc.

– Rozumiem, ale mam wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim by się znalazł, gdyby opuścił to miejsce. Nie mówię, że w niego nie wierzę, ale...

– Naprawdę? – pyta Raven. W jej głosie nie ma nagany, ale i tak pytanie sprawia, że się wzdrygam.

– Co mam mu twoim zdaniem powiedzieć? Tak, Ash, świetny pomysł, jedź do Banku, a ja będę trzymać kciuki, żeby cię nie złapali?

– Violet, w tym mieście są ludzie, na których mu zależy. A tutaj, w tym domu, rozmawiamy właściwie tylko o surogatkach. Czy bodaj słowem wspomnieliśmy o Towarzyszach? Nikt tego nie robi, nikt się o nich nie troszczy. Ani Lucien, ani Garnet... – Raven przechyla głowę. – Każdy z nas prowadzi swoją własną bitwę. Nie chcę, żebyś wracała do Klejnotu. Boję się o ciebie tak samo jak Ash. Po prostu znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy nie ma się co z tobą spierać. – Trąca mnie ramieniem. – Lepiej na siebie uważaj. Opiekuj się Violet. I, przez wzgląd na mnie, miej oko na Garneta.

Uśmiecham się, choć echa kłótni wciąż pobrzmiwają mi w głowie.

– Tak, proszę pani.

– Ciekawe, jaka jest jego żona.

– Z tego, co nam opowiadał, to niezbyt fascynująca. – Garnet, jeśli tylko może, stara się w ogóle nie wspominać o Coral. Zwłaszcza przy Raven.

Raven zeskakuje z beli.

– No więc znowu będziesz służącą. Hej, może to całkiem niezły pomysł. Może dowiesz się, czy służba w Domach nie jest przypadkiem niezadowolona z życia i da się coś na tym dla nas ugrać.

Wiem, że próbuje jakoś pomóc, wskazać jasne strony ciemnej sytuacji. Doceniam to.

– Tak – rzucam i milknę na moment. – On... Wrócił do Róży? Jest w domu?

– Nie – odpowiada Raven. – Nie wiem, gdzie poszedł.

Ściskam ją lekko na pożegnanie i szykuję się do spania. Trzymając

porzuconą przez Asha torbę z drobiazgami, wspinam się na drabinę. Niedługo później kładę się i zamykam oczy z nadzieją na sen. Ale pod powiekami widzę wciąż i wciąż Wybrankę sączącą truciznę do szklanki Hazel. Albo zatrudniającą kogoś, by zepchnął moją siostrę ze schodów. Albo udusił ją poduszką...

Ale przecież Diuszesa nie spuszcza Hazel z oka, upominam się. Czy jej opieka nie powinna wystarczyć, by Hazel nic się nie stało?

Otwieram oczy i zagapiam się w belki sufitowe. Ze wszystkich sił staram się zapanować nad myślami, nad narastającą frustracją i kolejnymi ponurymi wizjami. Zawsze myślałam, że czynienie dobra to prosta sprawa. A jeśli nawet nie samo czynienie, to określenie, co jest dobre, a co złe. Ale teraz chcę odrzucić wszystko, nad czym pracowałam, żeby uczynić coś nieprzemyślanego i groźnego. Nawet nie wyglądam już jak ja.

Słyszę skrzypnięcie drabiny i siadam na posłaniu.

– Ash? – szepczę. Czuję jego ciężar, gdy kładzie się obok mnie. – Tak mi przykro. Nie chciałam...

– Ciii. – Drzę, gdy dotyka wargami moich warg. Przyciągam go bliżej, wdzięczna za jego krzepiącą obecność, za ciepło jego ciała i znajomy zapach skóry.

– Nie chcę się z tobą kłócić – mówi cicho Ash.

– Ja też nie chcę.

Przesuwa palcami po mojej szyi i obojczyku. Mam na sobie tylko cieniutką koszulę, kiedy więc jego dłoń sunie niżej, w kierunku brzucha, dostaję gęziej skórki.

– Myślałaś kiedyś o tym, co... co będzie potem? – pyta cicho Ash.

– Potem? – pytam półprzytomnie, bo palce Asha zatoczyły koło wokół mojego pępka i przesuwają się powoli na moje prawe biodro.

– Po tym wszystkim – szepczę, dotykając ustami mojej szyi. – Po tym, jak już ocalisz Hazel. Po walce, po tym, jak już obalisz mury. Po tym, jak wyrócisz to miasto do góry nogami, odmienisz ludzkie życie. Powiedzmy, że wygraliśmy. Arystokracja została obalona. Czego pragniesz?

– Nie wiem – odpowiadam, gdy dłoń Asha obejmuje moje udo. – Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Tyle planowania, a ty nie masz nawet pojęcia, jakiego życia byś chciała?

– Może tak naprawdę nie wierzę w to, że wygramy.

– A może po prostu boisz się przyszłości.

Całuję delikatnie wgłębienie u podstawy jego szyi.

– A czego ty byś chciał?

Jego dłoń zastyga na moim kolanie.

– Niczego – mówi i odsuwa się ode mnie.

– Hej! – Przerazona jego reakcją wplątam palce w jego włosy i przyciągam go do siebie. – Powiedz mi.

Ash wzdycha.

– Chcę zostać farmerem – oznajmia.

Czekam na jakieś rozwinięcie, ale nie mówi ani słowa więcej.

– I to... wszystko? – Nie chcę go urazić tym pytaniem, ale czuję się nieco zagubiona.

– Nie uważasz, że to głupie? – mamrocze Ash. – Nie sądzisz, że po tym, jak spotkałem tych wszystkich niesamowitych ludzi tutaj, po tym, jak poznałem bogactwo, próbowałem wykwintnego jedzenia i nosiłem szykowne ubrania, powinienem chcieć czegoś więcej?

– Myślę, że to wszystko zbyt drogo nas kosztuje – odpowiadam. – Będę szczęśliwa, jeśli nigdy więcej nie zobaczę na oczy sukni ze złotogłowiu. Gdzie chciałbyś mieć tę farmę? To znaczy poza tym, że na Farmie, oczywiście.

Ash układa się wygodniej. Leży teraz na boku, podpierając głowę na dłoni.

– Są takie ruiny gospodarstwa około pięciu mil od wioski Whistlera. Ochre mi je kiedyś pokazał. Dobre miejsce, żeby ukryć garstkę młodzików, którzy by do nas dołączyli, gdy na dzień czy dwa przed Aukcją nie będą wracać po pracy do domu. Ale pomyślałem... Pomyślałem, że mógłbym odbudować tę farmę. Może Sil sprzedałaby mi kilka kur i kozę. Zdobyłbym trochę ziarna. Chciałbym pracować na roli. No i lubię zwierzęta. Myślę, że pasowałyby mi takie życie. Wiesz, uprawianie własnego jedzenia, naprawianie narzędzi. Chciałbym po prostu mieć dom.

Gdy dociera do mnie, że na pięknym obrazie, który namalował

słowami Ash, mnie nie ma, do oczu napływają mi łzy.

– Och – wyduszam łamiącym się głosem. – Brzmi miło.

– Płaczesz? – Ash jest wyraźnie skonfundowany.

– Nie, nie – zapewniam, pospiesznie ocierając łzy.

Niemal słyszę, jak trybiki w mózgu Asha zaskakują.

– Myślisz, że nie chcę prowadzić takiego życia razem z tobą? – pyta.

– Nie – powtarzam, ale to, oczywiście, kłamstwo.

– Violet, do głowy mi nie przyszło wyobrażać sobie przyszłość bez ciebie – zapewniam. – Ale nigdy nie brałem za pewnik tego, że moje plany są zbieżne z twoimi. Masz prawo sama wybrać, co chciałabyś robić i z kim zamieszkać.

– A co, jeśli twoja wizja naprawdę mi się podoba? – mamroczę. – Co, jeśli chcę ci pomóc odbudować tamto miejsce? Założę się, że przekonałabym Sil, żeby dała nam Turnip, bo ta klaczka i tak woli ciebie od Sil. No i mogłabym mieć ogródek z chryzantemami, taki, jaki miała mama pod kuchennym oknem. Mogłabym się połączyć z Ziemią, żeby pomóc ci przy siewie, a potem z Wodą, żeby nawodnić pole. Mogłabym z pomocą Ognia ogrzewać nasz dom zimą, i chłodzić go latem Powietrzem.

Widzę to, widzę to tak wyraźnie, że aż boli mnie serce. Niewielki frontowy ganek z bujnie rosnącym, nieco dzikim ogródkiem. Biały domek z niebieskimi okiennicami. Mnie i Asha razem pracujących w polu, zmęczonych, spoconych, ubrudzonych ziemią po całym dniu pracy. I szczęśliwych. Szczęśliwych we własnym domu.

Kiedy Ash znów się odzywa, jego głos jest chrapliwy.

– To brzmi... cudownie.

– Oczywiście Raven musiałaby zamieszkać niedaleko – mówię.

– I Garnet.

– I Indi.

– A Sienna?

– Tak, Sienna tak, ale nie Olive.

– Nie. – Ash parska cichym śmiechem. – Nie Olive.

Wzdycham i kładę się na wznak na grubym kocu, na którym śpimy.

– Chcę tego, Ash. Chcę tego tak bardzo, że niemal czuję się, jakbym już...

– Ja też, Violet. Ja też.

Pozwalam sobie popuścić wodze fantazji i wyobrażam sobie świat, w którym moja siostra nie musi żyć w strachu przed własnym ciałem i jego mocami i w którym mój brat nie musi pracować w odgórnie narzuconym miejscu. Wyobrażam sobie, jak upadają mury, jak w mieście znikają podziały, a ludzie jednoczą się ze sobą.

Zasypiam, wciąż czując smak ust Asha na wargach, a w głowie tańczą mi fantazje na temat czekającej nas lepszej przyszłości.

Niestety, rankiem po dobrym humorze Asha nie ma śladu. Łagodność została zastąpiona przez napięcie i wściekłość z powodu mojego wyjazdu.

Wiem, że Ash stara się to ukryć, ale dostrzegam gniew w jego zmrużonych oczach i zaciśniętych ustach, a w głosie wyczuwam ostrość.

Nie tylko Ash jest spięty. Nawet Indi ma problemy z zachowaniem swojego zwykłego optymizmu. Kiedy Garnet kontaktuje się ze mną, by poinformować, do którego pociągu powinnam wsiąść, nikt się już nie uśmiecha. Tylko Raven zmusza się do niewesołego grymasu.

Stojąc przy wozie Sil, ściskam po kolei dziewczyny, obiecując im, że niedługo się zobaczymy, i przypominając, by powtarzały sobie plany Domu Aukcyjnego. Ash zamyka mnie w mocnym uścisku i szepce mi do ucha gniewnym tonem:

– Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważać. Obiecuj.

– Obiecuję – szepczę.

– Chciałbym móc jakoś przekazać Rye'owi, żeby miał na ciebie oko.

– Myślisz, że mnie rozpozna? – pytam.

Ash zakłada mi za ucho złocisty kosmyk włosów.

– Nie – mruczy. – Poza tym ma za dużo roboty z Carnelian, żeby zwracać uwagę na nową służącą.

– Powinnam mu powiedzieć, kim jestem?

– Nie wiem, Violet. To mogłoby być ryzykowne. – Ash zaciska zęby. – I uważaj na Carnelian.

– Jasne. – Niespecjalnie tęsknię za tym, by znów mieszkać z nią

pod jednym dachem.

– Violet, mówię śmiertelnie poważnie – ostrzega mnie Ash. – Carnelian jest znacznie bystrzejsza i bardziej inteligentna, niż jesteś gotowa przyznać.

– No cóż, z radością będę jej unikać – kwituję. Nie mam ochoty rozmawiać o Carnelian.

Całujemy się po raz ostatni, a potem Sil wsiada na wóz i dołączam do niej.

Raven unosi na pożegnanie dłoń. Ash stoi na ganku i patrzy za nami, póki wóz nie wtacza się do lasu i Biała Róża nie znika, połknięta przez gęsto rosnące drzewa.

– Muszę przyznać, że wiesz, jak zrobić konkretną burdę – mruczy Sil.

– Nie chcę się z tobą kłócić – odpowiadam sucho.

Sil kiwa głową i znów potrząsa lejcami. Resztę drogi przejeżdżamy w kompletnym milczeniu. Nie mogę przestać myśleć o tym, że być może już się spóźniłam. Co wtedy? Co, jeśli Hazel właśnie umiera? Co, jeśli właśnie w tej chwili dzieje się jej coś złego? Wolne tempo konia doprowadza mnie do szału. Pola rozciągają się wokół nas niczym nieskończony ocean żółtawych i brązowych fal.

Gdy wreszcie zajeżdżamy na stację Bartlett, plecy bolą mnie od napięcia. Sil czeka ze mną, aż pojawi się pociąg.

– Masz dokumenty? – upewnia się. Macham przed nią podrobionymi zezwoleniami, które pozwolą mi dostać się do Banku. Zanim dojadę do Klejnotu, czekają mnie dwie przesiadki. Mam na sobie brązową suknię, tę, która wygląda jak uniform służącej.

– Trzymaj, jeszcze kilka diamentów na wszelki wypadek. – Sil wciska mi w dłoń pieniądze. Gardło mam ściśnięte, więc dziękuję jej skinieniem głowy. – No cóż – mówi Sil, gdy pociąg z piskiem zatrzymuje się na stacji i otwierają się drzwi wagonów. Nagle zamyka mnie w krótkim, szorstkim, ale i czułym uścisku.

– Dziękuję, Sil – szepczę. – Za wszystko.

– Idź. Już pora – oznajmia, pocierając oczy i ruszając w kierunku wozu. Dołączam do grupy ludzi oczekujących na wejście do pociągu. W środku udaje mi się znaleźć wolne miejsce przy oknie. Turnip i Sil są

już w drodze do Białej Róży.

Pociąg rusza i zaczyna się pierwszy etap czekającej mnie morderczej podróży. Żeby dostać się do Banku, będę musiała przesiąść się na jednym z największych dworców na Farmie.

Naprawdę powinnam się na to porywać? Czy niebezpieczeństwo grożące Hazel usprawiedliwia tak wielkie ryzyko?

Kiedy za oknami pociągu przesuwiają się krajobrazy Farmy, myślę o tym, jak to by było czekać w Róży przez cały miesiąc, z daleka od Hazel, codziennie budzić się, nie wiedząc, czy moja siostra żyje, czy zginęła i mieć pewność tylko co do jednego: że to moja wina. Nie mogłabym tak żyć.

Główny dworzec jest wielki i głośny, kłębi się na nim tłum ludzi. Odszukuję mój pociąg, wielkiego szarego potwora, i zajmuję miejsce naprzeciwko robotnika czytającego egzemplarz „Kuriera Samotnego Miasta”. Wielki nagłówek na pierwszej stronie głosi: „Hierarcha i Wybranka obiecują, że tegoroczna Aukcja przyćmi wszystkie poprzednie”. Na dole dostrzegam inny artykuł, krótki i złożony o wiele mniejszą czcionką: „Pięć ofiar wybuchu. Czy to znowu Sprzysiężenie Czarnego Klucza?”

Przez całą drogę żołądek podjeżdża mi do gardła. Jest mi niedobrze zwłaszcza wtedy, kiedy sunąc przez Dym, mijamy wypaloną ruinę działającej niedawno fabryki, która została wysadzona w powietrze. Na poczerniałych ścianach widnieją symbole klucza. Widzę, jak trzech Gwardzistów okłada na ulicy jakiegoś mężczyznę. Pociąg nie zwalnia i po chwili niepokojący widok zostaje za nami.

Jednak przez resztę podróży nie mogę przestać myśleć o tym, co ujrzałam. Wiem, że trwa rewolucja, ale dotąd właściwie nie widziałam jej z bliska. Słyszałam opowieści Luciena i Garneta, czytałam gazety, ale wcześniej ani razu nie miałam okazji na własne oczy przekonać się, jak to naprawdę wygląda. Jest wielka różnica między czytaniem czarnych liter, a patrzeniem na czarne ruiny.

Kiedy pociąg staje na stacji w Banku, obsługa każe nam go opuścić i skierować się do innego. Żołądek mam tak ściśnięty, że poważnie się obawiam, że zostanie mi taki na zawsze. Pod pachami mam mokre plany, a po krzyżu spływają mi krople potu. Garnet mówił, że na stacji

powinna być grupka jadących do Klejnotu służących, ale ja widzę tylko mężczyzn w cylindrach i uzbrojone w parasole kobiety.

Na szczęście chwilę później na stację zajezdza kryty wóz i wysypują się z niego odziane w brązowe sukienki kobiety w najróżniejszym wieku, od kilka lat młodszych ode mnie, aż po niemal tak wiekowe jak Sil. Głównodowodząca tą zgrają pośpiesza je przy wysiadaniu.

Pospiesznie wślizguję się w tłumek i zajmuję miejsce za dziewczyną z kręconymi brązowymi włosami. Czekamy cierpliwie, aż na stację przybędzie kolejny, tym razem zmierzający do Klejnotu pociąg.

Nagle ktoś chwyta mnie za ramię.

– Gdzie twój czepek? – Jakaś kobieta pod trzydziestkę mierzy mnie gniewnym spojrzeniem.

– Co? Ja... Och, tak. Zgubiłam go – mówię. Kłamstwo przychodzi mi tak naturalnie, że aż się sobie dziwię.

Nieznajoma cmoka z niezadowoleniem.

– Trzymaj ten, dobrze, że mam zapasowy. – Podaje mi białe nakrycie wykończone koronkową falbanką, identyczne, jak sama nosi. – I postaraj się go nie zgubić.

– Oczywiście. Dziękuję.

– Masz szczęście, że nie przyjechałaś tak do Klejnotu – oznajmia, kiedy zaczynamy wsiadać do pociągu. Spozrzegam, że wszystkie służące kierują się do niewielkiego, umieszczonego na przedzie pociągu przedziału oddzielonego od tych dla możliwych mieszkańców Banku. – Dwórki potrafią być dla nowych dziewczyn bardzo nieprzyjemne. Mogłyby po prostu odesłać cię z powrotem, a tego byś nie chciała, prawda?

Potrząsam głową.

– Który Dom cię zatrudnił?

– Dom Jeziora.

– Naprawdę? – Kobieta wygląda na zaskoczoną. – Nie wiedziałam, że szukają jeszcze kogoś do pracy.

– Zatrudnił mnie pan Garnet z Domu Jeziora – wyjaśniam, upominając się w duchu, żeby używać jego tytułu. – Dla jego żony.

– Och, no tak, czyli wreszcie postanowił znaleźć swojej żonie

porządną dwórkę. A myślałam, że Diusza nigdy na to nie pozwoli. Och! – Nieznajoma zatyka sobie usta dłonią. – To znaczy... Nie powtarzaj tego, proszę. Nie chciałam. Ja...

– Nie martw się – odpowiadam, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu. – Ani mru mru.

Kobieta uśmiecha się krzywo.

– Dzięki.

Wsiadamy do ciasnego przedziału, w którym są tylko miejsca stojące. Nie ma tu ani foteli, ani ławek. Po chwili słychać gwizd i drzwi zamykają się z hukiem. Ruszamy.

– Nie widziałas wcześniej Klejnotu, prawda? – dopytuje kobieta.

– Nie – kłamię.

Muszę wyglądać na nieźle przerażoną, bo nieznajoma wyraźnie łagodnieje.

– Jak się nazywasz?

– Lily. – Po raz kolejny odpowiadam właściwie bez zastanowienia, cieszę się jednak, że wybrałam akurat to imię. Upamiętnia moją jasnowłosą koleżankę z Bramy Południowej. Lily jest w ciąży i mieszka teraz w Banku.

– No cóż, Lily – rzuca kobieta, spoglądając na słońce za oknem dekadencjonalnych domów. – Przygotuj się na coś niesamowitego.

Rozdział 6

Żelazne wrota otwierają się ze zgrzytem.

Wstrzymuję oddech, gdy pociąg przejeżdża powoli przez mur oddzielający Klejnot od Banku. Kiedy niemal siedem miesięcy temu zmierzałam na Aukcję, nie widziałam tunelu, bo na tym etapie podróży byłam już nieprzytomna. Dopiero teraz dostrzegam, jak gruby jest ten mur. Nie dam głowy, czy nie równie gruby jak ten, który otacza całą wyspę. Zanurzamy się w kompletnych ciemnościach i myślę tylko o jednym: czy osiemdziesiąt jeden surogatek da radę go zburzyć.

Nie, nie surogatek, powtarzam sobie. Surogatki są niewolnicami. Osiemdziesiąt jeden Paladynek.

Po minucie otchłannej przejażdżki w ciemności gęstej jak smoła wyjeżdżamy w jasne światło Klejnotu. Przez chwilę gapię się na okolicę z otwartymi ustami. Już zapomniałam, jakie to złudnie piękne miejsce.

Budynki przy murze to nie pałace, ale i tak zapierają dech w piersi. Mijamy restaurację wybudowaną w całości ze szkła. Na trzech piętrach ludzie jedzą, piją i śmieją się. Na polu do krokieta dwie nastolatki popychają wielobarwne kule pod czujną opieką swoich dwórek (mężczyzny i kobiety). Kawałek dalej widzę budynek z różaną kopułą i złocistymi iglicami.

Dom Aukcyjny.

Pociąg dojeżdża do najładniejszej stacji, jaką kiedykolwiek widziałam, z niewielkim, wyglądającym na wygodny, dom-kiem, w którym ludzie mogą oczekiwać na pociąg. Przy ulicy stoi rząd samochodów.

Dowiadujemy się, że mamy siedzieć cicho, póki inni podróżni nie opuszczą pociągu. Dopiero gdy zostajemy same, wychodzimy grzecznie z wagonu, jedna po drugiej. Czekają na nas trzy wozy. Opiekunka podprowadza nas kolejno, kierując się tym, w których Domach mamy pracować. Czekam, zdenerwowana, na swoją kolej, kiedy nagle słyszę znajomy głos.

– Nie ta! Skrzynia musi mieć znak Domu Płomienia.

Ostatni raz widziałam Luciena w Białej Róży, kiedy prosiłam go

o ratunek dla Sienny. To było ponad dwa miesiące temu. Teraz wygląda na zirytowanego i zniecierpliwionego, usta ma wykrzywione, a na czole gniewne zmarszczki. Jego włosy są, jak zawsze, w idealnym porządku. Nerwowo pociąga za koronkowy kołnierz białej szaty, gdy dwóch mężczyzn ładuje ciężką skrzynię na tył błyszczącego powozu z symbolem Hierarchy, płomieniem w koronie i dwiema skrzyżowanymi włóczniami.

– Co ja wam mówiłem? Ostrożnie! – warczy.

Wiedziałam, że Lucien właściwie dowodzi służbą w domu Hierarchy i Wybranki, ale nigdy go takim nie widziałam. Wydaje się... wredny.

Nagle obraca się i wodzi wzrokiem po nas, wciąż ustawionych w równy rząd i czekających na przydział, szukając znajomej twarzy. I nie znajduje. Choć patrzy również na mnie, w jego oczach nie dostrzegam nawet najłżejszego błysku rozpoznania. Wydaje się nawet ciut zawiedziony.

Chyba powinnam czuć ulgę. To dobrze, że nawet Lucien nie umie mnie dostrzec. Mimo wszystko odrobinę mnie to boli.

– To ostatnia, proszę pana – mówi jeden z mężczyzn.

– Dobrze – odpowiada Lucien i podaje mu kilka diamentów.

– Dom?

Podskakuję. Dowodząca nami kobieta wbija we mnie wzrok.

– Dom? – powtarza.

– Dom Jeziora.

– Trzeci wóz. – Pokazuje palcem ten najbardziej po prawej. Pokornie pochylam głowę i po chwili wspinam się na tył pojazdu. Góra osłonięta jest brązowym, płóciennym dachem, a po obydwu stronach są ławki. Siadam obok dziewczyny z burzą czarnych, kędzierzawych włosów.

– Któremu Domowi służysz? – pyta.

– Och, ja... Jadę do Domu Jeziora.

– O! Ja też jadę do jednego z Domów Założycieli – oznajmia dziewczyna. – Konkretnie do Domu Róży. To twój pierwszy raz w Klejnocie?

Kiwam głową.

– Mój też. Jestem Rabbet, a ty?

Wóz powoli się zapełnia. Niektóre dziewczyny milczą, niektóre szepczą między sobą.

Niemal wyjawiam swoje prawdziwe imię. Powstrzymuję się w ostatniej chwili.

– Jestem Lily.

– Jakie ładne imię – mówi Rabbet. – A z którego Kręgu jesteś?

– Z Farmy – odpowiadam, kiedy wóz powoli rusza. Jakaś część mnie chciałaby, żeby Rabbet przestała gadać i dała mi pomyśleć, a inna cieszy się z rozmowy, bo pomaga mi ona zdławić lęk. – A ty?

– Z Dymu. Kiedy miałam osiem lat, zostałam pomocą kuchenną w Banku, potem awansowałam na podkuchenną i wreszcie na pokojówkę. Moja pani chciała mnie zrobić swoją osobistą służącą, ale umarła.

– Przykro mi – wyduszam.

Rabbet wzrusza ramionami.

– Za to teraz będę pracowała w Klejnocie! Ciekawa jestem, jak wygląda Pałac Róży.

Widziałam kiedyś ten pałac przelotem, przejeżdżaliśmy koło niego w drodze na pogrzeb Dahlii. Wykonany z nefrytu, przypominał wielką choinkę.

Mogę wyglądać na zewnątrz jedynie przez tył wozu. Spodziewam się zobaczyć dokładnie to samo, co widziałam przez okna automobili, kiedy byłam surogatką Diuszesy, czyli fantastyczne pałace wyrastające za pozłaczanymi bramami. Jednak droga, którą jedziemy, jest nierówna i wyboista, w niczym nie przypomina dróg, które pamiętam. I nie widzę żadnych pałaców, a jedynie wysokie mury po obydwu stronach drogi. Na szczycie każdego z tych murów znajdują się paskudne kolce.

Czyżbyśmy byli na tyłach dworów?

Tak, to by miało sens. Arystokraci nie chcieliby oglądać takiego wozu na swoich cudownych ulicach. Najlepiej, gdyby nie musieli oglądać również służących.

Moje podejrzenia się potwierdzają, kiedy przystajemy po raz pierwszy.

– Dom Zawieruchy – wykrzykuje woźnica. Z wozu zeskakują

brunetka i blondynka. W murze znajdują się żelazne drzwi, obok nich zaś dzwonek. Kiedy jasnowłosa pociąga za niego, ruszamy przed siebie. Chwilę później drzwi się otwierają. Brunetka popatruje za nami z lękiem, póki nie znikamy jej z pola widzenia.

Nigdy nie przyszło mi do głowy szukać drzwi w murze okalającym posesję Diuszesy. A przecież kochałam snuć się po jej dzikim ogrodzie.

Zmuszam się, by nie myśleć o tamtych spacerach, bo każde wspomnienie ogrodu wiąże się z Annabelle. Teoretycznie była moją dwórką, tak naprawdę zaś przyjaciółką. Moją pierwszą przyjaciółką w Klejnocie. Była słodka i dobra, a Diuszesa zamordowała ją na moich oczach.

Przed oczyma staje mi obraz Annabelle umierającej na podłodze mojej sypialni i w moim wnętrzu budzi się potwór winy i wyrzutów sumienia. Na krótką chwilę mocno zaciskam oczy, by choć trochę się uspokoić.

Robimy jeszcze dwa przystanki i nadchodzi kolej Rabbet.

– Dom Róży – krzyczy woźnica.

– Życz mi szczęścia – szepce bez tchu dziewczyna.

– Powodzenia – mówię z suchym uśmiechem. Wóz znowu rusza. Jeszcze jeden Dom. I kolejny.

– Dom Jeziora – oznajmia wreszcie nasz szofer.

Kolana uginają się pode mną, kiedy złażę z wozu i staję pod żelaznymi drzwiami prowadzącymi do pałacu Diuszesy. Tak bardzo zaschło mi w gardle, że z trudem przełykam ślinę. Mam wrażenie, jakby moje kończyny zapomniały, do czego służą. Wóz odjeżdża, a ja śledzę go wzrokiem, spanikowana, myśląc, że to chyba jednak nie był taki dobry pomysł. Po chwili upominam samą siebie, że gdzieś tam, za tymi drzwiami, znajduje się Hazel i jakimś cudem moja ręka unosi się i pociąga za przymocowaną do dzwonka linę.

Mija kilka sekund. Potem minuta. Dwie. Nic.

Dzwonię po raz kolejny. I znowu.

A co, jeśli Garnet zapomniał powiedzieć komuś, że przyjadę? Co, jeśli Diuszesa oznajmiła, że nie, nie zatrudni żadnej dwórki? Co, jeśli za chwilę ktoś pojawi się na tej drodze i zacznie mi zadawać różne pytania. Co, jeśli...

Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem.

– Czego chcesz?

Nie znam kobiety, która stoi przede mną. Starsza i zaokrąglona na twarzy, ma oliwkową skórę i zmarszczki wokół oczu.

– Ja... Przyjechałam do pracy – dukam.

Kobieta mierzy mnie zmrużonymi oczami.

– Nie słyszałam, żeby Cora miała zatrudnić kogoś nowego.

– Nie Cora, Garnet.

Kobieta z plaśnięciem uderza się dłonią w pierś.

– A niech mnie! Wybacz proszę, ale kiedy mi oświadczył, że przyjął dwórkę, pomyślałam, że to kolejny z jego dowcipów. Chodź, chodź, zaraz znajdziemy ci odpowiednie ubrania. Jak się nazywasz?

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, bo kiedy zjawiłam się tu poprzednio, nie tylko nikt nie pytał mnie o imię, ale i nikomu nie wolno było wypowiedzieć go głośno.

– Lily – przedstawiam się.

– No cóż, niedługo dostaniesz jakieś odpowiednie imię dla dwórki. Jestem Maude.

Kiedy przekraczam granicę posiadłości, wspomnienia stają się tak silne, że niemal przygniatają mnie do ziemi. Wszystkie te przechadzki z Annabelle, dzień, kiedy pokazała mi cieplarnię, te wszystkie chwile, kiedy po prostu siedziałyśmy obok siebie na ławce, słuchając śpiewu ptaków i wiatru szumiącego w koronach drzew. Pamiętam, jak dowiedziałam się, że Raven mieszka obok, i patrzyłam na wysoki, oddzielający nas od siebie mur. Pamiętam, jak wysyłałam jej znaki, guziki, wstążkę do włosów, cokolwiek, żeby wiedziała, że nic mi nie jest. Pamiętam, jak zobaczyłam Asha całującego Carnelian w sali balowej, pamiętam potworny ból, kiedy pojęłam, że Ash nigdy nie będzie mój. Pamiętam, jak poszedł za mną do zielonego labiryntu i jak wyznał mi, że nienawidzi swojego życia. Tamtego dnia zaczęłam pojmować, że jesteśmy tacy sami.

– Przejście do kuchni jest tutaj, za posągiem – mówi Maude, wskazując nadgryzioną zębem czasu statuetkę młodego łucznika z wilkiem u boku. – Ale na razie pokażę ci teren. Chodź.

Zachowuję się, jakbym nie wiedziała, o czym mówi. Przechodzimy

przez ogród, w którym na drzewach rozkwitają pierwsze pączki, a promienie słońca prześlizgują się między gałęziami. Mijamy stary dąb, na którym doktor Blythe kazał mi ćwiczyć trzecią Augurię, Wzrost. Drzewo jest wielkie i myślałam wtedy, że nigdy mi się nie uda. Myliłam się. Pamiętam, jak krew ciekła mi z nosa, a doktor, pełen uznania, klaskał.

Zauważam również kilka rzeczy, które wcześniej umknęły mojemu postrzeganiu, bo nie byłam jeszcze Paladynką. Ziemia pachnie tu inaczej niż na Farmie, w jej woni jest chemiczna nuta, która sprawia, że marszczę nos. Kiedyś sądziłam, że drzewa i krzewy rosną tutaj dziko, teraz jednak dostrzegam, że wcale tak nie jest. Ich wolność jest pozorna, tak naprawdę miejsce każdej gałązki zostało starannie zaplanowane. Biedne rośliny są uwięzione tak samo, jak ja byłam, ściśnięte obok siebie, pozbawione miejsca, nie mogą zaczerpnąć tchu. Ziemia jest żywiołem, z którym najłatwiej mi się połączyć i z którym czuję się najgłębiej związana. Otaczające nas drzewa wyczuwają moją obecność, nadstawiają ucha jak pies, który usłyszał znajomy odgłos. Chciałabym wyciągnąć do nich ręce, połączyć się z nimi.

Mijamy niewielką sadzawkę, przy której powiedziałam kiedyś Ashowi, że nie mogę się z nim więcej spotkać. W płytkiej wodzie kręcą się ruchliwe pomarańczowo-białe ryby. Mijamy gigantyczny labirynt i wychodzimy na bardziej uporządkowany teren. Zamiast jednak skierować się do drzwi obok sali balowej, z których kiedyś korzystałam po przechadzkach w ogrodzie, Maude skręca ostro na prawo. Okazuje się, że w ziemi, osłonięte kępą krzaków, znajdują się schody prowadzące do prostych drewnianych drzwi. Kiedy Maude je otwiera, okazuje się, że jestem na progu tętniącej życiem kuchni.

Na środku pomieszczenia stoi ogromny drewniany stół. Kilku kuchcików w białych fartuchach wykrzykuje polecenia, miesza w wielkich garnkach i sieka warzywa. Jest tu pięć wielkich pieców i wydaje się, że w każdym coś się dusi, gotuje albo piecze. Podkuchenne, o twarzach pobrudzonych sadzą, szturchają pogrzebaczami płonące drwa albo dokładają kolejne szczapy do stosów porozmieszczanych w różnych częściach pomieszczenia. Jedna z dziewczyn zagniata gargantuiczną ilość ciasta. Musimy znajdować się w niższej części pałacu, bo okna są

tu wysoko, pod sufitem. Przez prostokątne otwory do środka wpada
dienne światło. Z haków i szyn nad głowami pracujących zwisają
miedziane rondle i patelnie. W powietrzu unoszą się cudowne aromaty
pieczonego z czosnkiem mięsa oraz świeżego chleba. W kącie
dostrzegam lokaja flirtującego z jedną z dwórek. Natychmiast
rozpoznaję dziewczynę, to pokojówka Carnelian. Jeśli dobrze pamiętam,
na imię ma Mary.

Powstrzymuję impuls, by dotknąć twarzy i upewnić się, że wciąż
wygląda inaczej.

– A to kto? – pyta nagle kucharka o zaczerwienionej twarzy.
Kobieta jest niemal tak wielka jak Hrabina Kamienia, okrutna była pani
Raven. Ale Hrabina ma bezwzględne, zimne oczy, a oczy tej kobiety są
ciepłe.

– Garnet ją najął, żeby służyła Coral – wyjaśnia Maude.

– I dobrze – kwituje kucharka. – I tak wcześniej czy później kogoś
trzeba byłoby zatrudnić. Chodź tu, mała, poczęstuj się tartą. – Wskazuje
tacę z ciastkami nadziewanymi glazurowanymi jabłkami.
Z wdzięcznością porywam jedno i natychmiast je zjadam.

– Nie ma teraz czasu na jedzenie – oświadcza Maude, pociągając
mnie za sobą.

– Dziękuję – rzucam do kucharki i ocieram z ust okruszki ciasta.
Kobieta uśmiecha się do mnie.

Spieszę za Maude długim kamiennym holem, od którego odchodzą
różne korytarze, a potem wchodzimy po schodach do skrzydła pałacu
przeznaczonego dla służby. Maude prowadzi mnie głównym korytarzem,
a potem gwałtownie skręca w lewo.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia, otwierając drzwi do pokoju,
który okazuje się być połączeniem pokoju wypoczynkowego
i gotowalni. W kącie pomieszczenia znajduje się trójskrzydłowe lustro,
a obok rząd szaf. Pod przeciwległą ścianą stoi kanapa z jedwabnym,
brzoskwiniowym obiciem i niski kawowy stolik z mahoniu. Widzę
również karafkę wody i dwie szklanki.

– Znajdź sobie sukienkę, która będzie na ciebie pasować. Ubrania
dwórek powinny być... – Otwiera jedną z szaf, zamyka i otwiera
kolejną. – O, są. Proszę bardzo.

W szafie wisi cały rząd białych sukien z wysokimi koronkowymi kołnierzykami. Żołądek zaciska mi się w supeł. Mam wrażenie, jakby to wszystko było nierealne, to, że tu jestem jako ktoś inny, że nikt mnie nie poznaje. Wbijam spojrzenie w ubrania. Czy to te same sukienki, które nosiła Annabelle?

– Lily, streszczaj się, nie mamy całego dnia. – Maude sięga do szafy i wyciąga jedną z białych sukien. – Tak na oko to ta powinna pasować.

Kiedy mi ją podaje, dociera do mnie, że mam się przebrać tu i teraz. Czując ukłucie żalu, że oto rozstaję się z ostatnią rzeczą, która łączy mnie z Białą Różą, ściągam z siebie suknię. Odzienie dwórki pasuje na mnie całkiem dobrze i uznaję, że nie mogło należeć do Annabelle, która była ode mnie sporo szczuplejsza i miała mniejszy biust. Koronka drapie mnie w gardło.

– Wyglądasz świetnie. A teraz cię uczeszymy. – Maude sięga ręką do mojego zamotanego nisko na karku koka. Cofam się.

– Nie trzeba, sama to zrobię – zapewniam. Naprawdę nie uśmiecha mi się wyjaśniać jej, co w moich włosach robi srebrny kamerton, z którym nigdy się nie rozstaję. Czekam, aż kobieta odwróci się do mnie plecami, po czym pospiesznie upinam na czubku głowy ciasny koczek, taki sam, jak nosiła Annabelle. Udaje mi się schować arkana w środku.

– Bardzo dobrze – ocenia Maude. Psika mnie jakimiś kwiatowymi perfumami i oświadcza, że mogę się już pokazać na salonach.

– W tej chwili jej wysokość i Cora są poza pałacem – mówi. – Jestem zaskoczona, że Cora nie wolała zaczekać na twoje przybycie. Zazwyczaj sama wita nowe dwórki.

– Pewnie ona również nie uwierzyła Garnetowi – rzucam.

Maude chichocze.

– Masz rację, moja droga, najpewniej tak właśnie było. No cóż, czyli to na mnie spada pokazanie ci co i jak.

Uśmiecham się. Wycieczka po pałacu bez ryzyka wpadnięcia na Corę i Diuszesę? To wymarzona okazja, żeby rozejrzeć się za Hazel. Być może sama Maude zaprowadzi mnie prosto do niej.

– Nie mogę się doczekać – zapewniam. – Prowadź.

Rozdział 7

Jestem pewna, że szybko opanuję rozkład pałacu, w końcu mieszkałam tu przez trzy miesiące.

Kiedy jednak opuszczamy skrzydło dla służby i przechodzimy przeszklonym łącznikiem do głównej części budynku, Maude przystaje i unosi wiszący na ścianie przy jadalni arras wyobrażający jedną z poprzednich Diuszes Jeziora. Za ciężką materią kryją się schody prowadzące, jak się domyślam, do korytarzy, które widziałam wcześniej.

– Jestem pewna, że wiesz kiedy masz być niewidzialna – rzuca Maude, gdy schodzimy po kamiennych stopniach. Powietrze jest tutaj zauważalnie chłodniejsze i przypomina mi się sekretne przejście prowadzące z pokoju Asha do biblioteki. Ciekawe, czy jest jakoś połączone z korytarzami na dole.

– Może po prostu opowiedz mi o wszystkim – proponuję. – Jestem pewna, że zarówno Garnet, jak i Diuszes woleliby, żebym nie popełniała żadnych błędów.

Maude wydaje się być pod wrażeniem.

– Bystra z ciebie dziewczyna. No dobrze, więc po kolei. Możemy używać głównych korytarzy tylko w porze posiłków i wtedy, gdy Diuszesy nie ma w posiadłości. W pewnych pokojach, dam ci później listę, wolno ci przebywać tylko wtedy, kiedy sprzątasz. Do komnat Diuka nie masz wstępu, do komnat Diuszesy i pokoiów surogatki również nie.

– Wszystko z nią w porządku? – pytam. Nie mogę przepuścić okazji, by dowiedzieć się czegoś o Hazel. – Mam na myśli surogatkę. No wiesz, po tym, jak ten Towarzysz ją zgwałcił i w ogóle. – Kłamstwo pali mi gardło, choć to przecież kłamstwo Diuszesy, historyjka, którą wymyśliła po ucieczce Asha. Dziwnie mi ze świadomością, że Maude wciąż uważa, że ta surogatka to ja.

Kobieta sztywnieje.

– Surogatce nic nie jest. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Oczywiście – zapewniam.

Gdy stajemy u stóp schodów, Maude zaczyna wyjaśniać

przeznaczenie kolejnych korytarzy.

– Jadalnia, biblioteka, sala balowa, główna galeria, salon wypoczynkowy... – Wszystkie te przejścia wyglądają dokładnie tak samo. Kiedy mieszkałam w pięknych pokojach surogatki, nazwy miejscom nadawałam na podstawie tego, co się w nich znajdowało. Był więc hol kwiatów, hol portretów... Zdaje się, że dla służących wszystkie te korytarze to korytarze kamienia.

A jednak, w przeciwieństwie do przejść i komnat, które kiedyś nazywałam, korytarze na dole kipią życiem. Widzę pokojówki, praczki, podkuchenne, lokajów, a także starego kamerdynera (jak mu było na imię? James?), a nawet jednego Gwardzistę. Jest wielki, muskularny i kiwa głową Maude.

– Szósty – mówi kobieta. – Jak tam życie naszych nowożeńców? Mężczyzna uśmiecha się krzywo.

– Bez zmian. Moim zdaniem Garnet chyba wolałby poślubić żółwia.

– To nowa dwórka Coral – przedstawia mnie Maude i puszcza do mnie oko. Gwardzista mało nie dostaje wytrzeszczu.

– Naprawdę wreszcie jakąś zatrudnili? No, nie wierzę!

– Garnet sam to zaaranżował – wyjaśnia Maude.

Gwardzista zwraca się w moim kierunku.

– Powodzenia – mówi, a potem odmaszerowuje korytarzem.

– Jak go nazwałaś? – pytam.

– Powinam była cię przedstawić. To był Szósty. Diuszesa ma sześciu osobistych strażników. – Muszę wyglądać na zmieszaną, bo Maude marszczy brwi. – Nie numerowali ich w pałacu, w którym poprzednio pracowałaś?

Natychmiast przywołuję na twarz maskę spokoju.

– Tak, oczywiście... Ja... Wyglądał jak ktoś, kogo kiedyś znałam. W oczach Maude pojawia się błysk.

– Kochanek?

– Nie – odpowiadam łagodnie.

– To dobrze – stwierdza. – Diuszesa nie toleruje tutaj takich głupot.

– Ja na pewno nie przysporzę jej zmartwień – oznajmiam.

Maude wygląda na zadowoloną.

– Po prostu uważaj na Williama. To piekielnie przystojny lokaj. Przez niego Diuszesa wylała już trzy dziewczyny. Aha, jeszcze jedno. Mamy tu teraz Towarzysza, pamiętaj, żeby trzymać się od niego z daleka. Zwłaszcza po tym, co wywinął poprzedni.

Znów się zastanawiam, czy nie byłoby lepiej wyjawić Rye'owi, kim jestem. Przebywający w Klejnocie Towarzysz mógłby być dla nas wielką pomocą.

Tego właśnie chciał Ash. Ale pragnął zrobić to sam. Czuję ukłucie winy, ale szybko zduszam to w sobie. Ja tu jestem, a nie Ash. I nie mam zamiaru zrezygnować z potencjalnego sojusznika.

Dochodzimy do końca głównego korytarza i Maude, wyrzucając z siebie kolejne instrukcje, prowadzi mnie na schody.

– Diuk nigdy nie wstaje przed jedenastą i generalnie najlepiej w ogóle go omijać – tłumaczy. – Bywa okropny. Diuszesa ma ścisłe zasady dotyczące posiłków, spożywa je o określonych godzinach i tylko w jadalni. Chyba że akurat jej nie ma, bo pojechała gdzieś na kolację albo na obiad, oczywiście. Garnet i Coral wieczorami jedzą razem z nią, będziesz więc musiała zadbać o to, żeby Coral była gotowa nieco przed ósmą.

Mam nadzieję, że pamiętam dość z tego, co robiła Annabelle, żeby uchodzić za wyszkoloną dwórkę. Powinnam była zapytać kogoś w Białej Róży, ale tak naprawdę jedyną osobą, która miała jako takie pojęcie, w co się ubrać na kolację, był Ash.

Ciekawe, czy wciąż jest na mnie wściekły. Wyobrażam go sobie, samotnego na naszym stryszku, jak zamartwia się, gdzie jestem, czy jestem bezpieczna, jak po raz kolejny zastanawia się, dlaczego go zostawiłam. Próbuję postawić się w jego sytuacji i niemal natychmiast przestaję sobie wyobrażać, co zrobiłabym na jego miejscu. Bo byłabym wściekła. Dokonałam wyboru i żałowanie go teraz jest zupełnie bezcelowe.

Drzwi u szczytu schodów są drewniane i nie mają klamki. Maude przesuwa je na bok i wychodzimy do korytarza, który rozpoznaję. To korytarz portretów. Oczy przedstawionych na malowidłach postaci śledzą mnie, gdy Maude zasuwa za nami drzwi.

– No dobrze, więc tutaj jest hala koncertowa. Nikt jej nie używa od

dnia przyjęcia zaręczynowego Garneta, ale Diusza życzy sobie, żeby utrzymywać w niej porządek.

Zaglądam do środka. Ciepłe, pachnące drewnem powietrze przynosi ze sobą kolejną falę wspomnień. Ta komnata jest dla mnie bardzo ważna. To tutaj grałam dla Annabelle, na tej scenie obejmowałam wiolonczelę i w muzyce znajdowałam ucieczkę od okrutnej rzeczywistości.

To tutaj po raz pierwszy pocałowałam Asha.

I tutaj poroniłam. Tak bardzo krwawiłam, że Lucien musiał ściągnąć mnie ze sceny i zanieść do pokoju medycznego, w którym uratował mi życie.

Znajdujemy się nieopodal moich dawnych komnat. Wydaje się, że Maude znów nieco się rozluźniła, tak więc podejmuję kolejną próbę dowiedzenia się, gdzie jest Hazel.

– A co jest tam? – pytam, wykonując gest w stronę pokoi, w których kiedyś mieszkałam.

– To były komnaty surogatki.

– Były? Już tam nie mieszka?

Maude waha się przez chwilę.

– Od jakiegoś czasu Diusza trzyma ją w pokoju medycznym. Na wszelki wypadek. Surogatka niemal umarła na przyjęciu Garneta. Zakrwawiła całą scenę.

– Tak, ja... Słyszałam o tym. – To dziwaczne, mówić o Hazel, jakby była mną. Na myśl o tym, że moja siostra tkwi w zamknięciu w zimnym, sterylnym miejscu, przechodzi mnie dreszcz. To koszmarne.

Nim zdążę zapytać o coś jeszcze, Maude rusza dalej i prowadzi mnie do wschodniej części pałacu. Pamiętam, że Annabelle wspominała, iż tutaj właśnie znajdują się pokoje mężczyzn.

– Na szczęście na miejscu był Lucien, który ją ocalił. Nie wiem, czy jakkolwiek inna dwórka dorównuje mu intelektem i zimną krwią – ciągnie kobieta.

– Tak. Obiło mi się o uszy, że jest mądry.

– Raczej genialny. Aczkolwiek z tego, co wiem, jest również dość trudny. To pewnie nic zaskakującego. Im większy mózg, tym większe ego i zapewne również mniejsza cierpliwość. O, jesteśmy na miejscu.

Zatrzymuje się przed wejściem do wschodniego skrzydła. Na podłodze leżą bordowe dywany, a na ścianach wiszą portrety poprzednich Diuków Jeziora. Ciekawe, który z nich to ojciec Diuszesy. Wydaje się, że był nawet bardziej okrutny od swojej córki.

Sil była surogatką byłej Diuszesy, a stary Diuk zmusił ją, by całą moc swoich Augurii skierowała tylko na jedną z bliźniaczych córek rosnących w jej łonie. I to obecna Diuszesa jest tą córką. Sil była wystarczająco silna, by przeciwstawić się śmierci, która przychodzi po rodzaje surogatki, ale wsparła ją wtedy magia Paladynek.

Korytarz, w którym stoimy, tworzy wraz z pokojami mężczyzn literę T, możemy więc skręcić tylko w prawo bądź w lewo. Obok mnie znajdują się kręcone schody znikające w suficie. Wyłożone macicą perłową, mają połączane poręcze.

– Prywatne pokoje Diuszesy – wyjaśnia szeptem Maude. – Nigdy, pod żadnym pozorem, nie wchodzi na górę.

Kiwam głową. Nie musi mi tego dwa razy powtarzać.

– Komnaty Diuka są tam. – Wskazuje prawą odnogę. – Ma osobistych lokajów, którzy sprzątają w jego pokojach. – Maude unosi brew. – Trzyma ich blisko siebie, bardzo blisko, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Ten pałac to istne kłębowisko sekretów i kłamstw. Maude parska cichym śmiechem, widząc zszokowany wyraz mojej twarzy, po czym daje mi znak, żebym szła za nią. Puka do jednych drzwi i otwiera je.

– Halo? Panienko Coral? Garnecie? To ja, Maude. Jest ze mną nowa dwórka.

Komnaty Garneta i Coral są podobne do tych, w których kiedyś mieszkałam. Jest tu utrzymany w odcieniach błękitu i złota pokój wypoczynkowy, a także pokój herbaciany o ścianach pokrytych różową tapetą z biało-czerwonym wykończeniem. Te wnętrza nie bardzo pasują mi do Garneta.

– Nieco przesadzone, nie? – mamrocze do mnie Maude. – Coral bardzo lubi różowy.

Na stolikach stoją różowe kwiaty ułożone w różowych wazach, a wszystkie krzesła i kanapa obite są materiałami w odcieniach magenty, fuksji i róży. Jedną ze ścian zajmuje wielka, przeszklona witryna

wypełniona miniaturowymi serwisami do herbaty.

– O rany – szepcę, podchodząc bliżej, by lepiej się jej przyznać. – Cała masa... porcelany.

– Tak. Coral ma do niej wielką słabość. Żadnej służącej nie pozwala dotykać swojej kolekcji.

Na półkach stoją maleńkie filiżanki, spodeczki i czajniczki w najróżniejszych kolorach i rozmaicie zdobione. Na jednych są fioletowe kwiaty i kolibry, na innych podkowy, dalej zielona winorośl, złote słońca oraz srebrne księżycy, tu i tam pasczki, kropki... Niektóre zestawy są w jednolitym kolorze. Można dostać oczopląsu. Przyglądam się akurat niebieskiej filiżance z wymalowaną na niej kiścią winogron, kiedy za moimi plecami otwierają się drzwi.

– Och, cześć, Maude, tak mi się właśnie wydawało, że cię słyszałam – odzywa się dziewczęcy głos.

Obracam się i widzę, że Maude opada w głębokim ukłonie. Coral jest drobna i niewysoka, a jasne włosy ma skręcone w pierścionki i upięte stylowo nad jednym ramieniem. Ja również dygam.

– Wybacz, panienko, to nowa dwórka panienki – oznajmia Maude. – Właśnie podziwiała tę oszałamiającą kolekcję panienki.

– Co takiego? – Na twarzy Coral maluje się radosne niedowierzanie. – Myślałam, że Diusza odrzuciła ostatnią kandydatkę.

– Panienko Coral, to Garnet ją najął.

– Co za cudowna niespodzianka! Garnet jest taki zajęty, że nie sądziłam... Och. Jak się nazywasz? – pyta mnie.

– Jeszcze nie dostała odpowiedniego dla dwórki imienia, panienko – odpowiada jej Maude. – Cora wciąż nie wróciła do pałacu.

– Bez sensu – oznajmia Coral. – Przecież sama też mogę nadać jej imię, prawda? W końcu całe życie spędziłam w otoczeniu dwórek. A poza tym ona jest moja, nie?

Już zapomniałam, jakie to parszywe uczucie, kiedy ludzie mówią o mnie, jakbym była ich własnością.

Na szczęście Maude nerwowo drga mięsień.

– Oczywiście, panienko.

Coral ujmuje moją twarz w dłonie, gestem zdecydowanie dla mnie zbyt intymnym. Przecież w ogóle się nie znamy. Krytycznie obraca moją

głowę w prawo i w lewo.

– Hmm... Myślę, że będzie... Och, wiem. Imogen. – Uśmiecha się szeroko. – Tak nazywała się dwórka mojej babki. – Obraca się do Maude. – Jak myślisz?

– Znakomity wybór, panienko.

– Coral, nie widziałaś moich spinek do man... – Do pokoju wchodzi Garnet i na nasz widok milknie w pół słowa. – Maude – wydusza z siebie, gdy kobieta przed nim dyga. Spostrzegam, jak rzuca na mnie okiem, usiłując dojść, czy jestem tym, kim jestem, choć wyglądam zupełnie inaczej. – To ona?

Na szczęście entuzjazm Coral okazuje się pomocny.

– To moja własna dwórka! Nareszcie! – wykrzykuje dziewczyna i podbiega do Garneta, by pocałować go w policzek. – Kochanie, dziękuję, że o tym pomyślałeś.

Garnet posyła mi ledwie widoczny cień uśmiechu.

– I jak ci się podoba, maleńka? – pyta swojej żony.

– Jest doskonała.

Garnet zdusza chichot i zwraca się do Maude:

– Dopilnuj, żeby przygotowano dla niej pokój w kwaterach służących.

Maude znów zgina się w ukłonie.

– Oczywiście, sir. Bezzwłocznie.

– Świetnie. To da nam trochę czasu, żeby się lepiej poznać przed kolacją.

Maude wybiega z pokoju.

– Od czego powinniśmy zacząć? – dopytuje Coral, podchodząc i biorąc mnie za rękę. – Może od włosów? A może wybierzemy suknię na wieczór? Albo mogłabyś mi coś poczytać.

– Kochanie, chciałbym przez chwilę porozmawiać z... – Garnet milknie, nie wiedząc, jak mnie nazwać.

– Imogen – mówi Coral. – Sama wybrałam jej imię.

Uśmiech Garneta wygląda na szczery.

– Bardzo ładne. No więc chciałbym przez chwilę porozmawiać z Imogen sam na sam, żeby się upewnić, że wie wszystko, co powinna. Może przejdiesz się do ogrodu, a ja ją do ciebie przyślę? Wiem dobrze,

jak kochasz kwiaty.

– W porządku – zgadza się Coral. – Ale nie trzymaj jej za długo.

– Nie będę.

Coral urządza wielkie przedstawienie z ubieraniem się w płaszcz i przypinaniem do włosów małego kapelusika. Cmoka Garneta w policzek i wychodzi, pozostawiając nas w błogosławionej ciszy.

Rozdział 8

Kiedy drzwi zamykają się za jego żoną, Gar net przestaje się uśmiechać i spogląda na mnie z uznaniem.

– Nieźle – rzuca. – Raven mówiła mi, że wyglądasz inaczej, ale... Po prostu nieźle.

– Dziękuję. Dziękuję, że pomogłeś mi się tu dostać. Lucien, delikatnie rzecz ujmując, nie pałał entuzjazmem do tego pomysłu.

– Wiem – zgadza się ze mną Garnet. – Wydaje mi się, że tym razem zirytowałaś go bardziej niż ja.

– Ty teraz świecisz przykładem – przypominam mu. – Oficer Gwardii i w ogóle.

– Prawda. Za kilka dni mają mnie nawet awansować na starszego sierżanta. Odbędzie się oficjalna ceremonia. Zupełnie jakby mieli jakiś powód, żeby dać mi wyższą szarżę. Jedyne, co zrobiłem, to przeciągnąłem sporo Gwardzistów na naszą stronę. – Przekrzywia głowę. – Ale będę miał dostęp do nowych informacji, więc dobra nasza.

– Garnecie, to świetna wiadomość – cieszę się. – Naprawdę nam to pomoże. A poza tym, co jeszcze dzieje się w Klejnocie?

– Wiesz, można byłoby pomyśleć, że wszystkie te zamachy powinny położyć kres imprezom arystokracji, ale kto by się tam przejmował. Nie wiem, czy ci ludzie nie czytają gazet, czy po prostu uważają, że to, co się dzieje, w ogóle ich nie dotyczy i ignorowane samo w cudowny sposób się skończy. – Garnet opada na obity materiałem w różowe paski fotel. – Przysięgam, arogancja niektórych... Kojarzysz, że dwa dni temu w Dymie wyleciały w powietrze koszary?

Przypominam sobie nagłówek, który widziałam w pociągu, i kiwam głową.

Na policzki Garneta występuje rumieniec.

– Byli tam również nasi ludzie. Jasne, rozumiem, nie obędzie się bez ofiar, ale kiedy słuchałem rozmów arystokratów... Zachowywali się, jakby Gwardziści sami wysadzili się w powietrze. Jeden z nich nawet powiedział do mnie: nie robią ich już tak, jak kiedyś. Do ciężkiej cholery, a jak ich robili? Robili, rozumiesz? Im dłużej pracuję

z czerwonymi kurtkami, tym wyraźniej widzę, że większość tych mężczyzn trafiła do Gwardii wbrew własnej woli albo tylko po to, żeby wykarmić jakoś rodziny. Ci w Klejnocie są najgorsi. Zakute pały. I właśnie dlatego musimy strasznie uważać w trakcie Aukcji, bo to Gwardziści z Klejnotu będą ją obstawiać. Surogatki muszą jak najszybciej poradzić sobie z murem. Potrzebujemy tu ludzi, którzy będą dla nas walczyć.

Uciszam wątpliwości, które kłębią się w mojej głowie.

– Damy radę – zapewniam. – Już mamy mnóstwo dziewczyn, które chcą nam pomóc.

Garnet wciąż jest pogrążony we własnych myślach.

– Wiesz, że nie mogę ryzykować kontaktu z większością tych Gwardzistów? Nie mogę nawet próbować ich przekabacić. To zbyt ryzykowne. Muszę opierać się na szeregowych i świeżakach. Nikt inny nie zaryzykuje sprzeciwienia się arystokracji. Jestem takim Lucieniem Gwardzistów. – Unosi dłoń i pociera czoło. – Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego ciągle chodzi nabuzowany.

Kiedy patrzę teraz na Garneta, nie mogę uwierzyć, że to ten sam człowiek, który w trakcie mojej pierwszej kolacji w pałacu wtoczył się do jadalni pijany i nie obchodziło go nic poza tym, żeby po raz kolejny napełnić kieliszek.

– Jestem z ciebie dumna – mówię nieśmiało. – Wiem, że to nic nie znaczy, ale i tak jestem.

Policzki Garneta stają się jeszcze ciemniejsze.

– Jeszcze tylko kilka tygodni, prawda? – rzuca. – A potem nie będziemy już musieli kryć się w cieniach. Mam serdecznie dość udawania arystokraty.

– A ja mam dość bycia znów traktowaną jak czyjaś własność – mamrocę.

– Tak, wiem. Przepraszam. Tak naprawdę nie mogę...

Unoszę dłoń, żeby go uciszyć.

– Tak, jak mówiłeś, jeszcze kilka tygodni i wszystko się skończy. W ten czy w inny sposób. – Kiedy wypowiadam te słowa, czuję cień lęku. Za kilka tygodni równie dobrze możemy być martwi. – Czy to prawda, że twoja matka trzyma Hazel w pokoju medycznym? – pytam,

zmieniając temat.

– Moja matka nie rozmawia ze mną o surogatkach. Maude ci tak powiedziała?

– Tak.

Garnet drapie się po policzku.

– Więc pewnie tak właśnie jest.

Podchodzę krok bliżej.

– Nie słyszałeś ani nie widziałeś niczego, co mogłoby wskazywać na to, że jej życie jest w niebezpieczeństwie?

– Nie, ale jak wspomniałem, nikt nie rozmawia ze mną o surogatkach. – Nagle marszczy brwi, jakby coś przyszło mu do głowy.

– Powinnaś być ostrożna. Nie rozmawiaj z matką i z Coral, rozpoznają twój głos. Och, no i omijaj Carnelian.

Carnelian! Niemal o niej zapomniałam. Siostrzenica Diuszesy, którą zajmował się Ash. Dziewczyna, która dowiedziała się o naszym romansie i wydała nas Diuszesie. Przez nią Ash wylądował w lochu i niemal zginął. Rośnie we mnie gniew, czuję na języku jego gorzki posmak.

– To dziwaczne – mówi Garnet. – Wiem, że to ty, ale nie wyglądasz jak ty. To znaczy, wiem, jak wygląda Violet, kiedy jest wściekła, a teraz... Mam wrażenie, jakbym widział twoją minę u kogoś innego.

– To dobrze, prawda?

– Tak, tylko... No, dziwnie się czuję. – Garnet wstaje i spogląda w stronę drzwi. – Chyba powinnaś już iść do ogrodu.

– Racja. – Nie mam pojęcia, co robić. Nie mam pojęcia, jak być dwórką.

Rysy twarzy Garneta miękną.

– Rób wszystko, co ci każe. Wybieraj jej suknie i dodatki. No i przynosź jej śniadanie, jeśli będzie chciała. To właściwie wszystko. Jestem pewien, że pamiętasz. – Wiem, że wspomina Annabelle. – Trzymaj – mówi, podchodząc do szafy i wyciągając z niej miękki, różowy szal. – Przepraszam za kolor. Coral lubi różowy.

Śmieję się słabo.

– Co ty nie powiesz?

Dłonie mi drżą, gdy otulam ramiona ciepłym okryciem.

– Hej, Violet – rzuca nagle Garnet. – To, co robisz, jest szalone i chyba trochę nieodpowiedzialne, ale i tak uważam, że Hazel jest szczęściarą, mając cię za siostrę.

– Dzięki – szepczę przez zaciśnięte gardło i celuję w niego palcem.
– Teraz nazywam się Imogen. Nie zapominaj o tym.

– Tak, proszę pani – odpowiada mi z krzywym uśmiechem.

Na uginających się nogach schodzę na dół i ruszam do ogrodu.

Bycie dwórką Coral to niekończąca się lekcja cierpliwości.

Mam nadzieję, że Annabelle nigdy nie czuła się tak ze mną. Coral mówi o wszystkim. I o każdym. Gada o tym, kto miał na sobie suknię, którą sama chciałaby założyć, i która z dawnych koleżanek nie odzywa się do niej po tym, jak wzięła ślub z Garnetem i wspięła się wyżej na arystokratycznej drabinie. Od jej słowotoku puchną mi uszy i mam wielką ochotę zatkać je sobie palcami. Jakby tego było mało, muszę za nią ganiać po ogrodzie. W jednej chwili zachwyca się jakimś kwiatkiem, w następnej po prostu musi popędzić za bliżej niesprecyzowanym ptaszkiem, który poderwał się do lotu. Wreszcie oznajmia mi, że jest wyczerpana i że mam ją zaprowadzić do pokoju.

Nim nadchodzi pora kolacji, jestem zmęczona i ogłupiała. Nie miałam bodaj sekundy, żeby zastanowić się, jak się dostać do pokoju medycznego. Kiedy byłam surogatką Diuszesy, jeździłam tam prywatną windą. Z piętra prościutko do piwnicy. Drogę do windy pamiętam bardzo dobrze – trzeba przejść przez korytarz kwiatów, przez otwartą galerię, skrócić w prawo, potem w lewo, a potem iść wzdłuż krótkiego korytarzyka o ścianach wyłożonych dębową boazerią. Jednak Coral była tak absorbująca, że nie miałam szans nawet spróbować się rozejrzeć. Poza tym Maude mówiła mi, że nikt nie powinien zobaczyć mnie w głównej części pałacu. Może do gabinetu również jest jakieś przejście dla służby... Usiłuję sobie przypomnieć, czy w trakcie spotkań z doktorem widziałam na dole jakieś drzwi, ale jedyne, co pamiętam, to zapach środków odkażających, ostre światła i kuweta z błyszczącymi, srebrnymi narzędziami.

Kolacja to dla mnie chwilowe wybawienie (zwłaszcza po tym, jak Coral odrzuca po kolei siedem sukien i akceptuje dopiero trzecią fryzurę)

i jestem za nie bardzo wdzięczna. Ciekawe, czy Annabelle również była taka zmęczona. Bolał mnie stopy i kostki, a lewa skroń pulsuje mi tępo, zapowiadając rozkoszną migrenę. Po odprowadzeniu Coral do jadalni, uznaję, że pora znaleźć drogę do kuchni. Niestety, szybko gubię się w labiryncie korytarzy. Jestem zbyt zawstydzona, żeby pytać o drogę. Wszyscy wyglądają na zajętych. Kiedy mijam jednego z Gwardzistów, serce zaciska mi się w piersi, a puls przyspiesza. Mężczyzna przystaje, wyjaśnia, że nazywa się Trzeci, a potem bardzo uprzejmie wskazuje mi właściwy kierunek.

– Więc służysz Coral? – pyta.

Kiwam głową. Po tym, co powiedział Garnet, boję się odezwać do kogokolwiek. I nie, żeby Gwardzista mógł pamiętać mój głos.

– Z którego jesteś Kręgu?

Mężczyzna jest szczupły, ma brązową skórę, wielkie orzechowe oczy i najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałam u chłopaka. Nigdy wcześniej nie przyglądałam się Gwardzistom, zlewali mi się w jedną plamę.

– Z Farmy – kłamię.

– A ja jestem z Banku. – Przelotnie zastanawiam się, czy nie jest przypadkiem synem Cobblera, mężczyzny, którego Lucien przysłał po mnie, kiedy ukrywałam się w domu Lily. Cobbler stracił syna, gdy ten został przemocą wcielony do Gwardii. – Nadali ci już imię? Jak mam cię nazywać?

– Imogen.

– Całkiem przyjemne. Nie sędzę, żebym słyszał je wcześniej. Jestem pewnie stutysięcznym Trzecim, który łązi po tym pałacu. Diuszesa wylała większość swojej Gwardii po tej całej hecy z Towarzystwem. Jestem tu dopiero od kilku miesięcy.

Wyczuwam kuchnię szybciej, niż ją widzę – emanuje wonią szynki doprawionej miodem, rozmarynem i tymiankiem. Mój żołądek głośno dopomina się o swoje prawa, a Trzeci parska śmiechem.

– Niedługo będziesz mogła zjeść. Po tym, jak Coral już się położy. – Gwardzista nachyla się do mnie. – Bądź miła dla Zary. To ta gruba kucharka. No cóż, ujmijmy to inaczej – najgrubsza. Jeśli cię polubi, będzie cię chyłkiem dokarmiać.

W kuchni panuje armagedon.

Na kuchennych płytach podskakują garnki, na półmiskach rosną góry jedzenia, lokaje biegają w kółko, a kucharze i kucharki pokrzykują na podkuchennych, żeby dodali do tej czy innej potrawy tych czy innych przypraw.

– Potrzebujemy drugiego dania. Natychmiast – wścieka się jeden z lokajów.

– Dostaniecie, jak będzie gotowe – odszczekuje mu wielka kucharka, która wcześniej dała mi tartę. Rozglądam się wokół i dochodzę do wniosku, że to właśnie ona musi być Zarą. Kobieta wyciska połówkę cytryny na olbrzymią doradę ułożoną na kołderce z plastrów cytrusów i zielonych warzyw. Podkuchenna posypuje danie odrobiną jakichś przypraw i dopiero wtedy Zara podaje półmisek gburowatemu lokajowi. Kiedy mnie zauważa, w jej oczach pojawia się ciepło. – Och, nowa dziewczyna! Nazwali cię już jakoś?

– Imogen.

– Jestem Zara – mówi kobieta. – Pewnie umierasz z głodu. Częstuj się wszystkim, co leży na tamtej desce – zachęca, machając ręką w jej kierunku. Jedna z podkuchennych upuszcza na podłogę miskę gęstej śmietany i Zara natychmiast zaczyna się na nią wydzierać. Usuwam się w kąt, bo kiszki grają mi marsza.

Na desce leżą spory kawał sera z niebieską pleśnią, pół bochenka chleba, kilka małych pomidorów, pół tuzina fig, kilka orzechów i parę plastrów wędzonego mięsa. Jest też miseczka z oliwkami. Wpycham do ust, ile się da, i niemal dławię się pestką z oliwki.

Arkana ukryte bezpiecznie w moich włosach zaczynają buczeć i nagle chcę za wszelką cenę znaleźć się na zewnątrz. Jak najszybciej, choć starając się nie wzbudzać żadnych podejrzeń, ruszam do drzwi prowadzących do ogrodu. Na szczęście wszyscy są tak zajęci kolacją, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nieniepokojona przez nikogo wychodzę w chłodny kwietniowy wieczór.

Tuż obok przeszklonego korytarza wiodącego do wschodniego skrzydła znajduje się wielki krzew przycięty na kształt tańczącego niedźwiedzia. Jest wystarczająco duży, żebym mogła się za nim schować. Przykucam na trawie i wyciągam z włosów kamerton.

– Lucien?

– Garnet powiedział mi, że ci się udało. Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Podobno masz naprawdę dobre przebranie. – Sam dźwięk jego głosu sprawia, że zalewa mnie fala ulgi.

– Nic mi nie jest – szepczę. – Idzie zgodnie z planem, zostałam dwórką Coral.

– Jesteś uparta jak osioł, ale może się okazać, że to nie był taki głupi pomysł. Może uda nam się zaaranżować twoją wizytę w Domu Aukcyjnym jeszcze przed całą akcją. Mogłabyś zobaczyć te wszystkie plany na żywo.

Fantastyczny pomysł, ale w tej chwili jedyne, czego pragnę, to odnaleźć siostrę.

– Lucienie, muszę się zobaczyć z Hazel. Trzymają ją zamkniętą w pokoju medycznym. Wiem, gdzie to jest, ale zawsze zjeżdżałam tam windą, a nie mogę się pokazywać w pałacu, no i Cora ciągle czegoś ode mnie chce, i...

– Kochanie, uspokój się. Wdech i wydech. Każdy pałacowy gabinet ma zapasowe, podziemne wyjście. Domyślam się, że widziałaś już tunele dla służby?

– Tak. – Wzdycham. – Gubię się w nich.

– To nie jedyne tunele w pałacu, jest ich więcej. Niektóre są do użytku prywatnego.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Na przykład ten, którym przekradałam się do pokoju Asha?

Niemal słyszę uśmiech Luciena.

– Tak. Popatrz tylko, te wasze schadzki wyszły nam na dobre. – W jego głosie pobrzmiwa lekka kpina.

– Czyli jeden z tych tuneli może prowadzić do pokoju medycznego?

– Na pewno. Arystokracja nie życzy sobie, żeby transport ich surogatek na salę porodową odbywał się w ich pałacach na widoku. Martwe surogatki tym bardziej nie są mile widziane na salonach. Wiele z tych przejść można znaleźć nieopodal garaży, możesz więc zacząć szukać w tych okolicach.

– Dziękuję, Lucienie – mówię z uczuciem. – A masz jakieś wieści

o... o planach Wybranki?

– Nie. Może pamiętasz, że gdy tak nagle zdecydowałaś się tu przyjechać, również nie znałem żadnych konkretów. Słyszałem tylko strzępki rozmów Hierarchy i Wybranki.

– O czym mówili?

– Pamiętam, że Hierarcha wspomniał coś o ślubie, a Wybranka wybuchnęła śmiechem i oznajmiła, że bardziej odpowiedni od sukni mógłby się okazać całun.

– To mogło dotyczyć wielu rzeczy – zauważam.

– Tak, racja. Ale to nie ty mieszkasz z Wybranką. Ona nienawidzi Diuszesy i gardzi nią. Ciągłe prosi mnie, żebym poniuchał wokół surogatki, żebym dowiedział się, jak się czuje, jak znosi ciężę. Problem w tym, że od chwili zaręczyn nienarodzonej z synem Hierarchy każdy zamach na życie i zdrowie surogatki zostałby potraktowany tak samo jak zamach na Wybrankę. To byłaby zdrada.

– Myślisz, że Wybranka byłaby gotowa zaryzykować?

Lucien wzdycha cicho.

– Nie jestem pewien. Ona uważa, że jest Wybranką i koniec, kropka. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby sądziła, że stoi ponad prawem. Pamiętaj jednak, że tak naprawdę wcale nie jest arystokratką. Wielu mieszkańców tego Kręgu bardzo chętnie rzuciłoby się jej do gardła, żeby posadzić na tronie kogoś, w czyich żyłach płynie błękitna krew. – Milknij na moment. – Na szczęście wciąż nie poprosiła mnie o pomoc. Obawiam się tego. Jeśli ktokolwiek miałby w sposób dyskretny zamordować surogatkę...

– Błagam – mówię – nawet nie kończ tego zdania.

– Oczywiście nigdy bym tego nie zrobił – zapewnia Lucien. – Ale prosiła mnie już o podobne rzeczy. Czemu więc nie robi tego teraz?

– Może dlatego, że dla ciebie to również byłoby coś nowego – podsuwam.

– Może...

Gdzieś niedaleko mnie trzaska sucha gałązka. Słyszę zbliżające się głosy.

– Ktoś idzie – szepczę.

Kamerton milknie i spada prosto w moją wyciągniętą dłoń.

– ...wiem nawet, skąd się właściwie wzięła – mówi jakaś dziewczyna. – Jakby wyskoczyła z kapelusza.

– A byłam pewna, że Diuszesa ciebie awansuje na nową dwórkę – odpowiada jej drugi głos. Wyglądam między gałęziami i widzę Mary, pokojówkę Carnelian, pogrążoną w rozmowie z inną służącą.

– Wiem – odzywa się znów Mary. – Ale to nie Diuszesa ją zatrudniła, tylko Garnet.

– Mogę się założyć, że wiem, dokąd to zmierza – oznajmia służąca z paskudnym uśmieszkiem.

– O co ci chodzi?

– Że tak naprawdę jest tu dla niego. Taka tam zabaweczka dla arystokraty. Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby Coral była za zamkniętymi drzwiami szczególnie, wiesz, podniecająca.

Mary przystaje i unosi brew.

– No pewnie. – Chichocze cicho. – Elizabeth, myślę, że możesz mieć rację.

Elizabeth wzrusza ramionami.

– Pewnie Diuszesa zrobi z nią to samo, co zrobiła z niemową.

Obydwie dziewczyny zanoszą się śmiechem. Naprawdę ogromnej siły woli wymaga ode mnie pozostanie na miejscu i niesięgnięcie ku Ziemi, żeby rozstała się pod ich stopami, albo ku drzewom, żeby rozszarpały je gałęziami na kawałeczki.

– Chodźmy do środka – rzuca Mary.

Czekam jeszcze minutę, a potem, rozglądając się wokół, rozeźlona, wracam do kuchni.

To Maude sygnalizuje, że nadszedł koniec kolacji, a robi to, wpadając do kuchni i pytając wszystkich, gdzie podziała się Imogen. Chwilę czasu zajmuje mi przypomnienie sobie, że Imogen to ja.

– Na górę! – syczy na mnie Maude.

– Przepraszam! – wykrzykuję do jej pleców, pędząc za nią kamiennym korytarzem. – Nie zorientowałam się, że już po kolacji.

– Zostały jeszcze jakieś trzy minuty. Dzwoniłam dzwonkiem.

– Byłam w ogrodzie, przepraszam. Potrzebowałam się przewietrzyć. To się więcej nie powtórzy – zapewniam gorąco. Spojrzenie Maude jest mordercze.

– No, mam nadzieję! Masz odprowadzić panienkę Coral do jej pokojów, przygotować ją do snu, a potem stawić się u Cory i zdać jej raport. To przed nią bezpośrednio odpowiadasz w tym pałacu.

– T... Tak – wyduszam z siebie. – Oczywiście.

Wspinamy się na ukryte za arrasem schody i wychodzimy tuż obok jadalni. Cora już czeka pod drzwiami. Jej widok sprawia, że ożywają kolejne wspomnienia. Talerz winogron i miękkiego sera. Cora smarująca mnie kojącą maścią po tym, jak spoliczkowała mnie Diuszesa. Cora zakładająca na mnie ciemny woal w dniu pogrzebu Dahlii. Stukot noszonych przez nią przy pasie kluczy... Kasztanowy kok Cory wygląda dokładnie tak samo, jak go zapamiętałam. Jej okolone siateczką zmarszczek oczy również się nie zmieniły. Kiwa mi krótko głową i zwraca się do Maude.

– Garnet ją zatrudnił?

– Tak, proszę pani.

Nie odzywam się.

– Hmm... – Cora wykrzywia wargi. – Słyszałam, że Coral nadała ci imię.

Potakuję.

– Imogen – wyjaśnia Maude.

– Hmm – powtarza Cora. – Chcę cię widzieć w moich komnatach zaraz po tym, jak Coral uda się na spoczynek.

Dygam z wdziękiem i właśnie wtedy otwierają się drzwi. Kiedy unoszę wzrok, spostrzegam, że tuż przed sobą mam Diuszesę.

Panika, którą czuję, jest tak przemożna, a strach tak wszechogarniający, że przez chwilę odnoszę wrażenie, jakbym w ogóle nie istniała. Nie mam ciała, mój umysł jest zupełnie pusty. Jestem czystym przerażeniem.

Zapomniałam, jaka jest piękna. Zapomniałam jej skórę o odcieniu karmelu, zapomniałam czarne włosy i to, jak purpurowa suknia otula jej szczupłą sylwetkę, odsłaniając ramiona i obojczyk. Pamiętam jednak jej oczy. Och, jak dobrze je pamiętam. Pamiętam, jak wpatrywały się we mnie, krytyczne i obojętne zarazem. Pamiętam, jak jej spojrzenie potrafiło w jednej chwili zmienić się z łagodnego w pełne okrucieństwa. Pamiętam jej wzrok, kiedy przesunęła nożem po gardle Annabelle tak

łatwo i od niechcenia, jakby wbijała go w kostkę masła.

U boku Diuszesy stoi Diuk. Wygląda na pijanego.

– Znakomita kolacja, Maude – oznajmia entuzjastycznie. Diuszesa mruga. – Złóż Zarze moje wyrazy uznania.

– Tak, mój panie – odpowiada Maude.

– A to co? – pyta Diuszesa, wbijając we mnie wzrok. To. Jestem tym. Czymś, rzeczą, a nie osobą. Czuję pod pachami wilgoć i trzęsą mi się kolana, zmuszam się jednak, by nie mrugać, by zachować spokojny wyraz twarzy. To jak powtórka z naszego pierwszego spotkania.

Wtedy było trudniej. Niczego nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, kim jestem i jaki potencjał we mnie drzemie. Byłam kimś innym. Tamtej Violet już nie ma.

– Nowa dwórka, wasza wysokość – wyjaśnia Maude.

Za plecami Diuszesy stają Garnet i Coral.

– Matko, poznałaś już Imogen? – pyta Garnet. On również wygląda na wstawionego. – Sprowadziłem ją dla Coral. Moja żona musi mieć własną dwórkę, nieprawdaż?

Diuszesa obdarza mnie przeciągłym, oceniającym spojrzeniem. Może tylko to sobie wyobrażam, ale wydaje mi się, że szczególnie długo przypatruje się moim oczom. Po chwili odwraca się do syna, a na jej wargach powoli wykwita zimny uśmiech.

– Och, kochanie, to precudownie. Nie sądziłem, że jesteś w stanie kogoś zatrudnić.

– Czyż nie jest idealna? – zachwyca się Coral. – Wygląda jak ja, prawda?

Naprawdę wolałabym, żeby darowała sobie to porównanie. Wolałabym, żeby Diuszesa nie przyglądała mi się jeszcze dokładniej. Mam wrażenie, że jej palące spojrzenie przenika przez magiczną zasłonę i dostrzega za Auguriami moją prawdziwą twarz.

– Tak – oznajmia po chwili Diuszesa. – Chyba rzeczywiście. – Raz jeszcze rzuca spojrzenie na moje oczy, po czym rusza korytarzem w stronę głównych schodów. O rany. Mam wrażenie, jakbym miała rozpląnąć się z ulgi. Cora idzie za swoją panią i Diuszesa coś do niej szeptem, za cicho jednak, bym mogła usłyszeć.

– Jesteś pewien, że nie chcesz się ze mną napić brandy? – pyta

Diuk swojego syna.

– Nie ojczy, na dziś mi już wystarczy. – Garnet z trudem ukrywa wzgardę, gdy Diuk, zataczając się lekko, kieruje się do palarni.

– Chodź, Imogen – mówi do mnie Coral. – Musisz mnie przygotować do snu.

Garnet wymawia się od towarzyszenia nam koniecznością skorzystania z biblioteki, idziemy więc do komnat Coral tylko we dwie. Przygotowuję dziewczynie kąpiel. Znajduję pod umywalką wonne sole i chwilę później powietrze pachnie liliami i frezjami. Mam ochotę wleźć do tej wanny i zostać w niej na zawsze.

– Gotowe już? – pyta Coral, stając w drzwiach odziana w gruby biały szlafrok. Jak gdyby nigdy nic, rozbiera się i podaje mi okrycie. Jest zupełnie naga. Nie wiem, gdzie mam podziać oczy, wydaje się jednak, że Coral zupełnie własna nagość nie przeszkadza.

– Czy zaczekać na zewnątrz, panienko?

– Tak, bardzo proszę. W międzyczasie przygotuj moje najpiękniejsze koszule nocne.

Dygam i uciekam z łazienki.

Coral ma trzy wielkie wnękowe szafy, mniejszą szafę, komodę oraz toaletkę. Wydaje mi się, że Annabelle trzymała moje nocne stroje w komodzie. Po chwili w przepastnych szufladach znajduję szeroki asortyment jedwabnej bielizny i koszul. Kiedy przerzucam kolejne fatałaszki, zastanawiając się, które z nich Coral może uważać za najpiękniejsze, dociera do mnie, że nigdzie nie widziałam ubrań Garneta.

– Imogen – woła z łazienki Coral. – Woda wystygła! Podaj mi ręcznik.

Po głowie tłucze mi się ważne pytanie: jak, u licha, Coral radziła sobie bez dwórki?

Po wysuszeniu Coral, wyszczotkowaniu jej włosów, nakremowaniu jej twarzy oraz ramion i podciągnięciu pod brodę okrywającej ją kołdry, zostaję wreszcie zwolniona z obowiązków.

– Dobranoc, Imogen – mówi Coral.

Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Garnet nigdy nie spędził nocy w tym łóżku.

– Dobranoc – odpowiadam, zamykając za sobą drzwi.

I staję przed wyzwaniem.
Pora stawić czoło Corze.

Rozdział 9

Komnaty Cory znajdują we wschodnim skrzydle, za pierwszymi drzwiami po prawej. Maude wskazała mi je wcześniej.

Biorę głęboki oddech i pukam.

– Wejść! – krzyczy Cora ze środka.

Pokój oświetlają piękne kinkiety emanujące delikatną, różowawą poświatą. Jest tu kominek i duża, wygięta w kształcie litery C kanapa, a na podłodze leży gruby, złoty dywan. Na ścianach wiszą obrazy, a na oknach zaciągnięte na noc, również złote, story.

Wnętrze bardzo przypomina mi dawną komnatę Asha, do której przemykałam się cichcem, gdy Carnelian miała akurat lekcje.

Cora siedzi na bujanym krześle przy oknie. Jej pozycja tak bardzo przypomina mi Sil, że aż kłuje mnie w sercu. Nie wstaje, kiedy wchodzę.

– Usiądź – rozkazuje, wskazując kanapę.

Wykonuję polecenie.

– Kiedy Garnet cię zatrudnił?

Niskim i nieco chrapliwym głosem odpowiadam, że wczoraj. Nie mam ochoty wikłać się w więcej kłamstw, niż to konieczne. Staram się brzmieć przekonująco.

Cora mierzy mnie zmrużonymi oczami.

– Masz się do mnie zwracać „proszę pani”. W którym domu wcześniej pracowałaś?

Mam wrażenie, jakby wszystkie nazwy rodów nagle uleciały mi z głowy. Nie mogę sobie przypomnieć żadnego, aż wreszcie wyrzucam z siebie pierwszy, który przychodzi mi do głowy.

– W Domu Płomienia, proszę pani.

Cora kiwa głową, jakby miało to dla niej sens. Notuję w pamięci, żeby powiedzieć później Garnetowi. Nie mogę wykluczyć, że go o to zapyta.

– Powinnaś była mnie poinformować, że się zjawisz. To fatalny moment, żeby szkolić nową służącą. W niższych Kręgach co chwila wybuchają zamieszki, Aukcja przeniesiona na wiosnę, do tego zaręczyny i awans Garneta... – Cora milknie i upija łyk wody ze stojącej na stoliku

obok niej szklanki. – Przez kolejnych kilka tygodni będziesz zajmować się głównie przygotowaniem Coral do Aukcji i trzymaniem jej z dala od Diuszesy. Panienska po raz pierwszy będzie brała udział w tym wydarzeniu i, delikatnie mówiąc, nie może się doczekać. Jej wysokość nie ma czasu, żeby odpowiadać na bezsensowne pytania, musisz więc zapewnić Coral wystarczającą ilość zajęć, żeby nie plątała się pod nogami. Jako dwórka nie powinnaś mieć z tym problemu.

Mówi to z konspiracyjnym uśmiechem, odpowiadam więc podobnym grymasem.

– Gdzie byłaś szkolona?

– Ja, najmocniej przepraszam? – Myślałam, że odpowiedziałam już na to pytanie.

– Kto cię szkolił? – pyta Cora, przesadnie podkreślając każde słowo.

– Lucien – odpowiadam bez namysłu.

Cora unosi jedną brew.

– Naprawdę? Nie sądziłam, że wciąż się tym zajmuje.

– Byłam jego ostatnią uczennicą – oznajmiam, mając nadzieję, że ma to bodaj cień sensu.

Cora upija kolejny łyk wody i odstawia szklankę.

– No cóż, być może Garnet jest bardziej kompetentny, niż nam się wydaje.

– Wydaje się, że trochę dorósł – rzucam i natychmiast zakrywam usta dłonią. Ale palnęłam głupotę! Imogen, wyszkolona dwórka, nie powinna w taki sposób mówić o dziedzicu książęcego rodu.

Cora przez długą chwilę mierzy mnie spojrzeniem.

– Tak – stwierdza wreszcie. – To prawda.

– Ja... ja tylko słyszałam różne plotki, proszę pani. Miałam na myśli...

– Wiem, co miałaś na myśli. Z którego jesteś Kręgu?

– Z Farmy, proszę pani.

Puk, puk, puk. Cora postukuje palcem o poręcz krzesła.

– Bardzo dobrze – mówi wreszcie. – To na razie będzie tyle.

Trudno mi nie pokazać po sobie ulgi, gdy ruszam w kierunku drzwi.

– Och, Violet? – Głos Cory zatrzymuje mnie w pół drogi. Odwracam się odruchowo.

– Tak, proszę pani?

Dopiero kiedy widzę wypływający na jej usta okrutny uśmiezek, dociera do mnie, co zrobiłam. Unoszę dłonie do ust, jakby to mogło w jakiś sposób mi pomóc, jakbym mogła cofnąć czas.

– Wiedziałam, że to ty – oznajmia Cora, z wdziękiem podnosząc się z krzesła. – Kiedy mówiłaś o Garnecie, twój głos się zmienił. Jakbyś go znała. Bo go znałaś, nieprawdaż?

Nie mogę się ruszyć. Dokąd miałabym uciec. To Cora rządzi tym domem, zna każdy jego centymetr, każdą kryjówkę. Nie mam gdzie się schować. Ze wszystkich stron otaczają mnie masywne mury. Jasne, mogłabym się połączyć z Ziemią albo z Powietrzem, ale to by oznaczało klęskę wszystkich naszych planów, a ja utknęłabym w Klejnocie. Nie zrobię tego członkom Sprzysiężenia, którzy liczą na Paladynki i czekają na dzień Aukcji, czekają na szansę, by odzyskać wolność.

Myślę o Hazel. Nawet nie było mi dane spotkać się z nią po raz ostatni. Wszystko wzięło w łeb, nim się na dobre zaczęło.

Cora okrąża mnie z pewnością drapieżnika, który wie, że jego ofiara nie wymknie się z pułapki. Kiedy jest już blisko, ujmuje moją twarz tak, jak zrobiła to Diuszesa w noc, kiedy zabiła Annabelle.

– Jak to zrobiłaś? – pyta, zwracając moją głowę na bok. – Twoje oczy, włosy, cała twarz... To Augurie?

Potakuję.

– Niezła robota – mruczy Cora. – Jak dostałaś się do Klejnotu? A może byłaś tu przez cały czas? – Parska śmiechem, gdy szeroko otwieram oczy. – Naprawdę myślałaś, że nie wiem, że Diuszesa przetrzymuje w pałacu twoją siostrę?

– Błagam. – Jej dłoń tłumi mój głos.

– Błagam, co? Domyślałam się, że wróciłaś tu, by ją ocalić.

Nie odpowiadam. Palce Cory wbijają mi się w skórę.

– Mogę ci pomóc. Mogę ci pomóc ocalić twoją siostrę.

Nie tego się spodziewałam. Wyraz mojej twarzy sprawia, że Cora znów się śmieje.

– Nie za darmo, oczywiście – dodaje.

– Zrobię wszystko – zapewniam drżącym głosem.
– Co mówiłaś? Bo chyba nie dosłyszałam. – Poluzowuje lekko chwyt.

– Zrobię wszystko – mamroczę.
– Miałam nadzieję, że to powiesz.

Puszczam mnie i siada na kanapie.

– Chodź tutaj. – Poklepuje miejsce obok siebie. Oszołomiona opadam na miękkie obicie. – Nikomu w pałacu nie powiem, że tu jesteś. Może nawet uda mi się pomóc ci dotrzeć do twojej siostry. Ale najpierw ty musisz coś dla mnie zrobić.

Czekam. Cora wie, że nie mogę się nie zgodzić.

Jej uśmiech mrozi mi krew w żyłach.

– Chcę, żebyś zabiła Diuszese.

– Co? – Z trudem chwytam oddech. – Ale... Ale... Dlaczego?

Twarz kobiety tężeje.

– Naprawdę musisz pytać? Zamordowała moją córkę.

Mija chwila, nim udaje mi się przetrwać to, co właśnie usłyszałam.

– Annabelle? Ale... Nigdy nie widziałam, żebyś ją traktowała... Odnosiłaś się do niej jak do zwykłej służącej.

– To, że nie mogłam zachowywać się jak jej matka, nie oznacza, że jej nie kochałam – oznajmia sucho Cora. Odwraca wzrok i patrzy na niewielki, oprawiony w owalną ramkę portret stojący na gzymsie kominka. – Pamiętam dzień, w którym Diuszesa przyszła do mnie i powiedziała, że dostałam pozwolenie na dziecko. Byłam taka szczęśliwa.

Wzdrygam się na słowo „pozwolenie”.

– Kiedy się urodziła, była taka maleńka i taka... cicha. Na początku myślałam, że urodziła się martwa, ale doktor Blythe zapewnił mnie, że jest zdrowa. Tylko... tylko nigdy nie będzie mówić. – Cora pospiesznie ociera policzki. – Zawsze się zastanawiałam, jak brzmiałby jej głos. – Wstaje, podchodzi do kominka i podnosi portret. – Inny Dom mógłby kazać ją utopić, bo nie była w pełni sprawna. Ale Diuszesa troszczyła się o mnie. Pozwoliła mi ją zatrzymać, a potem wyszkolić. Miała być użyteczna, tylko to się liczyło.

– Nie tylko – mówię cicho. – Była kimś więcej...

Cora gwałtownie podrywa głowę.

– Myślisz, że tego nie wiem? Dałam temu Kręgowi coś dobrego. Kogoś dobrego. Kogoś czystego, niewinnego i ten ktoś został tak po prostu zniszczony. A ja w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Obiecała mi. Obiecała. A potem pojawiłaś się ty, zakochałaś się w tym głupim Towarzyszu i z twojej winy Annabelle zginęła.

– Tak mi przykro. – Własne słowa wydają mi się puste i pozbawione znaczenia. Żal nie przywróci Annabelle życia. – Przecież wiesz, że ja również ją kochałam.

– Wiem. – Odstawia portret na kominek. – I właśnie dlatego to dla mnie zrobisz. Z miłości do mojej córki i dlatego, że masz wobec mnie dług wdzięczności.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego nie jakaś inna służąca?

– Bo inna służąca z przyjemnością zdradziłaby mnie dla pieniędzy albo awansu. A ty nie możesz tego zrobić, bo... Wystarczy jedno moje słowo i zostaniesz aresztowana. Diuszesa obetnie ci głowę albo po prostu przywiąże cię do łóżka obok twojej siostry. Tak czy siak, na jedno wychodzi.

Ma rację.

– Dlaczego sama tego nie zrobisz?

Przez twarz Cory przemyka cię ból.

– Nie mogę. Nie potrafię. Towarzyszę Diuszecie, odkąd skończyła dziesięć lat. Nieważne, jak bardzo bym chciała... Nie umiem jej zabić.

Mogę nienawidzić Diuszesy, mogę pragnąć zemścić się za zamordowanie Annabelle, ale nie widzę się w roli zimnokrwistej morderczyni. Nie mam jednak innego wyjścia niż zgodzić się na to, czego pragnie Cora. Gdyby udało mi się zaczekać do dnia Aukcji, być może w ogóle nie będę musiała Diuszesy zabijać.

– Dobrze – mówię. – Zrobię to.

– Oczywiście, że to zrobisz.

– Najlepszym momentem będzie Aukcja.

Cora krzywi się.

– Aukcja jest za miesiąc.

– Pomyśl, proszę. Diuszesa będzie wtedy zajęta, zaabsorbowana tym, co się wokół niej dzieje. Zamieszanie, zakupy, krawcowe,

organizowanie przyjęć... – Brzmie nazbyt przekonująco nawet dla mnie samej. Trochę mnie to martwi. – Tyle miesięcy już czekałaś, czy jeden więcej ma wielkie znaczenie?

Cora namyśla się przez moment.

– Zawsze myślałam, że nie grzeszysz bystrością – wyznaje. – Cieszę się, że się myliłam.

– Dziękuję – mruczę zirytowana.

– Oczywiście – ciągnie Cora, podchodząc do mnie – jeśli spróbujesz mnie zdradzić albo postanowisz wymigać się od zrobienia tego, czego od ciebie żądam, po Aukcji za długo nie pożyjesz. Może i nie jestem zdolna, by zabić Diuszesę, ale wobec ciebie nie mam takich oporów.

– Rozumiem.

– Wyśpij się – komenderuje. – Musisz odpocząć. Przy łóżku masz dzwonek. Coral zadzwoni po ciebie, kiedy będzie gotowa. Drugi dzwonek jest w kuchni. Zawsze musisz być na nogach przed nią. Śniadanie zje w łóżku, potem wybierzesz jej jakąś suknię. Dopilnuj, żeby wyglądała elegancko.

– Pamiętam trochę – mówię. – Nauczyłam się od Annabelle. Zawsze wiedziała, w czym będę dobrze wyglądać.

Na szczęście Cory zaczyna pulsować mięsień.

– Tak. Świetnie znała się na modzie. – Cora znów siada na bujanym fotelu, ale plecy ma proste, a ciało spięte. – Możesz odejść. I staraj się nie odzywać przy jej wysokości, twój głos jest nazbyt znajomy.

– Oczywiście. – Zatrzymuję się przy drzwiach. – Coro?

– Tak?

– Czy chciałabyś, żebym... Mam ją zabić w jakiś określony sposób?

Oczy Cory są jak dwa czarne kamienie, mroczne i lodowate.

– Chcę, żebyś podcięła jej gardło.

Wychodzę z pokoju, a myśli kłębią mi się w głowie jak burzowe chmury.

– Co masz zrobić?!

– Zabić Diuszesę – szepczę. – A dokładniej, poderznąć jej gardło.

Raven wydaje z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy gwizdnięciem a kaszlnięciem. Arkana nieco tłumią odgłosy.

– Nie martw się, powiedziałam jej, że zrobię to w czasie Aukcji. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wcale nie będę się musiała o to martwić.

Jest nieco po północy. Wiem, że powinnam spać, ale czekałam z nadzieją, że Raven się ze mną skontaktuje. Sil ma arkana podobne do tych Luciena, to znaczy takie, z pomocą których można skontaktować się ze wszystkimi innymi. Mój kamerton służy tylko do odbioru, a kamerton Garneta może połączyć się z arkanami moimi i Luciena.

– Więc służąca jest równie bezwzględna jak jej pani – komentuje Sil. – Jakoś mnie to nie zaskakuje.

– Jaka ona jest? – pyta Raven. Wiem, że ma na myśli Coral.

– Trochę dziwna. Jak przerośnięte dziecko. Wymagająca i infantylna. Nie sądzę, żeby Garnet za bardzo ją lubił.

– Och – rzuca Raven. Słyszę w jej głosie cień ulgi.

– A co z wami, dziewczyny? Spakowane i gotowe na ostatnią wycieczkę po Bagnie? – Spędziłam w pałacu jeden dzień, a mam wrażenie, jakby to był miesiąc.

– Nawet bardziej niż gotowe. – W słowach Sienny pobrzmiewa śmiech.

– Sil jedźcie z nami do Bramy Północnej i do reszty Magazynów – mówi Raven.

– Co? – Prostuję się na łóżku.

– Nie mam zamiaru kwitnąć tutaj, nie wiedząc, co się dzieje – oznajmia Sil. – Whistler da radę sam ogarnąć tę część Farmy. Moje miejsce jest wśród surogatek.

– Racja – potwierdzam. – Cieszę się, że jedziesz. Kamień spadł mi z serca.

– A nie powinien – kontruje Sil. – Ten cały plan jest jak domek z kart. Zakładamy, że surogatki w Magazynach będą trzymać języki za zębami. Zakładamy, że arystokraci nie zmandrzelili nagle i nie wyjmą głów z tyłków. Zakładamy, że nasi ludzie wiedzą, gdzie podłożyć ładunki wybuchowe w noc poprzedzającą Aukcję. Zakładamy, że ty, Violet, dasz radę posłać sygnał, że czas te ładunki zdetonować. A potem... Potem

będziemy mogły tylko trzymać kciuki, żeby ponad osiemdziesiąt surogatek wystarczyło do rozwalenia muru i żeby wszystkie siły były rozlokowane na swoich miejscach w Banku, gotowe wziąć Klejnot szturmem. Równie dobrze możemy właśnie maszerować na szafot.

Sprzedane jako surogatki, obydwie z Raven i tak byłyśmy przeznaczone na śmierć, więc ponure słowa Sil nie robią na mnie takiego wrażenia, jak powinny.

– To tak, jak mówił Ash – przypominam jej. – Wolę zginąć, walcząc z arystokracją niż jej służąc.

Sil prycha.

– Odważne słowa. Powtórz je, kiedy w powietrzu będą śmigać kule, a ludzie wokół zaczną umierać.

– Jest z wami Ash? – Stchórzyłam i nie zapytałam wcześniej, ale bardzo bym chciała usłyszeć jego głos. Muszę wiedzieć, czy ciągle jest na mnie wściekły.

Jestem nieprzygotowana na ciszę, jaka nagle zapada.

– Co się dzieje? – pytam, a serce podjeżdża mi do gardła. – Proszę, powiedzcie, że nic mu się nie stało.

– Ash wyjechał – oznajmia wreszcie Raven.

– Co masz na myśli? Dokąd wyjechał?

– Do Banku – wyjaśnia Sienna.

Stłumione przez arkana dochodzi do mnie gniewne mamrotanie Sil:

– Idiota, cholerny idiota.

Mam wrażenie, jakby ktoś wyssał z pokoju całe powietrze. Bank. Ash pojechał do Banku!

– Nie – dukam, starając się oddychać. – Raven, błagam... Powiedz, że to nieprawda. On tam... Zabiją go!

– Zostawił liścik – odpowiada Raven. Słyszę szelest papieru. Po chwili zaczyna czytać: – „Violet, przykro mi, ale muszę spróbować. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie mogłem ich porzucić. Muszę zasłużyć jakoś na miejsce w nowym świecie, o który walczymy. Kocham cię tak bardzo, że nie umiem tego wyrazić. Niedługo znów się zobaczymy. W dniu Aukcji. Uważaj na siebie. Ash”.

– Wybaczyć mu? – sarkam. – Czy on oszalał? Kiedy? Nawet nie

będę miała szansy! Zginie, gdy tylko postawi stopę w Banku! On...

– Violet. – Głos Raven jest spokojny, łagodny. – On wyjechał i żadne wrzaski tego nie zmienią.

– Ale... Ale...

– Zrobił to na przekór tobie? Tak. Zgoda. Szczerze mówiąc, dobraliście się jak w korcu maku.

Splatam ramiona na piersi.

– Ja miałam plan. I mogę liczyć na pomoc innych. A on co zamierza zrobić? Wyważy drzwi do Sztuby i zapyta, czy jego dawni kumple są w domu? A może zadzwoni dzwoneczkiem po Madame Curio?

– Wiemy przecież, że jest w stanie dostać się do Sztuby po kryjomu – zwraca uwagę Raven. – A co do reszty... No cóż, nie jest durniem. Dlaczego jesteś taka pewna tego, że zostanie schwytany?

Ramiona mi opadają. Raven ma rację. Po prostu nie chcę dopuścić do siebie myśli, że Ash da sobie radę sam.

– Ja tylko... Jeśli go stracę...

– Wiem – mówi łagodnie i wzdycha. – Powinnaś się przespać. Brzmisz, jakbyś miała za sobą naprawdę ciężki dzień.

– Tak – mruczę, choć myślami jestem daleko, przy Ashu, gdziekolwiek by się teraz nie znajdował. Wciąż jest na Farmie? W pociągu? A może dojechał do Dymu?

– Niedługo znów porozmawiamy – odzywa się Indi, jakby wyczuwała, że emocje opadły na tyle, by mogła bezpiecznie dołączyć do rozmowy.

– Jeśli zobaczysz Hrabinę Róży, dźgnij ją ode mnie widelcem albo coś – wcina się Sienna.

– A jeśli wpadniesz na Panią Promienia...

– Dobranoc – mówię cicho, nim Olive zdąży się rozkręcić.

– Dobranoc – odpowiada mi Sil.

Arkana niemal bezgłośnie opadają na łóżko. Myślę o tym, jak cienka jest nić, która łączy mnie z moimi przyjaciółmi – ledwie ten mały, srebrny kamerton.

– Powodzenia – szepczę, a potem układam się na poduszce i okrywam kołdrą.

Zasypiam szybciej, niż mogłabym przypuszczać, wyczerpana złością na Asha i lękiem o niego.

Rozdział 10

Gdzieś koło mojej głowy coś dzwoni.

Odganiam to coś ręką, zastanawiając się, dlaczego, u licha, uprząż Turnip robi tyle hałasu. Moja dłoń trafia na chłodny metal, a potem opada na coś miękkiego.

Łóżko. Pałac. Klejnot.

Podrywam się, jakby mnie piorun raził. Dzwonek Coral dźwięczy jak oszalały. Wyskakuję z łóżka, pospiesznie zakładam białą sukienkę i upinam włosy w schludny kok nadziewany kamertonem. Pędząc przez korytarze dla służby, szarpię się z gryzącym mnie potwornie koronkowym kołnierzem. Zwalniam dopiero pod koniec szklanego korytarza. W głównej części pałacu jest pusto. Wślizguję się za arras i zbiegam na dół po kamiennych schodach. Dzisiaj znalezienie kuchni zajmuje mi o wiele mniej czasu. Kiedy wchodzę, Cora opuszcza akurat pomieszczenie, niosąc tacę z dzbankiem, filiżanką i jakąś potrawą skrytą pod kloszem.

– Spóźniłaś się – mówi do mnie.

– Tak, proszę pani – odpowiadam. Rzuca mi kose spojrzenie i udaje się do komnat Diuszesy.

– Zaspałaś? – pyta Zara z uśmiechem, po łokcie unurzana w zagniatanym właśnie cieście. Twarz ma obsypaną mąką.

– Zapomniałam, gdzie jestem – wyznaję w nagłym przypiływie szczerości.

Zara wybucha śmiechem.

Na długiej ladzie stoją tace ze śniadaniem. Tę przeznaczoną dla Coral poznaję po różowej filiżance. Przy drzwiach do ogrodu przystanęli jeden z lokali i sympatyczny Gwardzista, Trzeci. Z marsowymi minami przeglądają dzisiejszą gazetę. Czuję ukłucie paniki. Czy ktoś spostrzegł Asha? A może już go złapali?

Gdy przechodzę obok nich, Trzeci unosi głowę.

– Dzień dobry, Imogen.

– Złe wieści? – pytam neutralnym tonem.

– Te Czarne Klucze zabiły wczoraj w Dymie jednego

z urzędników, i to wysoko postawionego. Hierarcha będzie musiał szybko go kimś zastąpić.

– Och – wyrzucam z siebie, podnosząc tacę. Co za ulga, że Ash przetrwał jakoś noc. Gdy wychodzę na korytarz, dociera do mnie, że nie mam pojęcia, dokąd się udać. Dwie sekundy później wymija mnie Mary ze śniadaniem dla Carnelian.

– Tędy – mówi z wyraźną niechęcią.

Wracamy do arrasu, ale nie przechodzimy przez niego, zamiast tego kierujemy się na kolejne schody, tym razem prowadzące na piętro pałacu.

Wychodzimy obok sporego postumentu, na którym stoi popiersie jednej z dawnych Dioszes Jeziora. Rozpoznaję korytarz prowadzący do kwater mężczyzn.

Podchodzę do właściwych drzwi i przystaję. Powinnam zapukać? Nie pamiętam, żeby Annabelle to robiła. Biorąc głęboki oddech, balansuję tacą na jednej dłoni i otwieram drzwi.

W saloniku w biało-niebieskie paski nie ma nikogo, jednak we wściekle różowej komnacie, przy śniadaniowym stoliku, siedzi Garnet. Przystojny lokaj rozkłada mu właśnie serwetkę na kolanach.

Garnet obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

– Wejdz. Jest w łóżku – oznajmia.

Kiedy otwieram drzwi sypialni, widzę, że Cora wciąż niestrudzenie szarpie za szarfę od dzwonka. Na mój widok jej twarz się rozjaśnia.

– Gdzie panienka chciałaby zjeść śniadanie? – pytam grzecznie. Od ciężkiej tacy zaczynają mnie boleć nadgarstki.

– Na tamtym stoliku. Och, i wybierz mi suknię. Planuję na dziś wizytę u matki.

Odstawiam tacę i podchodzę do szafy. Przeglądając kolejne kreacje w najrozmaitszych barwach i o różnych krojach, myślę o tym, że Ash dobrze by wiedział, która będzie pasować Coral. Nagle dostrzegam brzoskwiniową suknię, podobną do tej, w którą ubrała mnie kiedyś Annabelle, i tę właśnie kładę na łóżku.

– No więc – rzuca Coral, krzyżując nogi i spoglądając na mnie sponad krawędzi filizanki. – Co tam słyhać? Jakies ploteczki?

Mrugam.

– Przepraszam, panienko?

Cora odstawia filiżankę i zaczyna solić sadzone jajka.

– Ploteczki z dołu. Co tam słyhać u służby? Jakies romanse? Złamane serca? Awantury wśród Gwardzistów? No, powiedz mi. Muszę wiedzieć. – Wzdycha. – Czasem tęsknię za domem. Moja pokojówka przy śniadaniu wszystko mi opowiadała.

Staram się zyskać trochę czasu, odciągając zasłony i wiążąc je po bokach. Jakież to plotki mogłabym znać?

– Jeden z urzędników zginął wczoraj w nocy – mówię. – W Dymie.

– Imogen, ale to jest takie smutne. Matka nie pozwalała mi czytać wiadomości z niższych Kręgów. Zawsze mówiła, że są nudne, przygnębiające i że nie powinnam zawracać sobie nimi głowy.

Nudne i przygnębiające? Zaciskam w dłoni storę, a potem wyjątkowo mocno ją związuję.

– Och, zapomniałam zapytać Garneta, czy pojedzie ze mną dzisiaj do matki – przypomina sobie Coral i wsuwa do ust kawałek jajka. – Czy mogłabyś...

– Oczywiście, panienko. Zapytam go.

Wdzięczna za pretekst, by się oddalić, wychodzę z sypialni i zamykam za sobą drzwi. Garnet wciąż siedzi nad śniadaniem.

– Ile czasu ona mordowała ten dzwonek? – pyta z krzywym uśmiezkiem.

– Wieki.

– Cóż, jest dość uparta.

– Chciała, żebym zapytała cię, czy udasz się z nią dzisiaj do jej matki.

Garnet ociera usta i odkłada serwetkę.

– Ach. Nie, myślę, że daruję sobie obiadek z teściową. Wiesz, sprawy służbowe i tak dalej. Ale koniecznie musisz mi powiedzieć, co podano, dobrze? Dom Dolin słynie ze wspaniałego drobiu. Jestem ciekawy, czy na dzisiaj przewidziano kaczkę. – Puszczam do mnie oko.

– Ja nie idę – oznajmiam, biorąc sobie z jego talerza tost.

Muszę znaleźć Hazel. Może uda mi się wślizgnąć do pokoju medycznego, gdy Diusza będzie jadła lunch. Albo mogłabym poszukać sekretnego przejścia, o którym wspominał Lucien.

Garnet patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Violet, jeśli ona idzie, to ty też idziesz. Myślisz, że na czym polega bycie dwórką? Latasz za nią od rana do nocy i nie spuszczasz jej z oka.

– Ale Annabelle nie towarzyszyła mi nigdy, gdy opuszczałam pałac.

– Byłaś surogatką, a Coral to arystokratka. – Garnet wstaje, wyciąga z kieszeni arkana i pieszczotliwie muska kamerton. – Nie wyjechały jeszcze, prawda?

Wiem, że pyta o Raven.

– Nie – odpowiadam, niespecjalnie przywiązując wagę do jego słów. – Wyruszają jutro w nocy. Raven mówiła ci o Ashu? – dodaję zirytowana.

Garnet parska śmiechem.

– Tak. – Kiedy dostrzega wyraz mojej twarzy, unosi dłonie w geście poddania. – Hej, uważam, że może robić, co chce, a poza tym, wybac mi, w mojej opinii ma rację.

– W czym? Twoim zdaniem ta idiotyczna ucieczka do Banku to świetny pomysł?

– Chodzi mi o przeciągnięcie Towarzyszy na naszą stronę. To coś innego niż pozyskiwanie robotników albo Gwardzistów z niższych Kręgów. Towarzysze są sprytni, wykształceni i wytrenowani. No i znajdują się w dogodnych dla nas miejscach. Wyobraź sobie, co by było, gdyby dołączyli do naszych ludzi czekających w Banku, aż ściana między Kręgami runie. Przecież wiesz, że nikt poza osobą, która należy do ich kręgu, nie ma szansy ich pozyskać. Całe ich życie obraca się wokół kłamstw i sekretów. Nie ufają nikomu, zapewne nawet własnym kolegom. Więc, Violet, ten wybryk Asha może się obrócić na naszą korzyść.

Naprawdę życzyłabym sobie, żeby wszyscy przestali bronić Asha, jakby szarpnął się na jakiś heroiczny wyczyn. Nie kochają go! Nie muszą się martwić, że jeśli umrze, ich serca rozpękną się na miliardy kawałeczków.

– Imogen! – woła mnie z sypialni Coral.

– Nie każ jej czekać – mówi Garnet.

Przewracam oczami, a potem przywołuję na usta wesoły uśmiech i wracam do sypialni, by pomóc Coral się ubrać.

Lunch w Pałacu Dolin jest długi i męczący.

Można byłoby pomyśleć, że jego uczestnicy nie mają pojęcia, że poza Klejnotem w ogóle istnieją jeszcze jakieś Kręgi. W trakcie całego posiłku nikt ani słowem nie wspomina o zamachach, walkach ani o Czarnym Kluczu. Coral i jej matka nawijają bez ustanku o Diuszesie oraz Garnecie, i o tym, jak to jest należeć do jednego z Domów Założycieli. Coral jest podekscytowana jej pierwszą Aukcją. Lucien miał rację, to naprawdę jest wydarzenie roku, którego nie opuści żadna zamężna arystokratka.

Jedyny ciekawy moment tego lunchu to chwila, w której biesiadnicy napomykają o Hazel.

– Wiedziałaś o tym – rzuca Pani Dolin – że Wybranka od czasu, gdy surogatka Diuszesy zaszła w ciążę, ani razu jej nie widziała? Jej lekarz też nie. Diuszesa jak dotąd na to nie pozwoliła.

– Och, matko, aż nie mogę uwierzyć. To jak w ogóle doszło do zaręczyn? – pyta Coral.

– Wydaje się, że sam Hierarcha widział dziewczynę, ale Wybranka, cóż, nie została zaproszona. Gdyby ktoś zdołał zorganizować spotkanie, myślę, że wywołałoby to pozytywną reakcję również innych Domów. – Pani Dolin znacząco spogląda na córkę.

Coral z entuzjazmem kiwa głową.

– Porozmawiam z Diuszesą – zapewnia.

Coral jest prawdopodobnie ostatnią osobą w pałacu, która mogłaby przekonać swoją teściową do czegoś takiego. Chyba nawet Carnelian miałyby większe szanse.

Wracamy do domu akurat w chwili, w której Carnelian schodzi po frontowych schodach do czekającego na nią samochodu. U jej boku idzie Rye. Nie widziałam jej od tamtej nocy w lochu, kiedy pomogła uwolnić Asha. Wygląda nawet posępniej niż zazwyczaj, Rye jest natomiast tak przystojny, jak go zapamiętałam, ma gładką, ciemną skórę i czarne loki. Jego oczy prześlizgują się po mnie i nie dostrzegam w nich nawet cienia rozpoznania. Na twarzy ma maskę uprzejmości. Ash wyglądał podobnie, gdy przebywał w pałacu.

– Cześć, Carnelian – rzuca Coral. – Dokąd się wybierasz?

– Na jakieś głupie przyjęcie – odburkuje Carnelian i spogląda na mnie. Sztywnieję. – Wreszcie dostałaś swoją, co?

– Garnet ją sprowadził – odpowiada Coral, jaśniejąc na twarzy. – Nazwałam ją Imogen.

– Milusio – kwituje z sarkazmem Carnelian.

Coral nie zauważa tej zgryźliwości, bo cała jej uwaga skupia się na spływającej po schodach Diuszecie, za którą idą Cora i Diuk.

– Carnelian, chodźże, nie chcemy się spóźnić – strofuje siostrzenicę Diuszesa. Na widok tej kobiety moje serce zamiera, a nogi zdają się dwoma soplami lodu. – Nigdy nie wydam cię za męż i się od ciebie nie uwolnię, jeśli nie jesteś nawet w stanie przybyć na przyjęcie o czasie.

– Matko, ja... – zaczyna Coral, ale Diuszesa nie daje jej skończyć.

– Ile razy mówiłam, że masz mnie tak nie nazywać? – pyta ostro, gdy kierowca otwiera przed nią automobil. Drzwi zamykają się z trzaskiem, nim Coral zdoła odpowiedzieć. Carnelian, wyraźnie nieszczęśliwa, również wsiada do pojazdu. Chwilę później automobil rusza w kierunku bramy. Coral spogląda za nim ze zmartwioną miną.

To mój szczęśliwy dzień.

Diuszesy nie będzie przez cały wieczór. Znakomita okazja, żebym poszukała siostry.

Rozdział 11

Najlepszym czasem na poszukiwania jest pora kolacji.

Wymykam się do ogrodu, prosto w chłodny, wiosenny wieczór. Wieje lekki wiatr, który łaskocze mnie w szyję. Przemykam koło szklanego korytarza i spieszę do garażu. Lucien mówił, że najpewniej właśnie tam znajdę sekretne przejście do pokoju medycznego. Problem w tym, że sekretne przejścia są, jak sama nazwa wskazuje, sekretne, a więc jeśli nie wiesz, gdzie dokładnie ich szukać, to trudno ci je znaleźć. Spędziłam w tym pałacu trzy miesiące, a nie miałam pojęcia o labiryncie korytarzy dla służby.

Po dwudziestu minutach przyglądania się skałom i krzakom poddaję się i decyduję, że spróbuję się dostać do gabinetu drogą, którą znam.

W pałacu jest cicho jak makiem zasiał, uznaję więc, że zaryzykuję i skorzystam z głównych korytarzy. Biegnę na piętro, potem przez korytarz kwiatów i galerię... Kiedy jednak dostrzegam wreszcie windę, opadają mi ramiona.

Okratowana złotem winda ma nowe drzwi, metalowe, z wielkim zamkiem. Wiem, że nic tu nie wskóram, ale i tak do niej podchodzę. Przyciskam dłoń do chłodnej powierzchni, świadoma, że tam, pode mną, znajduje się Hazel. Podskakuję, słysząc dochodzący z dołu hałas i uciekam do pierwszego tajnego przejścia, które znajduję. Schodzę na parter i odkrywam, że znajduję się koło sali balowej.

Została mi ostatnia opcja – przejście w bibliotece, to, którego używałam, by odwiedzać Asha.

Droga do niego jest równie znajoma jak mój rodzinny dom. Mijam kolejne półki, aż wreszcie znajduję książkę Cadmiuma Blake'a „Eseje o zapyłaniu krzyżowym borówek”. Wyciągam ją, a wtedy otwierają się ukryte drzwi. Kiedy widzę przed sobą tunel, zalewa mnie kolejna fala wspomnień. Ręka Asha ściskająca moją. Przemykanie się tędy późno w nocy. Bez tego zacienionego korytarza nigdy nie byłoby... nas.

Mogę go nigdy więcej nie zobaczyć.

Nie! Odsuwam myśli o Ashu na bok. Najpierw muszę się upewnić,

że rzeczywiście jestem tu sama. Sil nauczyła mnie tej sztuczki jakiś miesiąc temu. Łączę się z Powietrzem i wysyłam je przede mnie, w ciasne korytarze, a potem przywołuję z powrotem. Przynosi mi tylko ciszę oraz woń kamienia i kurzu.

Ruszam korytarzem prowadzącym do dawnych pokojów Asha. Pamiętam, że są tu odchodzące na boki tunele, ale nigdy dotąd się w nie nie zapuszczałam. Pierwszy korytarz, w który skręcam, prowadzi mnie do schodów kończących się na piętrze, w komnacie, której wcześniej nie widziałam. To przytulny pokój wypełniony książkami, z miękką kanapą i małym biurkiem. Mój wzrok przyciąga oprawiona w ramkę fotografia, na której widnieje para z dwiema małymi dziewczynkami. Wszyscy stoją na stopniach prowadzących do Pałacu Jeziora. Natychmiast spostrzegam, że jedna z dziewczynek to obecna Diuszesa. Nawet w wieku kilku lat na twarzy miała wypisaną właściwą sobie arogancję. Jej wyniosłe spojrzenie też nic a nic się nie zmieniło.

Nagle komnata wydaje mi się aż nazbyt prywatna. Niebezpieczna. Odstawiam zdjęcie dokładnie tam, gdzie stało, i umykam na schody.

Drugi korytarz okazuje się ślepy.

Trzeci daje mi nieco nadziei. Jego podłoga opada pod lekkim skosem, a z każdym moim krokiem powietrze robi się coraz chłodniejsze i bardziej zastałe. Dłonie mnie swędzą i zaczynam szybciej oddychać. Wreszcie docieram do stromych, kamiennych schodów. Kiedy po nich idę, mam wrażenie, że moje kroki rozbrzmiewają nienaturalnie głośno.

Na dole czekają na mnie czarne drzwi.

Wiem, że za nimi jest Hazel. Czuję to. Włoski na przedramionach stają mi dęba.

Drzwi nie mają gałki ani klamki, nie wiem, w jaki sposób można je otworzyć. Nie mam pojęcia, z jakiego materiału je zrobiono, ale zdają się nienaturalnie zimne. Przesuwam dłońmi po ich zewnętrznych krawędziach i wyczuwam wgłębienie po lewej stronie. Wsuwam w nie palce, pociągam i drzwi przesuwają się na bok.

W nos uderza mnie drażniący zapach antyseptyków. Pokój wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Liczne, przypominające insekty lampy, puste, białe ściany, kuweta ze srebrnymi narzędziami. Na szczęście, choć biurko jest zavalone papierami, doktora nie ma na

miejscu.

Wbijam wzrok w stojące na środku pokoju łóżko, w leżącą na nim, okrytą aż pod brodę białym prześcieradłem postać.

– Hazel? – chrypię i doskakuję do łóżka tylko po to, by nagle zastygnąć bez ruchu i wydać z siebie zdławiony okrzyk zaskoczenia.

Jest inna. Coś jej zrobili. Zmienili ją, zmienili jej policzki i nos, który jest teraz bardziej zadarty. Hazel ma gęstsze włosy. Wciąż długie, czarne i faliste jak moje, ale... Kiedyś były inne. Moja siostra śpi pod przypominającym całun okryciem. Gdy je unoszę, z gardła wyrывa mi się szloch. Jest przywiązana do łóżka. Czarne pasy biegną poprzez jej ramiona, tors, biodra, nawet nadgarstki ma skrępowane.

Ale jej pierś unosi się i opada. Ona żyje.

I, co najważniejsze, jej brzuch jest zupełnie płaski. Ani śladu wypukłości, takiej, jaką będąc w ciąży, miała Raven.

– Och, Hazel – mamroczę, kładąc dłoń na jej czole i odgarniając z niego kosmyki włosów. Hazel wzdryga się, a potem unosi powieki. To, co widzę, sprawia, że zaczyna mnie mdlić.

Jej oczy. Jej cudowne orzechowe oczy.

Są fiołkowe.

– Co oni ci zrobili? – szepczę.

Dziwne oczy Hazel rozwierają się szeroko i z gardła mojej siostry dobywa się przerażony krzyk.

– Przestań! – proszę, zatykając jej usta dłonią. Gryzie mnie niemal do krwi.

– Nie! Dość! – krzyczy. – Dość. Nie, nie, nie!

– Hazel, to ja, Violet!

Hazel szamoce się na łóżku na tyle, na ile pozwalają jej więzy. Ujmuję jej twarz w dłonie.

– Popatrz na mnie – mówię ostro, starając się utrzymać siostrę w bezruchu. – Mam inne włosy i oczy, ale to ja. Posłuchaj mojego głosu. Jestem twoją siostrą. Jestem Violet.

Hazel dyszy ciężko, spanikowana, i wbija we mnie wzrok.

– Posłuchaj mojego głosu – powtarzam.

– Violet?

Łza spływa mi po twarzy i rozpryskuje się na jej policzku.

– Tak – mówię łagodnie. – To ja.

I moja słodka, silna, mała siostrzyczka wybucha płaczem.

– Naprawdę tu jesteś – szlocha. – Jesteś prawdziwa.

– Jestem tutaj – powtarzam raz za razem, póki oddech Hazel trochę nie zwolni.

– Błagam – wyjąkuje Hazel. – Zabierz mnie stąd, Violet. To tak boli, tak strasznie boli. Doktor Blythe i Diuszesa, oni... Oni coś we mnie wkładali i wkładali, codziennie, ale krwawiłam, więc w końcu przestali, ale zaczęli ciąć mi twarz, i mnie nie wypuszczają, a tu jest tak zimno...

– Ciiiiii – mruczę, gładząc ją po głowie.

– Zabrali mnie, bo uciekłaś – mówi. – Tak mi powiedziała. Powiedziała, że to po to, żeby cię ukarać.

Poczucie winy zalewa mnie wysoką falą.

– Przepraszam, tak bardzo przepraszam – mamroczę.

– Chcę do domu – szlocha Hazel.

– Ja też – odpowiadam. Rozglądam się, jakby tu odpiąć te pasy, ale są przymocowane wprost do łóżka.

– Tam jest guzik – mówi Hazel. – Na ścianie. – Unieruchomioną ręką wskazuje w lewo. Podbiegam do ściany, odsuwam srebrną obudowę panelu i widzę sześć guzików. – To ten niebieski. Widziałam, jak doktor to robi.

Gdy tylko pasy puszczają, wracam do siostry, która mocno mnie obejmuje. Cała się trzęsie.

– Jestem tutaj – powtarzam. Jakże bym chciała w tej chwili ją stąd zabrać, zawieźć ją do mamy, do Bagna albo do Białej Róży, gdzieś, gdzie Diuszesa nie mogłaby jej dosięgnąć. – Muszę cię o coś zapytać – mówię prosto w jej włosy. – Jesteś w ciąży?

Hazel cała się spina. Wypuszcza mnie z objęć, a jej fiołkowe oczy ciemnieją.

– Nie – stwierdza głucho. – Oni uważają... To nie działa. Próbowali. Próbowali przez... miesiąc? Może nawet dłużej. Nie wiem. Czas dziwnie tu biegnie.

Do jej oczu napływają łzy. Ocieram jedną z nich kciukiem.

– W porządku – szepczę. – Powoli.

Hazel bierze głęboki, drżący oddech.

– Przyszli po mnie w nocy. Mama... – Kurczowo zaciska powieki.
– Mama krzyczała i płakała, ale... Było tylu Gwardzistów. Doktor zbadał mnie w pociągu. Powiedział, że jestem surogatką i jeśli będą mieć szczęście, okażę się taka sama jak ty. Opowiedział mi o Auguriach. Oznajmił, że muszę urodzić Diuszecie dziecko, ale bardzo szybko, szybciej niż inne dziewczyny. – Dłoń Hazel przesuwana się na jej krzyż i powietrze ulatuje mi z płuc. – Powiedział, że nie miałam czasu nauczyć się Augurii, więc... Więc...

Bardzo ostrożnie unoszę skraj koszuli nocnej Hazel. U podstawy jej kręgosłupa znajduje się obrzęknięty krwiak wielkości orzecha włoskiego, od którego rozchodzi się pajęczyna czerwonych żył.

Pistolet ze stymulantem. Doktor Blythe na pewno używał go nader często, bo Hazel nie ma pojęcia, jak korzystać z Augurii.

– Diuszesa była wściekła – ciągnie moja siostra, wpatrując się w swoje dłonie. – Wrzeszczała i rzucała różnymi rzeczami, kiedy doktor powiedział jej, że... że nie mogę...

– To dobrze – przerywam jej. – Poród zabija surogatki.

– Co?

– Wyjaśnienie tego zbyt długo by trwało. Czy możesz mi powiedzieć, czego chce Diuszesa? – pytam. – Co planuje, skoro już nie próbuje sprawić, byś była w ciąży?

Hazel potrząsa głową.

– Nie wiem. Kiedy znów ją zobaczyłam, była spokojna i oznajmiła mi, że... Że muszę się zmienić. To wtedy doktor zaczął ciąć moją twarz. – Dotyka palcami nosa i policzków. – Jak wyglądam? – dopytuje zaleknionym tonem.

Staram się przywołać na wargi odważny uśmiech.

– Wyglądasz dobrze – pocieszam ją. – Właściwie... Właściwie wyglądasz jak ja.

Siostra unosi brwi.

– Naprawdę?

– Wszyscy w Klejnocie myślą, że jesteś mną – wyjaśniam.

– Więc... przyszłaś, żeby zająć moje miejsce?

W jej twarzy jest tyle nadziei, że poczucie winy niemal mnie przygniata.

– Posłuchaj mnie – proszę, ujmując jej twarz w dłonie. – Gdyby to, że zostanę tutaj, mogło sprawić, że wrócisz bezpiecznie do domu, do mamy, nie wahałabym się ani chwili. Ale... – Słowa palą mi język. – Nie mogę cię stąd zabrać Hazel. Jeszcze nie teraz.

– Co? Jak to? Więc po prostu... Po prostu mnie tu zostawisz?

– Mieszkam w tym pałacu – mówię. – Przez cały czas będę cię pilnować, obiecuję. Ale jeśli pozwolę ci teraz stąd wyjść, schwytają cię i dowiedzą się, że ktoś ci pomaga. Obydwe zginiemy. W mieście wiele się teraz dzieje. Chciałabym móc ci to wszystko wyjaśnić.

Hazel kuli się w sobie i ukrywa twarz w dłoniach. Kolejne sekundy spędzamy w milczeniu.

– Więc... Więc umarłabyś tutaj? – pyta wreszcie cichutko.

– Tak.

– Ja też tutaj umrę? – Głos Hazel jest ledwie słyszalny, nabrzmiały przerażeniem. Obejmuję siostrę ramieniem.

– Nie – zapewniam ją łagodnie. – Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało. – Przygryzam wargę, walcząc ze łzami. – Pamiętasz pierwsze tygodnie po śmierci taty?

Hazel potakuje, opierając głowę na mojej piersi.

– Pamiętasz, jaka byłaś przerażona, bo mama prawie nic nie mówiła, a Ochre wdawał się w bójki w szkole?

Kolejne potaknięcie. Bardzo rzadko o tym rozmawialiśmy. Od lat nie wracałam pamięcią do tamtych dni, wiązało się z nimi zbyt wiele bólu. Moja siostra musi jednak wiedzieć, że jesteśmy rodziną i że nigdy jej nie porzucę.

– Pamiętasz, co razem robiłyśmy?

– Każdej nocy zapalałyśmy świecę – szepce Hazel. – Mówiłaś, że tata patrzy na nas poprzez światło. I jeszcze, że go słyszysz. Że mówi, że rodzina jest wieczna i że zawsze będziemy razem. Że patrzy na mnie i jest ze mnie dumny. Że tęskni, i mnie kocha, i... Ale, Violet, ja wiem, że to wymyśliłaś. Byłam mała, więc ci wierzyłam.

– Kto powiedział, że to wymyśliłam? – mruczę. – Ojciec naprawdę spoglądał na nas poprzez płomień świecy. Kocha cię i tęskni za tobą, i się tobą opiekuje. Tak jak ja. Rodzina naprawdę jest wieczna. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. I naprawdę wyciągnę cię z tego pałacu,

przysięgam! – Ściska mi się gardło. – Już kiedyś pozwoliłam ci wierzyć, że o tobie zapomniałam. Przyrzekłam sobie, że to się już nie powtórzy.

– Boję się.

– Ja również.

– Mama na pewno też jest przerażona – mówi Hazel. – I smutna.

Została sama.

Gula w moim gardle rośnie.

– Ojciec opiekuje się również nią – przekonuję.

Wiem, że powinnam już iść. Spędziłam tu aż za dużo czasu.

– Muszę wracać na górę – szepczę. – Ale wrócę. Obiecuję.

– Możesz mi przynieść jakieś jedzenie? – prosi Hazel. – Karmią mnie tylko przez rurkę. Tęsknię za czekoladą.

– Mój mały łasuchu – mówię, pstrykając ją lekko w nos.

Hazel uśmiecha się, słysząc określenie, którego używał tata, gdy przeszukiwała jego kieszenie w nadziei na znalezienie w nich jakichś przysmaków, kawałka lukrecji albo karmelka.

Pomagam siostrze położyć się na łóżku i uruchamiam pasy. Potem podciągam jej okrycie pod brodę i całuję ją w czoło na pożegnanie.

– Wiesz o tym – szepczę – że kiedy mieszkałam w tym pałacu, każdego wieczoru życzyłam ci dobrej nocy? Lepiej się potem czułam.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A teraz mogę powiedzieć ci to osobiście. Dobranoc, Hazel.

Uśmiech Hazel jest wąły.

– Dobranoc, Violet.

Odwracam się i wypadam z pokoju jak najszybciej, zanim spłyną ze mnie resztki opanowania i nie będę już w stanie zostawić siostry. Zasuвам za sobą drzwi i pędzę po schodach, a łzy strumieniami płyną mi po policzkach.

Co oni zrobili jej twarzy? Jej oczom? I dlaczego? Przecież Diuszesa wie, że Hazel nie zajdzie w ciążę, po co więc trzyma ją zamkniętą w pokoju na dole? Nie ma żadnego powodu, by utrzymywać moją siostrę przy życiu. A jednak... Ogłosiła całemu miastu, że Hazel jest brzemienna.

Co ona planuje, rozważam, zbierając się do kupy i ruszając do

swojego pokoju. I jaką rolę w planach Diuszesy ma do odegrania Hazel?

Rozdział 12

Przez kolejny tydzień powoli przyzwyczajam się do bycia dwórką.

Nocami wymykam się do pokoju medycznego, by zobaczyć się z Hazel. Kiedy tylko mogę, przynoszę siostrze jedzenie i opowiadam jej o wszystkim, co dzieje się poza granicami Klejnotu. Mówię jej o Białej Róży, o tym, czym naprawdę są Augurie, oraz wprowadzam ją w sprawy Sprzysiężenia.

– Ochre opowiadał o rebeliantach – rzuca Hazel, żując pasztecik. – Myślałam, że zmyśla. Oznajmił, że razem z Sable'em Tersingiem malują na Farmie symbole klucza.

– Właśnie w ten sposób Sprzysiężenie go znalazło – wyjaśniam.

– Nic mu nie jest?

– Nie. Wciąż jest na Farmie. Lubi ten Krąg.

Hazel uśmiecha się.

– To dobrze – mruczy i wzdycha cicho. – Mama też nie chciała mu wierzyć. Gdyby wiedziała, że planuje przystąpić do sekretnego stowarzyszenia, pewnie nie dałaby mu wyjść z domu. Zawsze mu powtarzała, żeby nauczył się wreszcie zginać kark. – Siostra pociąga nosem. – Mama strasznie potrzebowała pieniędzy, które zarabiał. Zwłaszcza po tym, jak zostałaś sprzedana i przestaliśmy dostawać kompensatę za twój pobyt w Magazynie.

Ze zmartwienia żołądek zawiązuje mi się w supeł. Jak mama daje sobie radę teraz, kiedy nie ma przy sobie żadnego z nas?

– Nasza matka jest silna – mówię, choć staram się chyba przekonać głównie siebie. – I mądra. Na pewno daje sobie radę.

– Tak – zgadza się Hazel, choć bez entuzjazmu. – Hej, myślisz, że kiedy będzie już po wszystkim, mogłybyśmy zamieszkać z Ochre'em i tobą na Farmie? Myślę, że bym ją polubiła. I mama też.

Trącam ją lekko ramieniem.

– Obydwie pokochacie Farmę, a zwłaszcza Białą Różę.

Mówię Hazel również o Ashu. Wciąż nie mam od niego żadnych wieści. Czuję na zmianę strach o niego i wściekłość z powodu tego, co zrobił. Za każdym razem, gdy wpadnie mi w ręce gazeta, przeglądam ją

gorączkowo, w obawie, że znajdę zdjęcie jego twarzy. Pamiętam listy gończe, które zawisły w każdym Kręgu zaraz po jego ucieczce.

Raven kontaktuje się ze mną tej nocy, kiedy wraz z innymi Paladynkami kończą sprawy w Bramie Północnej, żeby dać mi znać, że wszystko idzie zgodnie z planem. A raczej prawie wszystko.

– Nie wiem, czy w kolejnym Magazynie nie powinnyśmy zostawić Sil za murem – irytuje się. – Kompletnie nie ma podejścia do tych dziewczyn. Jestem od niej sto razy lepsza.

Parskam stłumionym śmiechem.

– Tak, mogę sobie wyobrazić, co się działo. Kiedy wyruszacie do Bramy Północnej?

– Za kilka dni. Badamy na razie grunt tutaj, sprawdzamy, czy damy radę wzbudzić jakieś prorebelianckie nastroje. – Raven milknie na chwilę. – No i próbujemy pomóc. Wiesz, z drobiazgami. Napęlamy cichcem beczki na deszczówkę, sprzątamy. Nocami przemykamy po ogrodach i wzmacniamy rośliny, a gdy jest wyjątkowo zimno, upewniamy się, że we wszystkich domach płonie ogień.

Serce rośnie mi z dumy. Rewolucja nie musi oznaczać wyłącznie śmierci i zniszczenia, jest w niej miejsce na dobroć.

Często rozmawiam z Lucieniem, zazwyczaj przed tym, nim wymknę się do Hazel. Zdarza się jednak, że Lucien jest tak zajęty, że nie ma czasu zamienić ze mną nawet kilku zdań. Zastanawiam się, czy w ogóle sypia.

– Mam dla ciebie dobre wieści – oznajmia któreś nocy.

Dzień Aukcji nieubłaganie się zbliża. Siedzę na łóżku i czeszę włosy, a arkana unoszą się przede mną.

– Co za miła odmiana – stwierdzam.

– Ash przedostał się do Dymu.

Upuszczam szczotkę i siadam prosto.

– Co? Kiedy? Skąd wiesz?

– A pamiętasz jednego z moich ludzi? Thiefa?

Robi mi się ciepło na sercu na myśl o młodziutkim kieszonkowcu o twarzy powalanej pyłem i szarmanckich manierach. Pomógł nam uciec z Dymu. I pomógł Ashowi pożegnać się z siostrą.

– Powiedział mi, że zeszłej nocy rozmawiał z Ashem – ciągnie

Lucien. – Był niedaleko swojego starego domu.

– Co takiego? – syczę, rozdarta pomiędzy uczuciem ulgi i złością, że Ash wrócił w to okropne miejsce. – On naprawdę ma nie po kolei w głowie! Po co miałyby tam iść?

– Tak, tak, wiem, to frustrujące, kiedy ludzie, na których tak bardzo ci zależy i których za wszelką cenę starałaś się chronić, zachowują się tak, jakby mieli w nosie to, co dla nich robisz. – Wyobrażam sobie złośliwy uśmieszek na ustach Luciena. – Ale to nie wszystko. Zdaje się, że jest z nim twój brat.

– Ochre? – Zapowietrzam się. – Co... Co on robi razem z Ashem?

– Z tego, co się dowiedziałem, Ochre odkrył, że Ash zamierza opuścić Farmę, i postanowił mu towarzyszyć. Dochodzę do wniosku, że działanie bez zastanowienia twoja rodzina ma w genach.

– Argh! – Wściekła, wplątam palce we włosy i gwałtownie potrząsam głową. – O co mu, do licha, chodzi?

– O to samo, o co chodzi tobie, mnie i wszystkim członkom Sprzysiężenia. O wolność. O prawo wyboru.

– Ale pomożesz im, prawda? Nie możesz ich tak prostu zostawić samym sobie.

– A co mam zrobić? W magiczny sposób zmaterializować się w Dymie i zaferować tym dwóm bezpieczny azyl? Wiesz, mam tu do ogarnięcia jedną czy dwie rzeczy. – Otwieram usta, ale Lucien nie daje mi dojść do słowa. – Jasne, że otrzymają pomoc, Violet, w końcu należą do organizacji. Postaraj się ochłonąć i nie zamartwiaj się nimi. Masz swoje zadanie w Klejnocie. Opiekuj się siostrą. A w dniu Aukcji rozwal mur.

– Gdyby to było takie proste – wzdygam. Ale wieści o tym, że Ash jest bezpieczny, sprawiają, że węzeł lęku w mojej piersi wreszcie się rozluźnia. Część mnie dostaje szału na myśl o tym, że Ochre'emu też grozi niebezpieczeństwo, druga część cieszy się, że Ash nie jest sam, że ma kogoś u swego boku. Tej nocy idę spać pokrzepiona. Tak lekko na duchu nie czułam się od dnia, w którym opuściłam Białą Różę.

Kolejnego dnia w pałacu wybucha pandemonium.

W kuchni zawsze jest harmider, dziś jednak mam wrażenie, że znalazłam się w domu wariatów. Służące biegają w kółko, z garnków

buchają kłęby pary, na patelniach skwierczy olej, a na stołach piętrzą się góry ciasta. Zara wykrzykuje rozkazy jak wkurzony sierżant musztry.

– To z powodu przyjęcia Garneta? – pytam Mary, bo tylko ona wygląda na wystarczająco przytomną, żeby ze mną rozmawiać. Wiem, że dzisiaj Garnet ma dostać awans.

– Tak. Diuszesa właśnie oznajmiła Maude, że przyjęcie może się okazać większe, niż się spodziewała. *Może się okazać*. Zara i Maude nie mają pojęcia, co to właściwie znaczy. – Mary wygląda na zmartwioną. – Diuszesa zawsze dokładnie określa liczbę gości. Zawsze. Jest dość pedantyczna.

Idąc na górę, zastanawiam się, o co chodzi. Po drodze mijam Trzeciego i Pierwszego, potężnego Gwardzistę z ogoloną głową. Rozmawiają ze sobą i dobiega do mnie strzęp ich konwersacji.

– ...przy wszystkich drzwiach, więc przynajmniej dwunastu dodatkowo – mówi Trzeci, a potem obydwaj znikają w jednym z korytarzy.

– W kuchni panuje istne szaleństwo – mówię, wchodząc do sypialni Coral. Lubi, gdy rano o wszystkim jej opowiadam. – Diuszesa planuje dla męża panienki wielkie przyjęcie.

– Wiem, a teraz to przyjęcie będzie nawet większe – rzuca Coral, upijając łyk pomarańczowego soku. – Powiedz mi, czy Elizabeth nadal podkochuje się w Williamie?

– Dlaczego przyjęcie ma być większe? – pytam, wyczuwając, że Coral ma mi do powiedzenia coś więcej.

Dziewczyna posyła mi konspiratorski uśmiezek. Nachylam się ku niej, robiąc zaferowaną minę. Coral to lubi. Lubi dzielić się sekretami i lubi, kiedy inni za wszelką cenę chcą je poznać.

– Rozmawiałam z Diuszesa wczoraj przed kolacją i rzuciłam od niechcena, że byłoby cudownie, gdyby Klejnot znów mógł ujrzeć jej surogatkę. Bo, wiadomo, w końcu w jej łonie rośnie przyszła władczyni tego miasta. Och, jakżeby to podniosło morale, zwłaszcza teraz, gdy w niższych Kręgach co i rusz wybuchają niepokoje. I wiesz, co powiedziała Diuszesa? Że to bardzo mądra uwaga i że odmawianie miastu okazji do celebracji rychłych narodzin nowego pokolenia jest zwykłym okrucieństwem. Tak więc surogatka weźmie udział

w przyjęciu po ceremonii. – Coral poważnieje nagle i patrzy na mnie prosząco. – Miałam nikomu nie mówić, ale ty się nie wygadasz, prawda, Imogen? Obiecuj mi.

Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Dlaczego? Dlaczego teraz, po tym, jak tak długo Hazel była przetrzymywana w pokoju medycznym? Moja siostra nie jest nawet w ciąży, czy ludzie tego nie zauważą? Jestem pewna, że sugestie Coral nie miały nic wspólnego z decyzją Diuszesy, która z jakiegoś powodu nagle chce pokazać Hazel publicznie. Wiem, że sytuacja jest groźna. Wiem, że gdzieś tutaj czai się niebezpieczeństwo, ale nie umiem go dostrzec. Nie rozumiem.

Jedyne, do czego mogę się zmusić, to okłamanie patrzącej na mnie z wyczekiwaniem dziewczyny.

– Tak – mówię. – Obiecuję.

Rozdział 13

Ceremonia odbywa się na trawniku przed główną siedzibą Gwardii w Klejnocie.

Dzień jest wyjątkowo, jak na kwiecień, gorący. Dwórki muszą stać z tyłu, więc tak naprawdę ani niczego nie widzę, ani nie słyszę. W głowie kłębią się rozmaite przypuszczenia dotyczące zbliżającego się przyjęcia i tego, czemu Diuszesa zdecydowała się nagle pokazać Hazel swoim gościom.

Po ceremonii zaplanowano niewielki raut połączony ze składaniem gratulacji, jednak Diuszesa z rodziną za plecami podchodzi do Cory i oznajmia:

– Wychodzimy. Natychmiast.

W samochodzie siedzę z Coral, Garnetem, Carnelian i Rye'em. Jedziemy w milczeniu. Gdy zajeżdżamy przed pałac, jego frontowe drzwi są otwarte. Wszędzie roi się od służby. Coral wlecze mnie za sobą do sali balowej i wzdycha z zachwytem.

Ogród został odmieniony.

Na drzewach wiszą niewielkie, kolorowe latarenki. Widzę czekoladową fontannę z ułożonymi wokół niej soczystymi, czerwonymi truskawkami, tace z kanapkami, które później będą serwować lokaje, i butelki szampana chłodzące się w pełnych lodu srebrnych wiaderkach. Kwartet smyczkowy właśnie się rozgrzewa. Serce mi się ściska, gdy słyszę, jak kobieta stroi swoją wiolonczelę. Wszędzie wokół stoją dodatkowi Gwardziści. Cała tylna ściana sali balowej to tak naprawdę długi rząd przeszklonych drzwi, tak więc parkiet wiedzie wprost na zewnątrz. W pomieszczeniu ustawiono kilka stołów z napojami, by goście mogli się nimi częstować w drodze do bajkowego ogrodu.

Po obejrzeniu chyba każdej z dekoracji Coral nie może się doczekać, aż włoży suknię balową. Wybieram lśniącą kreację w morskim odcieniu z małutkimi rękawkami. Mam problemy, żeby upchnąć w niej Coral, bo dziewczyna nie przestaje się wiercić.

– Ogród jest zjawiskowy – wyrzuca z siebie. – Jak Diuszesa to zrobiła? Tak szybko? Ma taki wspaniały gust. A moje włosy wyglądają

dzisiaj precudnie. Imogen, jesteś kochana. Mówiłam ci to już, prawda? Bo jesteś.

Choć zzerają mnie nerwy, nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Dziękuję, panienko.

Coral nawija, póki nie skończę jej przygotowywać. Razem udajemy się do prowadzących na salę balową schodów.

Natychmiast zaczynam się rozglądać za Hazel, ale w sali balowej są tylko Garnet i jego ojciec. Goście jeszcze nie przybyli.

Diuk kończy już swoją whisky, a Garnet wita nasze pojawienie się z wyraźną ulgą.

– Coral, wyglądasz absolutnie zjawiskowo – mówi.

Coral promienieje.

– A gdzie jest Diuszesa?

– Przecież znasz matkę. Zrobi wielkie wejście, uwielbia to robić.

– I kto to mówi – rzuca, podchodząc do nas, Carnelian. U boku ma Rye'a, który w smokingu wygląda zabójczo. Przypomina mi Asha i przyjęcia, na których zjawiał się, towarzysząc Carnelian.

– Och, kuzynko, przecież wiesz, że już od pięciu dni nie zrobiłem żadnego wielkiego wejścia – odpowiada Garnet, puszczając do niej oko.

Rye parska śmiechem.

– Prawdziwe osiągnięcie.

– Tak naprawdę, to chcę wiedzieć, gdzie jest surogatka – oznajmia Carnelian.

Dociera do mnie, że Carnelian wie, iż surogatka Diuszesy nie jest mną. Myśli, że Diuszesa wykradła przypadkową dziewczynę, żeby odgrywała moją rolę? A może orientuje się, że to moja siostra, za którą oddałabym życie. Nie wiem, jak miałyby się domyślić. Chyba że Garnet jej powiedział. Tylko po co miałyby to robić?

Zjawiają się pierwsi goście – kilka arystokratycznych par wkracza do sali balowej w asyście lokaja. Garnet podaje ramię Coral, by obydwójce mogli ich powitać.

– Chodź – rzuca Carnelian do Rye'a. – Muszę się napić.

Odchodzą do jednego ze stolików, na których znajdują się butelki szampana, wina i whisky. Ja zostaję na miejscu i po prostu tkwię sama pod ścianą.

Na szczęście niebawem przybywają inni goście i dołączają do mnie ich dwórki. Wiele z nich zna się nawzajem, zbijają się w gromadki i szepczą do siebie w czasie, gdy ich panie rozmawiają i popijają szampana. W rogu sali cicho gra kwartet smyczkowy, a przez otwarte drzwi wpada do środka ciepłe powietrze pachnące jaśminem i kapryfolium.

– Cześć – wita się ze mną młody mężczyzna w stroju dwórki. Ma ciemną skórę i zadziwiająco niebieskie oczy. Nie może być o wiele starszy ode mnie, najwyżej kilka lat. Jego uśmiech jest ciepły i szczery. – Chyba się nie znamy. Jestem Emile.

Emile! To dwórka Raven, ta miła, chłopak, który się o nią troszczył. Na tyle, na ile był w stanie, pomagał jej zachować zdrowe zmysły. A to znaczy... Och, teraz widzę i Hrabinę Kamienia, która niczym galeon sunie pomiędzy gośćmi, by przywitać się z Garnetem i Coral. Nienawidzę jej. To uczucie jest tak przemożne, że aż mnie dławi. Ta kobieta torturowała moją przyjaciółkę.

– A gdzie Frederick? – pytam obcesowo. Frederick to dwórka Hrabiny, człowiek nawet bardziej bezwzględny od niej. Prawdziwy sadysta. Raven opowiadała mi o jego narzędziach tortur, całej masie paskudnych przyrządów, które sam wykonał i które trzymał w lochu Hrabiny.

Emile parska stłumionym śmiechem.

– Sława mego Domu mnie wyprzedza. Frederick jest chory. Przeziębził się. Hrabina brzydzi się zarazków, więc zamknęła go w pokoju medycznym, póki nie wydobrzeje. Dlatego to ja tu jestem. – Kłania się przede mną.

Chciałabym móc podziękować mu za to, że pomagał Raven. Chciałabym móc powiedzieć mu, że Raven żyje.

– Miło mi cię poznać – mówię. – Jestem Imogen, nowa dwórka Coral.

Jego błękitne oczy jaśnieją.

– Och, cudownie. Panienska wydaje się miła i chyba łatwo się nią opiekować.

– Tak – potwierdzam, spoglądając za nią.

Coral stoi u boku Garneta, przy szklanych drzwiach, i coś mówi,

a Hrabina Kamienia, z fałszywym uśmiechem przyklepionym do ust, góruje nad nią jak pękata wieża.

– Nie wydaje mi się, żeby twoja pani dobrze się bawiła – rzucam do Emile’a.

– Hrabina ma... specyficzne gusta – odpowiada. – Nie sądzę, żeby wielu ludzi rozumiało, co się jej naprawdę podoba.

Dobrze wiem, o co mu chodzi, ale tylko grzecznie kiwam głową.

– Tak naprawdę zjawiała się tylko po to, żeby zobaczyć surogatkę – oznajmia Emile, pochylając się ku mnie. – Jak większość gości zresztą.

– Och, no tak.

– Widziałaś ją?

– Nie – kłamię. – Diuszesa trzyma ją w zamknięciu.

Nagle słyszę głośny wybuch śmiechu. Diuk i kilku innych arystokratów przekrzykują się nawzajem i poklepują po plecach. Spozrzegam wśród nich Lorda Szklą, szwagra Diuka. Diuk śmieje się tak gromko, że aż rozlewa swój drink. Niemal natychmiast podbiega do niego lokaj z nową szklaneczką, a kelner pospiesznie wyciera posadzkę. Kątem oka zauważam, że całej scenie z pewną rezerwą przygląda się jeden z Gwardzistów.

Emile wzdycha.

– Naprawdę wie, jak zrobić scenę. Garnet zapewne ma to po nim.

– Garnet przynajmniej jest zabawny – mówię z przekąsem.

Emile parska śmiechem.

W tej samej chwili daje się słyszeć płacz dziecka, a kamerdyner zapowiada przybycie Hierarchy i Wybranki. Królewska para wchodzi na salę w towarzystwie opiekunki, która trzyma w ramionach odzianego w miniaturę dorosłego stroju Larimara. Chłopczyk jest większy niż wtedy, gdy widziałam go na balu w królewskim pałacu. Wydaje się, że składa się głównie z pulchnych policzków i ciemnych loków. Właściwie jest dość uroczy. Wierci się w objęciach opiekunki i pociera oko tłustą piąstką. Za królewską parą i ich synem sunie, niczym cień w bieli, Lucien.

Hierarcha i Wybranka przechodzą na początek kolejki, by pogratulować Garnetowi. Głos Wybranki jest tak wysoki, że nawet stojąc daleko, świetnie ją słyszę.

– Ojoj, i pomyśleć, że nie byłam tu od czasu waszego zaręczynowego przyjęcia – pieje władczyni. – I jak wam się podoba życie w małżeństwie?

– Jest wspaniałe, wasza wysokość – zapewnia z entuzjazmem Coral. – Uwielbiam być mężatką.

Wybranka wybucha piskliwym śmiechem.

– Ja też.

Larimar obślinia się, więc opiekunka ociera chusteczką jego twarz.

– To najcudowniejsze stworzenie na ziemi, prawda? – zachwyca się Coral.

– Tak, kochanie – zgadza się Garnet.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę surogatkę, która nosi jego przyszłą żonę – oznajmia Wybranka, rozglądając się wokół. Subtelność nie jest jej mocną stroną.

– Jestem pewien, że już niedługo się pojawi – mówi Hierarcha. W przeciwieństwie do swojej żony nie wygląda, jakby mu na tym specjalnie zależało. – A gdzie twoja matka, Garnecie? Jestem zaskoczony, że nie widać jej w oku cyklonu, jak to zazwyczaj bywa.

– Najpewniej poszła do kuchni i wydziera się na kucharzy – stwierdza Garnet z nutą znudzenia w głosie. – To drugie z jej ulubionych zajęć. Pierwszym jest wrzeszczenie na mnie, rzecz jasna. – Uśmiecha się kpiąco, a Wybranka i Coral zaczynają chichotać.

– A więc w tym roku po raz pierwszy weźmiesz udział w Aukcji – mówi do Coral Wybranka. – Podekscytowana?

– Nie mogę się doczekać, wasza wysokość – zapewnia Coral. – Zamówiłam na tę okazję nową suknię.

– U kogo?

– U panny Mayfield.

– Och! Jest świetna!

– Tak słyszałam.

– Kochanie – rzuca Wybranka, tuląc się do Hierarchy – koniecznie musimy zaprosić Coral i Garneta na kolację. Przecież są teraz właściwie niezależni, nieprawdaż? Wypadałoby spotkać się na osobności z przyszłymi Diuszesa i Diukiem Jeziora.

Uśmiech Coral staje się jeszcze szerszy.

– Tak, oczywiście – odpowiada władca, omiatając wzrokiem pomieszczenie. Ciekawe, czyżby jednak chciał zobaczyć Hazel?

– Jakież to uprzejme ze strony waszych wysokości – mówi Garnet. – Z najwyższą przyjemnością.

W ogrodzie odzywają się trąbki i w drzwiach sali balowej pojawia się Diuszesa. Ma na sobie piękną suknię w kolorze srebra, z gorsetem obszytym diamentami i spódnicą, która migocze przy każdym ruchu. Goście, którzy wyszli wcześniej do ogrodu, zaczynają pospiesznie wracać do sali. Wszyscy zebrani obracają głowy, spragnieni widoku surogatki.

To wstrętne. Pamiętam, jak ci ludzie gapili się na mnie na balu Hierarchy, kiedy zostałam zmuszona do grania na wiolonczeli. Jestem wściekła, że Hazel musi tego doświadczać.

– Przyjaciele – zaczyna Diuszesa, rozkładając ramiona. Na jej nadgarstku dostrzegam srebrną bransoletkę i serce ściska mi się w piersi. – Z ogromną przyjemnością, po kilku miesiącach, prezentuję wam raz jeszcze moją surogatkę.

Czyni ostry gest ręką, na której nosi bransoletkę, i z cienia wyłania się Hazel. Na szyi mojej siostry znajduje się wysadzana klejnotami obroża, z której spływa, połączony z bransoletką Diuszesy, srebrny łańcuszek. Złość o mało mnie nie rozsadza. Hazel jest na smyczy!

Co jednak gorsze, jej obleczony suknią brzuch jest zaokrąglony, zupełnie tak, jakby była w ciąży.

Ale przecież nie jest. Nie może być. Widziałam ją ledwie dwa dni temu. Diuszesa i doktor Blythe odpuścili już sobie próby zapłodnienia jej.

Myśli kłębią mi się w głowie, jedna bardziej ponura od drugiej, aż nagle napotykam spojrzenie Hazel i siostra leciutko kiwa mi głową, jakby chciała dodać mi otuchy. Czymkolwiek nie byłby jej brzuch, na pewno nie jest prawdziwy.

A jednak dziwnie się czuję, bo Hazel naprawdę przypomina mnie samą. Diuszesa wszystko sobie przemyślała. Niższa ode mnie, Hazel ma buty na obcasach, a gors jej sukni został czymś wypchany, żeby wydawało się, że siostra ma większe piersi. Odziano ją w tę samą kreację, którą miałam na sobie w trakcie pierwszej kolacji w pałacu,

bladofioletową suknię z podwyższoną talią. Fryzurę również ma identyczną jak ta, którą robiła mi Annabelle, skręcone w pierścionki włosy upięte z tyłu głowy.

Jedyną nowością, pomijając wystający lekko brzuch, jest welon. Połyskliwy biały tiul okrywa twarz Hazel, zaczyna się na wysokości kości policzkowych i sięga poniżej brody. Przezroczysta materia niewiele zasłania. Zastanawiam się, czy to środek ostrożności na wypadek, gdyby ktoś jednak żywił jakieś podejrzenia i chciał dokładniej przyjrzeć się mojej siostrze, czy raczej nowa moda.

Fiołkowe oczy Hazel są szeroko rozwarte, dostrzegam w nich mieszaninę strachu i zaciekawienia. Dociera do mnie, że moja siostra nie miała wcześniej okazji zobaczyć ani pałacu, ani mieszkających w Klejnocie arystokratów. Hazel patrzy na błyszczące tkaniny wieczorowych kreacji, na wypolerowane instrumenty muzyków, na rozstawione w ogrodzie stoły uginające się pod jedzeniem, aż wreszcie jej spojrzenie wraca do mnie.

Goście również z ciekawością się jej przyglądają. Wyczuwam, że popatrują to na brzuch Hazel, to na Diuszesę.

– Los ciężko ją doświadczył – oznajmia Diuszesa. – Proszę więc, byście trzymali się od niej na dystans. Nie chcemy, by poczuła się przytłoczona.

Wybranka zdążyła już przemierzyć całą komnatę i staje naprzeciwko Hazel. Diuk, chwiejąc się lekko na nogach, dołącza do Diuszesy i obydwójce kłaniają się, gdy dołącza do nich Hierarcha, za którego plecami, niczym cień, postępuje niańka z następcą tronu. Zebrani z zapartym tchem obserwują, jak Wybranka obcina wzrokiem Hazel.

– Wydaje się... chudsza – zauważa.

– Zapewniam waszą wysokość, że jest absolutnie zdrowa. Lekarz dogląda jej codziennie.

Wybranka otwiera usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale mąż kładzie jej dłoń na ramieniu i obraca ją twarzą do gości. Gestem daje znać opiekunce, by podała Larimara Wybrance, tak by wszyscy stali razem, Diuk, Diuszesa, Hazel, Larimar, Wybranka i Hierarcha. To żałosna parodia rodzinnej fotografii.

– Panie i panowie – ogłasza mocnym głosem. – Prezentuję wam przyszość Samotnego Miasta.

Tłum zaczyna wiwatować. Spostrzegam, że Hrabina Kamienia klaszcze bez zbytniego entuzjazmu. Uśmiech Wybranki wygląda na wymuszony. Harmider sprawia, że mały Larimar zaczyna płakać, wyciągając rączki do swojej niańki. Nagle wyławiam wzrokiem stojącą wśród gości Hrabinę Róży, była panią Sienny. Przygląda się całej scenie z wyraźnym samozadowoleniem.

– Uczcijmy to wydarzenie toastem – proponuje Garnet. Ludzie parskają śmiechem, a kwartet smyczkowy zaczyna grać. W jednej chwili Hazel otacza cała gromada kobiet, które umierają wprost z chęci dokładnego obejrzenia jej. Oczywiście żadna z nich nie chce przekroczyć nakreślonej przez Diuszesę granicy i ściągnąć na siebie jej gniewu.

Jestem naprawdę wściekła. Hazel wygląda na przerażoną tym, że musi stać nieruchomo, z obrożą na szyi, trzymana przez Diuszesę na smyczy, a banda wystawnie odzianych arystokratek przygląda się jej i rozmawia o niej w trzeciej osobie, zupełnie jakby była meblem, a nie żywym człowiekiem.

Do miejsca, gdzie stoimy, przepycha się Lucien.

– Emile – mówi. – Frederick nadal chory?

– Nadal.

– Przekaż mu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

– Oczywiście.

Lucien zupełnie mnie ignoruje.

– Wybranka musi być szczęśliwa, że wreszcie może zobaczyć surogatkę – zauważa Emile.

– Tak – zgadza się Lucien. – Sądzę, że nie spuści jej z oka do końca wieczoru.

Rzeczywiście, wydaje się, jakby Wybranka po prostu przykleiła się do Hazel. To, jak blisko się trzyma, nie umknęło również uwagi Diuszesy. Gdy napotykam spojrzenie trzymającej się za plecami swojej pani Cory, ta kiwa mi lekko głową.

Dobrze wiedzieć, że nie tylko ja pilnuję Hazel tej nocy.

Gdy słońce zaczyna zniżać się nad horyzont, malując niebo w pasy

o barwie rózu i pomarańczy, przyjęcie przenosi się do ogrodu. Dwórki trzymają się na obrzeżach tłumu i nagle odkrywam, że bawię się o wiele lepiej niż na balach, w których brałam udział jako surogatka. Pewnie dlatego, że nikt nie zwraca na mnie uwagi i nie mówi o mnie, jakbym nie istniała. Patrzę, jak Rye karmi Carnelian truskawkami w czekoladzie. Tak strasznie tęsknię za Ashem. I za Ochre'em. Mam nadzieję, że gdziekolwiek są, są bezpieczni. Pocieszam się myślą, że gdyby Ash został pojmany, na pewno bym o tym słyszała. Diusza wpadłaby zapewne w ekstazę.

Sporo czasu spędzam z Emile'em, który okazuje się naprawdę uroczym towarzyszem. Jest uprzejmy, bystry i nieco złośliwy. Przykro mi, że musi mieszkać w koszmarnym pałacu Hrabiny. Nie mogę się doczekać, aż powiem Raven, że go spotkałam.

Diuk jest coraz bardziej pijany. Wznosi kolejne skomplikowane toasty, których nikt nie słucha. Diusza stara się trzymać od niego jak najdalej, ciągnąc za sobą Hazel. Wymieniamy z siostrą kilka spojrzeń, ale nie ma najmniejszych szans, żebyśmy mogły ze sobą porozmawiać. Wybranka wciąż poklepuje ją po głowie, jakby Hazel była uroczym pieskiem.

– Panie i panowie – ryczy Diuk, po raz trzeci wznosząc szklanę. – Chciałbym...

Nagle ponad muzykę wznosi się obcy głos:

– Dom Jeziora przynosi hańbę temu miastu!

Pośrodku tłumu staje Gwardzista. Jest niższy niż większość mężczyzn przeznaczonych do tej roli, chudy, o wymizerowanej twarzy. W sali zapada kompletna cisza.

– Nie są godni, by zasiadać na tronie. Ani oni, ani nikt z ich krwi – krzyczy mężczyzna, a potem wyciąga pistolet i celuje prosto w Hazel.

Huk wystrzału niesie się w wieczorne niebo.

Rozdział 14

Hazel.

Tylko o niej myślę.

Muszę się dostać do Hazel.

Wśród gości wybucha chaos. Słyszę kolejne wystrzały i mam wrażenie, jakby dobiegały zewsząd. Ktoś obala mnie na ziemię. Spostrzegam, że to Lucien.

– Nie podnoś się – warczy mi do ucha, a potem pędzi w tłum. Gdy tylko znika, podrywam się na nogi. Obok mnie przebiega Rye, tuląc do siebie Carnelian w obronnym geście.

Hazel. Muszę znaleźć Hazel. Tamten Gwardzista celował dokładnie w nią!

Gdy przepycham się przez tłum, potykam się o coś i upadam na ziemię, ocierając sobie dłonie.

Martwe oczy Diuka patrzą prosto na mnie, a czerwona plama na jego piersi powiększa się z każdą sekundą. Cofam się gwałtownie i spostrzegam Pierwszego i innego z Gwardzistów stojących nad ciałem wymizerowanego strzelca i jeszcze jednego martwego Gwardzisty, zapewne zdrajcy, wnosząc po tym, jak Pierwszy na niego patrzy.

– Przeszukaj ich – wyrzuca z siebie. – A potem zabierz ich w cholerę.

Ogród szybko się wyludnia. Nigdzie nie widzę Hierarchy i Wybranki, zapewne to ich pierwszych Gwardziści wyprowadzili, gdy zaczęła się strzelanina. Po chwili dostrzegam w trawie srebrny łańcuch ułamany w miejscu, gdzie łączył się z bransoletą. Pełznę w jego kierunku. Spod bezwładnego ciała odzianego w biel wystają drobne stopy mojej siostry.

Cora leży bez ruchu i przygniata Hazel do ziemi. Chwytam jej ramię i pociągam ją na bok. Dwórka wydaje z siebie cichy jęk.

Krew przesiąkła przez materiał jej sukni, całe ramię jest czerwone. Hazel kaszle i siada.

– Ona... Ona mnie przewróciła – szepce, patrząc na nieprzytomną Corę.

– Chronście moją surogatkę, kretyni! – wrzeszczy Diuszesa, wyłaniając się zza stołu. Nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się Trzeci, podnosi Hazel i pędzi z nią do pałacu.

Z trudem powstrzymuję się od wołania za nią.

– Cora! – wykrzykuje Diuszesa, widząc nieruchomą dwórkę, którą wciąż podtrzymuję. Podbiega do nas i nie zważając na piękną suknię, opada na kolana. Fałdy materiału skrzą się w blasku lamp. – Daj mi ją – warczy na mnie i przyciąga Corę do piersi. – Och, nie, nie, co oni ci zrobili – szepce.

Takiej Diuszesy nigdy wcześniej nie widziałam. Kołysze się, zakrwawionymi rękoma tuląc dwórkę do piersi, a po jej policzkach płyną łzy.

– Pomocy! – krzyczy i po chwili przybiega więcej Gwardzistów. Wstaję i wycofuję się, kiedy mężczyźni unoszą Corę i niosą ją do, jak podejrzewam, pokoju medycznego. Nagle wpadam na Garneta, który wpatruje się w ciało swojego ojca.

– Co się dzieje? – pytam, bo wciąż nie umiem ogarnąć sytuacji.

– Ja... On... – Garnet wygląda na oszołomionego, jakby nie pojmował do końca, co się wydarzyło. – Pomożesz mi go przenieść do środka?

Sala balowa jest pusta. Potłuczone szkło i powywracane tace z jedzeniem zaścielają podłogę. Układamy Diuka nieopodal drzwi. Znajduję w miarę czysty obrus, żeby okryć jego ciało.

– Dziękuję – mówi Garnet wyzutym z emocji głosem. – Myślę, że jeden z lokajów również nie żyje.

Znajdujemy go, półleżącego na krzewie. To młody mężczyzna o miedzianej cerze i charakterystycznym, dużym nosie. Jestem prawie pewna, że na imię miał George. Wspólnie z Garnetem wnosimy go do środka i układamy obok Diuka. Służące i lokaje zaczynają ostrożnie wracać do sali.

– Zaczynajcie sprzątać – mówi do nich Garnet. Nigdy wcześniej nie widziałam, by wydawał rozkazy. Wydaje się, jakby tej nocy postarzał się o dziesięć lat.

– Garnet – zaczynam, ale nim zdążę powiedzieć coś więcej, słyszę gdzieś obok rumor, a potem okrzyki.

– Na litość Hierarchy, Piąty, to ja, przepuść mnie!

Kilka sekund później w drzwiach sali balowej pojawia się doktor Blythe. Widząc, co się dzieje wewnątrz, przystaje i wydaje z siebie zduszony okrzyk. Prawie się nie zmienił, może tylko nieco bardziej posiwiał na skroniach. Kiedy unosi róg obrusa nakrywającego ciało Diuka, w jego zielonych oczach pojawia się smutek.

– Gdzie jest twoja matka? – pyta, spoglądając na Garneta. Garnet bez słowa wskazuje ogród.

Doktor wypada z sali. Słyszę jęk, a zaraz potem wściekły wrzask:

– Cora! Zajmij się Corą, idioto!

Blythe przemyka przez salę balową jak błyskawica. Dopiero wtedy dociera do mnie, że kogoś nam brakuje.

– Garnet – rzucam cicho. – Gdzie jest Coral?

Garnet mruga i rozgląda się.

– Nie wiem. – Przez kilka chwil po prostu tępo gapi się na drzwi. – Ja... Zaraz wrócę – mamrocze i wychodzi do ogrodu jak człowiek pogrążony w transie.

Opuszczam salę i zaczynam szukać Coral. Po kilku minutach odnajduję ją na jednej z mniejszych klatek schodowych. Płacze. Siadam obok niej i obejmuję ją, a ona opiera mi głowę na piersi.

– Och, Imogen – szlocha.

– Ciiii – szepczę bezmyślnie, tuląc ją mocno, choć chyba robię to bardziej dla siebie niż dla niej. Hazel niemal dziś zginęła. Byłam tuż obok i w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Przybyłam tu, by zapewnić jej bezpieczeństwo, i zawiodłam. Gdyby nie Cora... Zaciskam mocno oczy. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Wreszcie udaje mi się zaprowadzić Coral na górę i zapakować ją do łóżka. Potem, oszołomiona, schodzę na dół i przemierzam korytarze pałacu, nie dbając o to, czy ktoś mnie widzi. Mijam salę balową, w której Mary i inne służące wycierają podłogi, a lokaje sprzątają rozbite butelki i zniszczone stoły. Powinnam do nich dołączyć. Powinnam im pomóc. Ale nie jestem w stanie się zatrzymać.

Kiedy przechodzę obok palarni Diuka, do moich uszu dociera jakiś dźwięk, jakby szloch. Drzwi są uchylone, zaglądam więc do pokoju i widzę siedzącego w fotelu Garneta ukrywającego twarz w dłoniach.

Nie wiem, co robić. Gdy mam już zamiar odwrócić się i zniknąć, Garnet unosi głowę.

– Och – wydusza z siebie, pospiesznie ocierając łzy.

– Nic ci nie jest? – pytam, wślizgując się do środka i zamykając za sobą drzwi. Ależ to było głupie. Trudno, żeby nic mu nie było. – Czy... wiesz, co się właściwie stało? To znaczy, czy to było planowane? To była akcja Sprzysiężenia?

– Nie – odpowiada ponuro. – Absolutnie nie.

– Więc...

– Nie wiem, Violet. – Ton jego głosu jest ostry i Garnet zdaje się to zauważać, bo wzdycha i wbija się głębiej w fotel. – Nienawidzę tego miejsca – mówi. – Zawsze go nienawidziłem. Cuchnie. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego mój ojciec tak uwielbiał papierosy. – Jego głos załamuje się lekko na słowie „ojciec”.

Przysiadam na krawędzi skórzanej sofy.

– Przykro mi – szepczę.

Garnet rumieni się i odwraca wzrok.

– Nawet go nie lubiłem – wyznaje. – Zachowywał się... żenująco. I był nudny. I pił. Ale... Ale nie chciałem, żeby... – Znów ociera oczy.

– Kiedy zginął mój tata, czułam się winna – mówię cicho, wpatrując się w kryształową popielniczkę. – Myślałam, że powinnam była coś zrobić, że... – odkasłuję. Rozmawianie o tym z Hazel to jedno, niełatwo mi się dzielić wspomnieniami z kimś poza nią. Wiem jednak, że Garnet tego potrzebuje. – Potem byłam na niego zła. I poczułam się jeszcze bardziej winna.

– Nie czuję się winny – oznajmia sucho Garnet.

– Naprawdę?

Garnet mocno zaciska zęby, a żyła na jego szyi pulsuje. Nagle cały kuli się w sobie, a z jego gardła wrywa się głośny szloch. Przyklękam przy nim i biorę go za rękę.

– To nie twoja wina – szepczę.

Garnet opiera mi głowę na ramieniu. Przez kilka chwil pozwalam, by jego łzy rosły moją suknię, ale po pewnym czasie słyszę na zewnątrz jakieś głosy. To Gwardziści. Stukot ich butów niesie się echem w korytarzach. Garnet siada prosto i ociera nos rękawem.

– Musisz iść – mówi. – Nikt nie powinien widzieć nas razem.

Wstaję i składam na jego czole krótki pocałunek. Garnet uśmiecha się smutno.

Wychodzę z palarni. Jestem potwornie zmęczona. Chcę się położyć.

Dochodzę niemal do szklanego korytarza, gdy wpadam na doktora Blythe'a. Nagły wyrzut adrenaliny sprawia, że zapominam o wyczerpaniu. Doktor wygląda na znużonego, twarz ma spoconą i ociera czoło chusteczką.

– Dobry wieczór – rzuca, a potem marszczy brwi. – Przepraszam, nie sądzę, żebyśmy mieli przyjemność wcześniej.

Serce podjeżdża mi do gardła. Doktor na pewno rozpozna mój głos!

– Jestem Imogen – mówię, ciesząc się, że targają mną takie emocje, że mój głos okazuje się schrypnięty i bełkotliwy. – Nowa dwórka Coral.

– Ach! – Wzdycha i chowa chusteczkę do kieszeni. – Nie zostałaś ranna, prawda? Mogę cię przebadać.

Fatalny pomysł, zważywszy na to, że ciało mam takie samo jak dawniej. Energicznie potrząsam głową.

– A surogatka? – pytam. – Nic jej nie jest?

Jedna z brwi doktora unosi się wysoko.

– Wszystko z nią w porządku. Prawdę mówiąc, myślałem, że bardziej się zmartwisz Corą.

– Tak! Ja... Co z nią? – Czuję, że różowieją mi policzki i usiłuję zblednąć samą siłą woli.

Doktor Blythe przez chwilę mi się przygląda.

– Cora czuje się dobrze. Na szczęście pocisk tylko musnął jej ramię, rana okazała się powierzchowna. Cora to bohaterka, ocaliła życie surogatce. – Z namysłem pociera czoło. – Na pewno się wcześniej nie spotkaliśmy? Jest w tobie coś... znajomego.

– Naprawdę nie sądzę – odpowiadam z opuszczoną głową. – Proszę o wybaczenie, ale jestem zmęczona. Cieszę się, że Corze nic nie jest. Dobranoc, doktorze.

Przymknij się, Violet, wrzeszczę na siebie w myślach. Nie czekając

na odpowiedź Blythe'a, ruszam szklanym korytarzem, nie przystając ani nie unosząc głowy, póki nie wpadam do swojego pokoju i nie zamykam za sobą drzwi. Padam na łóżko i to, co się wydarzyło, przygniata mnie jak głaz.

Z kącika mojego oka spływają łzy i znaczą mokry ślad na policzku. Tak wiele łez przelano tej nocy...

Czuję się jak skończona idiotka. Nie mam jak chronić Hazel. Ash miał rację. Kimże jestem, by mówić innym, co mają robić? Kim jestem, by mówić im, ile mogą ryzykować i dla kogo?

Straszliwie tęsknię za naszym strykiem. Chcę się okryć wełnianym kocem i poczuć obejmujące mnie ramiona Asha, chcę poczuć we włosach jego ciepły oddech, wyrzucić z siebie cały strach. Chcę czuć się kochana, nieważne, jakie decyzje podejmuję i jakie błędy popełniam.

Bo ja kocham Asha. Za wszystko i mimo wszystko.

Moje arkana zaczynają wibrować. Wyszarpuję kamerton z włosów i złociste pukle opadają mi na ramiona.

– Co się stało? – pytam, nim Lucien zdąży się odezwać. – Co to w ogóle było?

– Nie wiem. – Nigdy wcześniej nie słyszałam, by brzmiał tak jak teraz. Jakby był zagubiony. Niemal przerażony. – Nie chce mi się wierzyć, żeby Wybranka zaplanowała coś takiego samodzielnie, ale jeśli to zrobiła... To zły znak. Bardzo zły.

– Bo?

– Bo to by oznaczało, że już mi nie ufa, a na to nie możemy sobie pozwolić.

– Więc co właściwie myślisz? Że zaplanowała to, czy nie? – irytuję się.

– Przez cały wieczór nie odstępowała Hazel na krok. Dopiero na chwilę przed strzelaniną uparła się, że chce wracać do sali, bo jest jej zimno. A noc była przecież cudownie ciepła. Potem zarówno ona, jak i Hierarcha zostali natychmiast odeskortowani. Wybranka upierała się, żebym poszedł z nimi, choć wiedziała przecież, że mógłbym pomóc rannym. W końcu kiedyś ocaliłem ci życie, prawda? Może nie chciała, żebym zrobił to po raz kolejny.

– Musimy trzymać ją z daleka od Hazel – mówię.

– Nie jestem w stanie tego zrobić – odpowiada łagodnie.

– To jaki w tym wszystkim sens? – wściekam się. – Po co właściwie tu jestem? Po jakie лихо tu przyjechałam? Nie mogę pomóc Hazel. Nie mogę...

Zapada cisza. Czuję, że Lucien zbiera myśli.

– Pamiętasz – zaczyna – jak zapytałaś mnie o Raven? Wtedy, kiedy jeszcze byłaś surogatką. Chciałaś wiedzieć, gdzie mieszka.

Mam wrażenie, że to było milion lat temu.

– Tak.

– Myślałem, że to głupota. Strata czasu. Odkrywszy, że mieszka tuż obok ciebie, poczułem się lekko rozczarowany. Uznałem, że jej obecność będzie cię rozpraszać. Że Raven stanie się twoim słabym punktem. – Lucien wzdycha. – I co? Wcale tak nie było. Raven daje ci siłę, Violet. Tak samo jak Ash i Hazel. Bo ich kochasz. Oni sprawiają, że jesteś odważna i nieustraszona. Chciałbym jakoś sprawić, żebyś i ty to dojrzała.

– Ale ja nie jestem odważna – dukam. – Nie tak jak ty.

Lucien śmieje się cicho.

– Nie – szepce. – Jesteś nieskończenie odważniejsza.

Chciałabym mu uwierzyć. Muszę spróbować. Bo ta noc uświadomiła mi, że Lucien nie jest w stanie rozwiązać wszystkich moich problemów.

Pozwalam, by jego słowa zastygły w grubą skorupę wokół mojego serca. Muszę być silna. Dla moich przyjaciół, dla mojej siostry, dla całego miasta. Tylko w jeden sposób mogę ocalić Hazel. Muszę zniszczyć arystokrację i instytucję surogatek. Raz na zawsze.

Nie jestem jakąś przeciętną surogatką, którą można kupić i prowadzić na smyczy ku uciesze gości. Już niedługo władcy tego miasta się o tym dowiedzą.

I będą się mnie bać.

Rozdział 15

Pogrzeb Diuka odbywa się dwa dni po strzelaninie.

Po południu, w trakcie uroczystości, siedzę w kuchni i bez apetytu skubię bułkę z malinami. Pogrzeb jest przeznaczony wyłącznie dla członków rodziny, tak więc mam sporo czasu dla siebie.

Podnoszę gazetę, którą ktoś zostawił na stole. „Kolejna tragedia” głosi wielki nagłówek. „Dom prześladowany pechem”. Zaraz poniżej widnieje bardzo znaczące pytanie: „Czy celem była surogatka?”. Z artykułu nie wynika jednoznacznie, że gazeta winą za wydarzenia na balu obarcza Wybrankę, ale jego ton jest dość jednoznaczny. W Klejnocie aż kipi od plotek i dziennikarz ma tego świadomość. W tekście znajduje się sugestia, że za strzelaninę odpowiada „ktoś bardzo wpływowy, kto ma dobre powody, by życzyć surogatce śmierci”. Artykuł dość dobrze oddaje nastroje arystokracji.

Pragnę zobaczyć Hazel, ale doktor wprowadził się do pałacu tak samo jak po moim poronieniu, a to oznacza, że nie mogę ryzykować pójścia do pokoju medycznego. Nie wiem, kiedy znów uda mi się zobaczyć siostrę.

Odwracam stronę i kolejny nagłówek rzuca się na mnie jak wściekły pies. Poniżej jest fotografia, którą dobrze znam. Mam wrażenie, jakby podłoga osunęła mi się spod stóp.

„Czy świadek widział Asha Lockwooda?”.

Z gazety spogląda na mnie twarz Asha, ta sama, która widniała w styczniu na listach gończych. Na tym portrecie Ash uśmiecha się lekko, a włosy ma zaczesane do tyłu, a nie splecione jak w rzeczywistości. Pospiesznie czytam artykuł.

„Ash Lockwood, niegdyś jeden z najbardziej cenionych Towarzyszy, obecnie poszukiwany listem gończym uciekinier, został spostrzeżony ostatniej nocy nieopodal Sztuby, w której był szkolony. Nieco po północy mężczyzna pasujący do opisu Lockwooda kręcił się ponoć w bezpośrednim sąsiedztwie Sztuby Towarzyszy Madame Curio. Świadek, pan J. R. Rush, utrzymuje, że widział Lockwooda w czasie spaceru z psem. Bez wątplenia Gwardia dokładnie przyjrzy się tej

sprawie. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że Lockwood jest jednym z przywódców niesławnego Sprzysiężenia Czarnego Klucza, grupy rebeliantów odpowiedzialnych za liczne akty wandalizmu. Sprzysiężenie obarcza się również winą za ataki terrorystyczne na Bank i Dym, a także za niedawne zabójstwo jednego z wysoko postawionych urzędników Magistratu. Lockwood umknął z Klejnotu po gwałcie dokonanym na surogatce Diuszesy Jeziora. Ktokolwiek ma jakieś informacje na temat miejsca, w którym przebywa obecnie Lockwood, powinien bez zwłoki skontaktować się z najbliższym posterunkiem Gwardii. Należy jednak pamiętać, że Lockwooda uznaje się za jednostkę wybitnie niebezpieczną”.

Ashowi udało się przedostać do Banku! Mam ochotę wstać i wiwatować. Może udało mu się już nawiązać kontakt z niektórymi Towarzyszami! Ale... W gazecie nie ma ani słowa na temat Ochre'a. Czyżby się rozdzielili? Może Ash zostawił mojego brata w jakimś bezpiecznym miejscu, by samemu udać się na wizytę w Sztubie. Jestem pewna, że nie chciałby ryzykować bezpieczeństwa Ochre'a, z drugiej strony jednak zdaję sobie sprawę, że Ochre na kwestie bezpieczeństwa może patrzeć nieco inaczej. Mam ambiwalentne uczucia – dumam walczy we mnie ze zmartwieniem.

– Imogen, podaj mi, proszę, rozmaryn – mówi Zara, wytrącając mnie z zamyślenia. Nastrój w pałacu jest dość ponury. Nawet normalnie głośna kuchnia dziś jest cicha i niemal pusta. Podkuchenna imieniem Clara szoruje w zlewie jeden z garnków, a William zwija sobie na stole papierosa.

– Okropne – mamrocze Zara, kiedy podaję jej zioła. Posypuje nimi kawał mięsa i nadziewa je na rożen. – Był dobrym człowiekiem.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze znałaś Diuka – mówię.

– Nie chodzi mi o Diuka – irytuje się. – Chodzi mi o George'a, lokaja. Ale nikogo nie obchodzi to, że zginął, prawda? O tak, ronią łzy nad zalewającym się w trupa durniem.

– On nie był taki zły, Zaro – odzywa się William. – A już na pewno był lepszy od niej.

– Rany, Williamie, przymknij się. Lubieś Diuka, bo miał do ciebie słabość. – Zara wyciera nos rękawem.

– Wiadomo w ogóle, kim byli ci ludzie? – pytam. – Dla kogo pracowali?

William robi znudzoną minę.

– Dla Wybranki, czy to nie oczywiste? Nienawidzi Diuszesy od czasu swojego ślubu z Hierarchą. Jeśli jej syn poślubi córkę Diuszesy, to Wybranka nigdy się od niej nie uwolni. To nie byłby pierwszy raz, kiedy pewne sprawy załatwia się w taki sposób. Słyszałem, że siostra władcy również nie zginęła... przypadkiem.

– To był wypadek – przypominam sobie. – Spadła z konia? Jak można zorganizować coś takiego?

– Naprawdę tak sądzisz?

– Ploty i teorie spiskowe – kwituje Zara, posyłając Williamowi niechętnie spojrzenie. – I nie waż się smrodzić w mojej kuchni!

William kieruje się do drzwi do ogrodu, gdy nagle do kuchni z krzykiem wpada drobna postać.

– Pomocy, pomocy!

Hazel ma podrapane ramiona i nadgarstki, a jej twarz jest mokra od łez. Moja siostra ma na sobie podartą koszulę nocną, spod której wciąż wyziera sztuczny brzuch. Bez obcasów i wypchanej na gorsie sukni sprawia wrażenie o wiele młodszej niż na przyjęciu.

Zara ze świstem wciąga powietrze, a mnie opada szczęka. Chcę podbiec do Hazel, chcę ją zawołać, ale zdumienie mnie paraliżuje. Jak ona się tu dostała? Jakim cudem się uwolniła?

– Zatrzymajcie ją – krzyczy kolejny głos i nagle do kuchni wbiega Cora z ramieniem na temblaku. Za plecami ma dwóch Gwardzistów. Hazel rusza w moim kierunku. Instynktownie wyciągam do niej ramiona, ale William jest szybszy i chwyta moją siostrę w pasie.

– Puszczaj mnie – wrzeszczy Hazel, nie spuszczając mnie z oka. – Ona chce mnie zabić! Ona chce mnie zabić!

– Piąty, Trzeci, zabierzcie ją do pokoju medycznego. Natychmiast! – rozkazuje Cora. Hazel wciąż szarpie się w uścisku Williama.

A ja stoję z boku z szeroko otwartymi oczyma, bezsilna. Co mogłabym zrobić? Kto próbuje zabić Hazel. Wybranka? To o nią chodzi?

Dwóch Gwardzistów przejmuje Hazel od Williama. Piąty klnie

głośno, gdy siostra gryzie go w rękę.

– Uspokój się – apeluje Cora. – Nikt nie chce cię skrzywdzić.

Hazel pluje jej w twarz, a potem, gdy Gwardziści wloką ją za sobą, obraca głowę, by jeszcze raz na mnie popatrzeć.

– Ona chce mnie zabić – powtarza, spoglądając znów na Corę. Słyszę jeszcze jeden krzyk odbijający się echem w labiryncie korytarzy, a potem zapada cisza. Hazel znika.

Wszyscy czworo pozostali w kuchni stoimy jak wmurowani.

Zara odchrząkuje.

– Sugeruję, żebyśmy zapomnieli o tym, co właśnie widzieliśmy – mówi cicho.

Clara wraca do szorowania garnka, jakby to była najbardziej interesująca rzecz pod słońcem, a William wymyka się do ogrodu zapalić. Tylko ja wciąż tkwię w bezruchu, zupełnie oszołomiona. Hazel tu była. Tutaj. Obok mnie. A ja niczego nie zrobiłam! W życiu nie czułam się tak bezużyteczna.

Ona chce mnie zabić. Hazel spojrzała wtedy na Corę.

Czyżby Cora chciała... Nie, to bez sensu. Przecież na balu uratowała jej życie.

– Imogen?

Wzdrygam się. W drzwiach stoi jeden z lokajów. Jest wyraźnie podenerwowany.

– Tak?

Wyciąga do mnie list.

– Właśnie przyszedł do Coral. Z królewskiego pałacu.

Zmartwiałyymi palcami biorę od niego kremową kopertę z wypisanym na nim ozdobnym pismem imieniem Coral. Atrament jest złoty.

Jak we śnie spieszę do jej komnat. Nie rejestruję korytarzy, które mijam, nie widzę niczego wokół. Myślę tylko o zalanej łzami twarzy mojej siostry, a jej słowa wciąż odbijają się echem w mojej głowie.

Kiedy kilka godzin później Coral wraca z pogrzebu, daję jej kopertę, a ona natychmiast ją otwiera.

– „Najdroższa Coral – czyta głośno. – Z największą przyjemnością ugościmy ciebie i twego męża za trzy dni, w porze lunchowej, o drugiej

po południu. Przyjmij moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci teścia. W tych trudnych czasach musimy być silni. Proszę, odeślij odpowiedź jak najszybciej. Z najlepszymi życzeniami, Wybranka”. – Coral przyciska list do piersi. – Jak cudownie! Natychmiast musimy odpowiedzieć, oczywiście. Nigdy wcześniej nie dostałam zaproszenia do królewskiego pałacu!

Pospiesznie pisze liścik i wręcza mi go, bym go wysłała przez umyślnego. Ta sytuacja ma jedną dobrą stronę – wycieczka do królewskiego pałacu oznacza, że zobaczę się z Lucienem. Potrzebuję jego rady bardziej niż kiedykolwiek.

Rozdział 16

Przez kilka kolejnych dni Cora zdaje się mnie unikać.

Nie odstępuję Diuszesy, która od czasu ucieczki Hazel wygląda na zmęczoną, a nawet wymizerowaną. Kiedy zaglądam do pokoju Cory wieczorem, nigdy jej tam nie ma. Wreszcie udaje mi się dopaść ją rankiem, w dniu lunchu Coral i Garneta w królewskim pałacu. Po prostu ustawiam się przed jej drzwiami i cierpliwie czekam.

– Co się dzieje? – pytam, gdy Cora wychodzi z komnaty i niemal podskakuje na mój widok.

– Nic się nie dzieje – odpowiada, rozglądając się po pustym korytarzu. – Udało się jej uciec, kiedy doktor był zajęty. Jest bezpieczna w pokoju medycznym.

– Bezpieczna – syczę. – Jasne. Mówiła, że chciałaś ją zabić!

– A po co miałabym to robić? – Zirytowana Cora podchodzi tak blisko, że niemal przypiera mnie ściany. – Po strzelaninie doktor dał jej coś na uspokojenie. Coś, co wtedy jeszcze nie przestało działać. Była zdezorientowana. Zagubiona. Nikt w tym pałacu nie chce jej skrzywdzić!

– Ale...

– Posłuchaj, dałam słowo i mam zamiar go dotrzymać – oznajmia Cora przez zaciśnięte zęby. – I lepiej, żebyś ty również wywiązała się z naszej umowy.

Cora odwraca się na pięcie i odchodzi szybkim krokiem. Opieram głowę o ścianę i zamykam oczy. Chcę jej uwierzyć. Chcę uwierzyć w to, że Hazel jest bezpieczna.

Ale nie jest. Nikt z nas nie jest bezpieczny.

Ruszam do komnat Coral, żeby przygotować ją na królewski lunch. Może Lucien pomoże mi coś z tego wszystkiego zrozumieć.

Królewski pałac wygląda tak wspaniale, jak go zapamiętałam.

Nasz automobil przejeżdża przez gęsty las, a potem koło monumentalnego ogrodu strzeżonego przez wycięte w wysokim żywopłocie ptaki i bestie. Zatrzymujemy się na sporych rozmiarów placu, na którego środku pyszni się fontanna ozdobiona posągami

czterech dmących w trąbki chłopców. Z ich instrumentów łagodnymi łukami tryska woda.

Sam pałac wykończony jest rdzawym metalem i w promieniach słońca sprawia wrażenie, jakby wybudowano go ze szczerego złota. Rozliczne wieżyczki i iglice strzelają w niebo, a lśniąca fasada sprawia, że mrużę oczy od blasku.

– Nie mogę uwierzyć, że Diusza odradzała nam tę wizytę – mówi Coral, gdy szofer otwiera przed nią drzwi auta. – Przecież nie można tak po prostu odrzucić zaproszenia od królewskiej pary!

Zaiste, Diusza nie była zachwycona, gdy usłyszała o tym lunchu.

– Wiesz, co mówią ludzie – oznajmia Garnet, łypiąc na mnie okiem. – Matka po prostu troszczy się o nasze bezpieczeństwo.

– Ale przecież będziemy bezpieczni! – Pierś Coral unosi się z dumy. – Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, że mój mąż jest starszym sierżantem Gwardii?

Rysy twarzy Garneta miękną, a ja czuję w sercu ciepło. Coral może być arystokratką, ale to nie zmienia faktu, że jest również miłą i słodką dziewczyną.

Po szerokich stopniach schodów idziemy do drzwi otwartych przed nami przez lokajów w błękitno-czerwonych liberiach. Mosiężne guziki ich kurtek połyskują w słońcu.

W gigantycznym, okrągłym holu czeka na nas Lucien.

– Garnecie, Coral, witajcie – mówi ciepło. – Ich królewskie wysokości nie mogą się już was doczekać. Lunch zostanie zaserwowany w Ogrodzie Lotosu. Proszę, chodźcie za mną.

Prowadzi Garneta i Coral, a ja idę grzecznie na końcu. Już dwa razy byłam w królewskim pałacu, raz na Balu Hierarchy, raz z okazji Najdłuższej Nocy, ale tak naprawdę widziałam tylko maleńki kawałek tego budynku. Lucien wiezie nas szerokimi korytarzami, na ścianach których wiszą duże olejne obrazy. Ściany innych zdobione są pełnymi detali malowidłami. Posadzka jednej z sal zdaje się być wyłożona diamentami, w innej są światła, które zmieniają swoją barwę, gdy przechodzimy, od fiołkowej, przez lawendową aż po bladą zieleń.

Zatrzymujemy się przed przeszklonymi drzwiami. Lucien otwiera je i kłania się Coral oraz Garnetowi, gestem zapraszając ich, by szli

dalej. Zatrzymuję się w progu i oddech zamiera mi w piersi.

Ogród Lotosu nie ma murów, tylko otaczającą go kręgiem ścianę zieleni. Nie ma tu również kwiatów ani schludnie przystrzyżonego trawnika, jest jedynie woda. Krystalicznie czysta woda, na której unoszą się kwiaty lotosu i lilie trącane przez przepływające ryby i skaczące z jednego liścia na drugi żaby. Wąskie przejście prowadzi do usytuowanej na środku zbiornika kamiennej wyspy z białym, nakrytym do posiłku stołem i krzesłami ocienionymi wielkim parasolem. Honorowe miejsce zajmuje srebrne wiaderko z chłodzącą się w lodzie butelką białego wina.

Królewska para zasiadła już do stołu. Wybranka macha do gości.

– Garnet, Coral, to cudownie, że jesteście – woła głośno. – Fantastycznie! Szef kuchni przygotowuje nadziewanego homara, mam nadzieję, że lubicie. Lucienie, zostaw nas samych. Zaprowadź dwórkę Coral do zielonego pokoju, niech zaczeka tam, aż skończymy.

– Tak, pani – odpowiada Lucien z głębokim ukłonem i porzucamy Coral i Garneta w ogrodzie.

Gdy tylko znikamy z pola widzenia biesiadników, Lucien obraca się i bierze mnie w objęcia.

– Tyle... – zaczynam, bo chcę powiedzieć mu o ucieczce Hazel, ale natychmiast mi przerywa.

– Chcę ci coś pokazać. Nie mamy wiele czasu. Chodź.

Prowadzi mnie korytarzem, skręca w lewo i zatrzymuje się przed zwierciadłem w bogato zdobionej, złoconej ramie. Kiedy pociąga lekko jego prawą krawędź, lustro odchyła się z cichym kliknięciem. Za nim znajduje się niewielkie przejście ze schodami prowadzącymi na górę i na dół. Przeciskamy się przez otwór i wspinamy po schodach, aż wychodzimy na kolejny korytarz. Potem idziemy w lewo, w prawo, na górę, w lewo, znowu na górę... Szybko tracę orientację, wiem tylko, że musimy znajdować się na górnych poziomach pałacu. Wszędzie pełno tu służących i absolutnie wszyscy kłaniają się i dygają przed Lucieniem.

Wreszcie dochodzimy do prostych drewnianych drzwi. Są zamknięte, ale Lucien sięga do pasa po pęk kluczy. Wspinamy się po spiralnych schodach aż do kolejnych drzwi, identycznych jak poprzednie. Te nie mają jednak zamka.

Lucien otwiera je i ze zdumieniem spostrzegam, że stoję w wejściu do sypialni. Pomieszczenie jest skromne, niemal ascetyczne, przypomina mi mój pokój w Magazynie. Idealnie zaścielone łóżko, niewielki fotel pod oknem. Na ścianie wisi akwarela przedstawiająca łąkę pełną niebieskich kwiatów. Drzwi od szafy są lekko uchylone.

– Czy to...

– Mój pokój – wyjaśnia, nie patrząc na mnie. Czuję się zakłopotana. To takie osobiste, intymne. Dlaczego mnie tu przyprowadził?

Lucien przechodzi przez pomieszczenie wprost do szafy, odsuwa na bok wiszące na wieszakach białe sukienki dwórki i pokazuje mi ukryte drzwi. Wykonane z metalu, są niemal zupełnie gładkie, jeśli nie liczyć niewielkiego wgłębienia pośrodku. Klamki również nie widać. Lucien zdejmuje swoje arkana z kółka z kluczami i przytyka je do wgłębienia. Kamerton zaczyna wibrować i po chwili drzwi się otwierają. Lucien wyciąga rękę i znieruchomiałe arkana spadają na jego dłoń. Zawiesiwszy kamerton bezpiecznie u paska, otwiera szeroko przejście.

– Twoje arkana też zadziałają – mówi. – Tak samo jak arkana Garneta i Sil.

Zostawiam za sobą sypialnię i wchodzę do sekretnej komnaty. Drzwi zamykają się z trzaskiem i póki jedno za drugim nie zaczynają zapalać się światła, stoimy w absolutnej ciemności.

– Co to za miejsce? – pytam.

– Mój warsztat.

Całą ścianę za mną i tę naprzeciwko mnie zajmują regały z książkami. Te z książek, których nie udało się upchnąć na półkach, piętrzą się w stosach na podłodze, na stole, pod krzesłami. Ścianę po mojej lewej pokrywają szczelnie mapy, ilustracje i kawałki papieru z pospiesznie nabazgranymi notatkami. Nieopodal stoi wielki stół kreślarski z trzema unoszącymi się nad nim niczym miniaturowe słońca świetlnymi kulami. W kącie pokoju znajduje się sztaluga, a obok, na mniejszym stoliku, leżą tubki z farbami. Część ich zawartości wylała się na blat, który mieni się odcieniami magenty, lawendy i cytrynowej żółci. Na środku ściany, otoczony papierami, wisi wielki, świecący lekko ekran, większy od tego, którego używał w pokoju medycznym doktor

Blythe.

Cały środek komnaty zajmuje gigantyczny stół wypełniony jakąś dziwną aparaturą. Są tu szklane zlewki różnych rozmiarów i o rozmaitych kształtach. Pod niektórymi z nich płonie ogień, inne wypełnione są płynami, z jeszcze innych unoszą się smugi siwego i złotego dymu. Dwie czy trzy wydają z siebie cichutki dźwięk, przypominający odgłos pracujących gdzieś daleko arkan. Jest tu również moździerz wypełniony pachnącymi miętą ziołami i kolejny, pełen małych czarnych ziarenek wyglądających jak pieprz. Niektóre zlewki są połączone skręconymi jak sprężyny miedzianymi rurkami.

Całą ścianę po prawej zajmują zegary. Małe i duże, ozdobne i zupełnie proste, jedne wykonane z przemyślnie giętych metali, kolejne wprawione w gładkie, drewniane ramy.

Pod stertą papierów leżących na biurku dostrzegam znajomo wyglądający przedmiot. Podchodzę bliżej i sięgam po niego drżącymi dłońmi.

– Tak – mówi cicho Lucien. Podskakuję. – Zrobiłem tabliczkę dla Annabelle. To był prototyp.

Zaciskam dłoń na przedmiocie, a potem odkładam go na blat.

– Dlaczego mi to pokazujesz? – pytam.

– Pomyślałem, że to najwyższy czas. Aukcja zbliża się z każdym dniem. Nikt nigdy nie widział tego pokoju. A poza tym, po prostu nadarzyła się okazja. – Lucien zdejmuje z fotela stertę książek i gestem prosi mnie, bym usiadła. Potem przyciąga sobie stojący przed sztalugą stołek. Spozstrzegam, że Lucien zaczął coś malować. To chyba portret dziewczyny z długimi włosami. Najpewniej Azalei.

– To niesamowite – mówię.

Na policzkach Luciena wykwitają dwie czerwone plamy.

– Dziękuję.

– Wątpię, żebym była w stanie pojąć, co tutaj robisz – przyznaję, spoglądając na zlewkę pełną szmaragdowej cieczy.

– Na pewno niektórych rzeczy byś się domyśliła – odpowiada mi Lucien. Jego oczy błyszczą, gdy rozgląda się po komnacie. – To miejsce ma dla mnie ogromne znaczenie.

– Wybranka o nim nie wie?

Lucien śmieje się cicho.

– Och, nie. Ani ona, ani Hierarcha nie mają bladego pojęcia. W pałacu jest wiele rzeczy, które im umknęły, wiele tajemnic. Tak się dzieje, kiedy patrzysz tylko na to, co masz pod nosem i nie próbujesz niczego zgłębiać.

Podnosi z podłogi miedzianą rurkę i ściska ją w palcach.

– A skąd te zegary? – dopytuje.

– Wspominałem ci o moim dzieciństwie – przypomina. Spinam się. Pamiętam tę koszmarną opowieść Luciena o tym, jak został wykastrowany wbrew własnej woli przez ojca, a jego matka i siostra na to patrzyły. – Mieliśmy w domu jeden zegar. Uwielbiałem rozkładać go na kawałki i składać z powrotem. Chyba mi to zostało. – Spogląda na tykającą ścianę za swoimi plecami. – Część z nich to moi starzy przyjaciele.

Dociera do mnie, jak mało wiem o Lucienie.

– Od jak dawna je zbierasz?

Lucien zaczyna powoli rozprostowywać zwiniętą w sprężynę rurkę.

– Zacząłem, kiedy miałem dwanaście lat. To siódma wersja tej ściany. Część z zegarów zatrzymałem, ale większość jest nowa. Zegarmistrzowie w Banku mnie uwielbiają. Na szczęście ani Wybranka, ani Hierarcha nie zwracają uwagi na to, że zamawiamy tak dużo zegarów. A może po prostu ich to nie obchodzi. – Wzdycha. – Nie zrozumieliby, nawet gdybym im to wytłumaczył. To... To mnie uspokaja. Przypomina mi o tym, kim kiedyś byłem. A oni? Oni uznaliby, że to głupie.

– Ja sędzę inaczej – zapewniam.

– Wiem, słońce. – Lucien prostuje do końca rurkę, po czym zgina ją na pół i rzuca na stół. – Pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałem, jak grasz na wiolonczeli. To było na Balu Hierarchy. Twój wyraz twarzy, to, jak trzymałaś instrument, prostota tej muzyki... Pomyślałem wtedy, że tak, wiem, co czujesz.

– Wydaje mi się, że to było wieki temu – wtrącam.

– Tak, wyobrażam sobie, że możesz mieć takie wrażenie.

– A ty nie?

Lucien wzrusza ramionami.

– Od bardzo dawna mieszkam w tym Kręgu. Chyba przyzwyczałem się do tego, jak płynie tutaj czas. Jak cię postarza. I zmienia.

Przez długą chwilę siedzimy w ciszy przerywanej tylko bulgotaniem zlewek i tykaniem wiszących na ścianie zegarów.

– Hazel uciekła – mówię wreszcie. – Jakimś cudem udało się jej wydostać z pokoju medycznego i dotarła aż do kuchni. Krzyczała, że... Że ktoś próbuje ją zabić. Chyba miała na myśli Corę. Ale to nie ma sensu, prawda? Cora mówiła mi, że dotrzyma słowa i że Hazel była oszołomiona po zażyciu leków na uspokojenie.

– Uciekła z pokoju medycznego? – Lucien unosi brew. – Jestem pod wrażeniem.

– Krzyczała, że ktoś chce ją zabić – powtarzam, bo mam wrażenie, że powaga sytuacji nie bardzo do Luciena dociera.

– Violet, przecież wiemy, że ktoś chce ją zabić – odpowiada cierpliwie Lucien. – Przypominam, że właśnie z tego powodu przyjechałaś do Klejnotu.

– Więc co mam z tym zrobić? – pytam podniesionym głosem, uderzając dłonią w podłokietnik. – Ona stała tuż przede mną i błagała mnie o pomoc, a ja... Ja nie mogłam niczego zrobić.

Lucien zaciska usta.

– Obawiam się, że na razie nie możemy zrobić nic, musimy pozwolić sprawom toczyć się swoim torem. Domyślam się, że po tej strzelaninie Diusza wzmacniła ochronę Hazel. To jedyne, na co możemy w tej chwili liczyć. Czas pokaże, o co chodzi. I pokaże też, czy uda nam się zrobić to, co zaplanowaliśmy.

– Uważasz, że ta strzelanina to dzieło Wybranki? – pytam.

– Tak głosi najpopularniejsza teoria. – Posyłam mu ponure spojrzenie. – Tak – przyznaje wreszcie. – Tak uważam.

Wzdrygam się.

– To takie dziwne – mruczę. – Pałac... W pałacu nic się nie zmieniło. Zupełnie jakby Diuk nigdy nie istniał.

– Obawiam się, że nie był szczególnie kochany... – Nagle Lucien uderza się dłonią w pierś. – Zupełnie zapomniałem! Ash nawiązał

kontakt ze swoimi dawnymi kolegami. Chcą do nas dołączyć. To nie do przecenienia! Grupa świetnie wyszkolonych młodych mężczyzn, którzy mogą się spokojnie poruszać między Kręgami. Sam bym tego lepiej nie zaplanował.

– Wszystko z nim w porządku? – pytam, podrywając się na nogi. – Co jeszcze powiedział? Co z Ochre'em? Kiedy z nim rozmawiałeś?

– Zarówno jemu, jak i twojemu bratu nic nie jest. Nie rozmawiałem z żadnym z nich osobiście. Dwa dni temu skontaktowali się z innym z moich ludzi, może go pamiętasz. Spotkałaś go, kiedy przemykałaś przez Bank. Cobbler, kojarzysz?

– Tak, oczywiście. – Serce mi wali, ale zmuszam się, by usiąść. Ochre i Ash są razem. I nic im nie jest.

– Ash stara się skoordynować jak najwięcej Towarzyszy zarówno w samym Klejnocie, jak i poza nim. Chyba wymyślił jakiś rodzaj szyfru. Ma poprowadzić Towarzyszy z Banku. W dniu Aukcji dołączą do naszych ludzi pod murem.

Pamiętam, co Ash napisał w swoim pożegnalnym liście. Zobaczymy się w dniu Aukcji. Chce dotrzymać obietnicy.

– Każdy z naszych ludzi będzie nosił na lewym ramieniu białą opaskę – ciągnie Lucien. – To ułatwi nam identyfikację. – Poklepuje mnie po kolanie. – To pomysł Asha, przyznaję, że całkiem niezły. Przekażę go reszcie Sprzysiężenia. Będzie nam łatwiej poznać, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

– A co z Gwardzistami? Im też będzie łatwiej nas rozpoznać.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Gwardzistom robiło wielką różnicę, czy będą strzelali do rebelianta, czy do przypadkowego właściciela sklepu. A ci, którzy są po naszej stronie, będą wiedzieli, komu mogą zaufać.

– Dziwne, że nie wybrał czarnych opasek. Przecież to Sprzysiężenie Czarnego Klucza i w ogóle.

– To chyba ma symbolizować Białą Różę – wyjaśnia Lucien. – Która jest równie istotna, choć nie tak znana jak Czarny Klucz.

– Tak – mamroczę pod nosem. – To miłe.

Znów zapada cisza. Spokojna i przyjazna. Biegnę myślami do ostatniej rozmowy z Ashem, kiedy na naszym stryszku mówiliśmy

o przyszłości. Przez chwilę pozwalam sobie wierzyć, że nasze marzenia się ziszczą.

– Czego byś chciał dla tego miasta, Lucienie? – pytam.

Na wargach Luciena pojawia się uśmiech.

– Żadnych murów. Żadnych podziałów. Zjednoczone miasto. Rząd złożony z ludzi mądrych i pełnych współczucia, a nie tych, w których żyłach płynie błękitna krew. Rząd, który będzie reprezentował wszystkich. Chciałbym, żeby mieszkańcy tego miasta mogli sami decydować o tym, jak chcą żyć.

– Tak – zgadzam się z nim. – Żadnych murów. Chciałabym, żebyśmy widzieli w sobie ludzi, a nie Towarzyszy, surogatki, służących. – Biorę głęboki oddech, wdychając zapach drewna, werniksu, książek i farb. – To naprawdę cudowne miejsce. Podoba mi się.

Przez chwilę Lucien wygląda na zakłopotanego. Jego oczy błyszczą od emocji.

– Dziękuję – mówi wreszcie. – Nie wiesz nawet, ile to dla mnie znaczy. I nie wiesz, jak trudno mi cię prosić o przysługę.

– Proś, o co chcesz – odpowiadam.

– Kiedy czas nadejdzie... Wiesz, Aukcja... Jeśli nam się nie uda...

– Nie myśl w ten...

Lucien unosi dłoń.

– Jeśli zrobi się naprawdę nieciekawie, chcę, żebyś zniszczyła tę komnatę.

Ze świstem wciągam powietrze.

– Co? Dlaczego?

Lucien spogląda na zlewki, zegary, na niedokończony portret Azalei.

– Nie chcę, żeby to wpadło w ich ręce. A ty jesteś jedyną osobą, która może zniszczyć ten warsztat.

Słyszając jego słowa, czuję, jak powietrze wokół mnie drga niespokojnie. Tak, moglibyśmy wraz z żywiołem roznieść ten pokój na strzępy. Nawet jeśli miałyby mi to złamać serce.

W spojrzeniu Luciena jest desperacja. I błaganie.

– Proszę, Violet, nie pozwól im zawłasczyć tej ostatniej części mnie.

Muszę się zgodzić. Cóż innego mogłabym uczynić?

– Dobrze – mówię cicho. – Ale tylko w ostateczności. – Wyciągam rękę i kładę ją na grzbiecie jego dłoni. – Azalea byłaby z ciebie naprawdę dumna.

Z jego gardła wyrywa się cichy szloch, ale już po chwili Lucien zbiera się w sobie.

– Mam nadzieję. – Ujmuje w dłonie moją rękę i całuje delikatnie moje knykcie. – Nie wiedziałem, jak mnie odmienisz. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z własnych uprzedzeń, z tego, jak mi się zawężyły horyzonty. Myślałem, że jestem wszechwiedzący. Myślałem, że mam plan, więc wszystko pójdzie jak z płatka. Myliłem się.

– Przecież wszyscy się mylimy, prawda? – szepczę. – Na tym właśnie polega uczenie się.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Violet Lasting. Mam nadzieję, że to się nigdy nie zmieni.

– Ty jesteś dobrym człowiekiem, Cobalcie Roslingu. – Lucien wzdryga się, słysząc swoje prawdziwe imię. – Mam nadzieję, że obydwójce wyjdziemy z tego żywi. To miasto cię potrzebuje. – Nastrój w komnacie stał się dość ponury, staram się więc zmienić temat. – Mam po dziurki w nosie imienia Imogen – oznajmiam. – Jak jesteś w stanie znieść to, które ci nadali?

Lucien krzyżuje nogi i wygodniej siada na fotelu.

– Wiesz, właściwie to już w ogóle nie zwracam na to uwagi. Chyba w pewnym momencie uznałem, że to po prostu moje imię. Jak rzecz, która do mnie należy. Od ponad stu lat nie było żadnego Luciena. Wiesz, że to Hierarcha wybrał mi imię? Kiedy trafiłem do tego pałacu, Wybranki jeszcze nie było. – Po jego nieobecnym spojrzeniu wnoszę, że zagłębił się we wspomnieniach. – Byłem taki przerażony, że cały się trząsałem. Była tu taka kobieta, Gemma, zdawało się, że jest wieczna. To ona mnie szkolila. Hierarcha przyszedł do jadalni akurat wtedy, gdy wyjaśniała mi co bardziej zawile zasady etykiety. Władca jest zawołanym myśliwym. Wiedziałem o tym. Zapytał mnie o wszystkie gatunki zwierząt hodowane w królewskim lesie, a potem wypytał mnie, jak najlepiej je podejść. Nie skończył na tym. Kazał mi wyrecytować rodowód rodziny królewskiej. Kiedy to zrobiłem, dał mi rozebrany na

części pistolet i patrzył, jak go składam, a lokaj mierzył mój czas. Później wręczył mi listę podatków, którymi obłożono niektóre należące do korony gospodarstwa na Farmie i kazał mi przewidzieć procentowy wzrost zysków na przestrzeni kolejnej dekady. Wiesz, ile miałem wtedy lat? Jedenaście. Pod koniec pot lał się ze mnie strumieniami. Pamiętam, jak Hierarcha podał Gemmie kilka zwiniętych kart i oznajmił: Zadziwiające. Będzie się nazywał Lucien. I to tyle. Już nie byłem Cobaltem.

– Wciąż nim jesteś – nalegam.

– Pewnie tak. – Lucien w zamyśleniu drapie się po łokciu. – Nieważne, jak by nie byli nadęci i pretensjonalni, arystokraci to wciąż ludzie. Niektórzy są dziwni, chorzy psychicznie, ale nadal są ludźmi. Hierarcha był bardzo samotny. I chyba dlatego poślubił Wybrankę. Wciąż uważam, że tak naprawdę kocha tylko Diuszesę.

– To dlaczego ich zaręczyny zostały zerwane? – zastanawiam się głośno.

– Z tego co wiem – mówi Lucien, podnosząc się z fotela – masz równie duże jak ja szanse, by zgadnąć. Chodź. Wystarczająco długo tu siedzimy.

Kiedy opuszczamy sekretny pokój, schodzimy po kręconych schodach i wychodzimy w tętniącym życiem korytarzu dla służby, mam wrażenie, jakbym wprost ze snu trafiła do realnego świata. Warsztat Luciena wyglądał jak część innego budynku, jak sama istota Luciena zaklęta w miejscu i przedmiotach.

Mam nadzieję, że nie będę musiała go zniszczyć.

Rozdział 17

Tydzień.

Tylko tyle nam zostało. Siedem dni do chwili, w której świat zmieni się na lepsze bądź na gorsze. Raven i Sil jadą jutro do Bramy Południowej. Kolejny pociąg, w który wsiądą, zawiezie je do Domu Aukcyjnego.

Zagubiona w myślach o surogatkach, Aukcji i tym, że dzień prawdy nieubłaganie się zbliża, niosę do pralni kosz z ubraniami Coral.

Od czasu do czasu przed oczyma staje mi również pracownia Luciena, bulgoczące w zlewkach tajemnicze płyny, niedokończony obraz, ściana z zegarami symbolizująca jego dzieciństwo. Na samą myśl o tym, co mu obiecałam, skręca mnie w żołądku, wiem jednak, że dotrzymam słowa. Lucien ma rację. Jego pokój nigdy nie powinien trafić w ręce królewskiej rodziny.

Właściwie nie zwracam uwagi, dokąd idę, kiedy więc skręcam za róg i wpadam na doktora Blythe'a, upuszczam kosz i część bielizny Coral rozsypuje się na kamiennej podłodze.

– Och! – wykrzykuję, przyklękając, by pozbierać negliż.

– Najmocniej przepraszam. – Doktor Blythe nachyla się, żeby mi pomóc, ale macham ręką, żeby tego nie robił.

– Nie, nie, nic się nie stało. Zamyśliłam się i nie patrzyłam, dokąd idę. – Nie spieszę się ze zbieraniem fatalaszków i każdy kawałek jedwabiu dokładnie układam w koszu. Mam nadzieję, że Blythe zaraz sobie pójdzie.

Nic z tego.

– Właściwie to miałem cię poszukać – oznajmia, wyraźnie ciesząc się z tego, że na niego wpadłam. No cóż, nie podzielałam tej radości. – Przypomnij Coral, że musi się ze mną spotkać przed Aukcją, żebyśmy mogli przystąpić do stworzenia embriona, który będzie kompatybilny z surogatką, i tak dalej.

– T... Tak – wyjąkuję, wstając. – Oczywiście.

– Może dzisiaj o szóstej?

Wbijam oczy w trzymane w dłoniach pranie.

– Myślę, że się uda. O drugiej panienka ma w Banku przymiarkę sukni, myślę jednak, że zdąży wrócić na szóstą.

– Znakomicie. – Doktor klaszcze w dłonie i uprzejmie kiwa mi głową. – Miłego popołudnia.

Dygam grzecznie i pędzę korytarzem, by oddać pranie czerwonolicej praczce. Potem wracam na piętro lewego skrzydła. Kiedy wyłaniam się zza popiersia starego Diuka, spostrzegam kolejną znajomą twarz.

Rye jest, jak zazwyczaj, znakomicie ubrany. Zawsze widziałam go w towarzystwie Carnelian, teraz jednak jest sam. I dziwnie na mnie patrzy. Z braku lepszego pomysłu dygam. Rye spogląda za siebie, na pusty korytarz, a potem znów wbija wzrok we mnie.

– Violet? – pyta cicho.

– Skąd... – Wytrzeszczam oczy.

Nim zdążę powiedzieć choć słowo więcej, Rye wciąga mnie do niewielkiego pokoju po drugiej stronie korytarza. Na ścianach wiszą wielobarwne motyle w szklanych gablotkach.

Serce łomocze mi w piersi, a Rye nie puszcza mojego nadgarstka.

– Ash przesyła pozdrowienia. Dla ciebie i dla mnie.

– Wszystko z nim w porządku? – dopytuję. – Gdzie on jest?

Rozmawiałaś z nim?

– Ja nie, ale ktoś inny rozmawiał. Wspólny znajomy.

Domyślałam się, że chodzi mu o któregoś z Towarzyszy.

– Kto? Kiedy?

Rye chichocze dziwnie i przez myśl przebiega mi, że może znowu używał narkotyków.

– Nie znasz go. Wczoraj.

– Mówił coś o moim bracie?

– O kim? Nie. – Rye ogląda mnie od stóp do głów. – Powiedział, że wyglądasz inaczej, ale... Nieźle. Wy, surogatki, jesteście pełne niespodzianek.

– Nie jestem już surogatką – oznajmiam.

– Racja. W każdym razie, chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale wcale nie tak łatwo wyrwać się Carnelian.

– No raczej – mruczę.

Rye szczyrzy zęby.

– Tak, ma obsesję na punkcie Asha. Ciągłe mnie o niego wypytuje. Diuszesa zresztą też. To znaczy, pytała na początku, teraz już jej przeszło. Carnelian jakoś nie przechodzi.

– Przecudownie – zauważam kwaśno i zmieniam temat na bardziej palący. – Ash rozmawiał z innymi Towarzyszami? Pomogą nam?

– Pytasz, czy pomogą Czarnemu Kluczowi? Pewnie. Nasza sytuacja i tak gorsza być już nie może.

Przygryzam wargę.

– Mieszkam w dawnym pokoju Asha – ciągnie Rye. – Jestem pewien, że pamiętasz do niego drogę. – Puszczaj do mnie oko. – Wpadnij do mnie w nocy, to pogadamy.

Kiedy Rye znika za zakrętem, pędzę do pokoju Coral. Jestem tak zaskoczona i przejęta tym, co właśnie się wydarzyło, że kiedy ubieram ją na wizytę u krawcowej, buciki na obcasach zakładam jej odwrotnie.

– Imogen, coś się stało? – pyta Coral.

– Nie, panienko. Najmocniej przepraszam – mruczę, naprawiając swój błąd.

Panna Mayfield to jedna z najlepszych krawcowych w Samotnym Mieście i do jej salonu ustawiają się kilometrowe kolejki. Coral nie potrafi przestać opowiadać o tym, jaka wspaniała będzie jej suknia.

– Oczywiście wybrałam różową – oznajmia, kiedy maluję na jej powiece cienką kreskę. – Matka na Aukcje zawsze nosiła niebieskie albo srebrne. – Pociąga nosem. – Różowy lepiej do mnie pasuje.

– Tak, panienko. – Nagle przypominam sobie, że nie powiedziałam jej o spotkaniu z doktorem Blythe'em. – Doktor Blythe chciałby się dzisiaj z panienką spotkać. Późnym popołudniem. Po przymiarce. Mówił...

– Moja pierwsza wizyta w sprawie surogatki! – Kiedy kończę nakładanie kredki, Coral przegląda się w lustrze. – Oczywiście. Wrócimy z Banku znacznie wcześniej, prawda?

Przez tych kilka tygodni nauczyłam się już, że nasze plany to tak naprawdę plany Coral i tylko ona ma coś do powiedzenia w ich sprawie. Jeśli nie chce czegoś zrobić, to tego nie robi, jednak i tak o wszystko mnie pyta.

– Tak, panienko – odpowiadam. – Czy Garnet będzie towarzyszył panience w trakcie przymiarki?

Od czasu śmierci jego ojca rzadko go widuję. Bardzo wiele czasu poświęca Gwardii, jakby aż zanadto wczuł się w rolę oficera. Częściej niż wcześniej podróżuje też do niższych Kręgów.

Coral chichocze.

– Panowie nie chodzą na przymiarki sukien. – Marszczy nos. – Ale będzie z nami Carnelian. O rany, ona zawsze jest taka nudna i poważna.

– Czy Carnelian również będzie na Aukcji?

– Oczywiście, że nie, Imogen. Przecież nie jest zamężna. Ale po Aukcji odbędzie się mnóstwo atrakcji, występy, kolacje i inne przyjęcia, więc musi na nich ładnie wyglądać, nawet jeśli na samej Aukcji jej nie będzie. – Coral bawi się loczkiem przy lewym uchu. – Mama opowiadała mi o Aukcjach, od kiedy byłam malutka. Wprost nie mogę uwierzyć, że wreszcie wezmę w tym udział! To musi być niesamowite. Wiesz, w różnych komnatach są różne atrakcje, a w ogrodzie przed domem można wziąć udział w rozmaitych grach. Zaczyna się wczesnym popołudniem i trwa przez cały dzień. Organizatorzy dbają o to, żeby kobiety, które czekają na kupno surogatki, się nie nudziły. No i po tym, jak już się kupi taką surogatkę, też można się bawić. Nigdy wcześniej nie byłam w samym amfiteatrze, ale słyszałam, że jest precudowny. – Ja byłam i nie opisałabym go tym słowem. – Będzie jedzenie i będą napoje, i zawody, które można oglądać, i muzycy, i żonglerzy, i w ogóle masa fantastycznych rzeczy.

Wygląda na taką podekscytowaną. Jakby istotą Aukcji nie były wcale surogatki. Jakby nie chodziło o grupę dziewcząt, które, nieprzytomne, trafiają w dziwne miejsce, są ubierane, malowane i zaciągane na scenę. Jakby cały ten strach, gorzej: przerażenie, jakby traktowanie nas jak przedmioty nie miało znaczenia. Jakby znaczenie miała jedynie rozrywka.

Ale ta Aukcja nie będzie taka jak inne.

Dopilnuję tego.

Rozdział 18

W samochodzie siedzę naprzeciwko Coral i Carnelian. Jedziemy do północnej stacji kolejowej, bo salon panny Mayfield znajduje się w północnym kwartale Banku.

– To idiotyczne – marudzi Carnelian. – Przecież wszyscy wiedzą, co się ostatnio dzieje. Zamachy, zamieszki i tak dalej. W głowie mi się nie mieści, że wysłała nas do Banku!

– Nonsens – kwituje Coral. – Od tygodnia nic nie wybuchło.

– W Banku może i nie – odburkuje jej Carnelian. – Ale w Dymie i na Farmie robi się bardzo niebezpiecznie. Nie czytasz gazet?

Jestem zaskoczona, że Carnelian śledzi poczynania Sprzysiężenia. Aczkolwiek... Przypominam sobie, jak na kolacji, jakieś sto lat temu, Diuszesa drwiła z tego, że Carnelian pracowała u swojego ojca przy prasie drukarskiej. Może zawsze czytała gazety, tylko nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

Właściwie to się z nią zgadzam. Aukcja już za chwilę i arystokracja nie powinna zapuszczać się do niższych Kręgów. Ale, rzecz jasna, oni o tym nie wiedzą.

– Dym zawsze był dość nieprzyjemnym miejscem, prawda? – rzuca Coral. – Bank jest za to uroczy. Miło na chwilę wyrwać się z Klejnotu i popatrzeć na coś innego niż pałace.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogłam zabrać Rye'a – irytuje się Carnelian.

– Och tak, jest przezabawny, prawda? – odpowiada Coral. – Pamiętam, kiedy był moim Towarzyszem. Uwielbiał naśladować służących i czasami brzuch mnie bolał ze śmiechu.

Zapomniałam, że Rye pracował kiedyś dla Domu Dolin. Wydaje mi się niewłaściwym to, że Coral i Carnelian dzielą się niejako tym samym mężczyzną, podejrzewam jednak, że to w Klejnocie nic niezwykłego.

– Nie przypominaj mi – mamrocze Carnelian.

– Jest o wiele miłszy niż ten okropny Ash Lockwood – ciągnie Coral, absolutnie nieświadoma morderczej miny Carnelian. – Pamiętam,

jak strasznie ci zazdrościłam, kiedy Diuszesa ściągnęła go do pałacu. Moja matka chciała nająć go dla mnie. No cóż, chyba dobrze, że tego nie zrobiła.

– Nie mów o nim, jakbyś go znała – mówi ostro Carnelian. – Bo nic o nim nie wiesz.

– Ty chyba też nie – odcina się Coral.

Carnelian wbija wzrok w okno i nie odzywa się do końca przejażdżki.

Nasz automobil zatrzymuje się na stacji mniejszej nawet niż ta, na którą przyjechałam, udając Lily. Nie ma tu żadnej poczekalni, a peron mieści się między drzewami o nabrzmiąłych pąkach, które lada chwila rozkwitną. Pociąg ma tylko jeden, lśniąco czarny, ozdobiony miedzianymi zawijaszami wagon. Kiedy przyjeżdżamy, konduktor natychmiast staje na baczność, ściąga kapelusz i otwiera przed nami drzwi.

Wnętrze przedziału bardzo przypomina pałacowy salonik. Są tu dwie sofy, jedna ze srebrzystą tapicerką w deseń śnieżnych płatków, druga złocista z motywem liści, oraz dwa fotele. Na kilku stolikach stoją lampy oblewające pomieszczenie ciepłym, brzoskwiniowym blaskiem, a z sufitu zwisa niewielki żyrandol. Znalazło się nawet miejsce na marmurowy posąg kobiety w powłóczystej sukni, na której wyciągniętej dłoni siedzi ptak. Tuż obok bardzo dużego i bardzo realistycznego portretu Hierarchy stoi przeszklony barek z różnymi napojami.

Carnelian i Cora siadają na dwóch kanapach, a ja stoję cicho w rogu, nauczona już, że moja praca polega głównie na znikaniu i udawaniu, że w ogóle nie istnieję. Na małym podręcznym stoliczku leży dzisiejsza gazeta. Kiedy pociąg rusza, Carnelian zaczyna ją przeglądać.

– A tak przy okazji, czytam gazety – przerywa ciszę Coral. – Niedawno był artykuł Pani Kotliny o tym, że zaręczanie dzieci jeszcze przed ich urodzeniem powinno być prawnie zakazane.

Carnelian prycha pogardliwie.

– Och, proszę cię... To była zawołowana próba zdyskredytowania Diuszesy i najpewniej odpowiada za nią Wybranka. Wszyscy wiedzą, że nie chce, żeby jej syn ożenił się z córką Diuszesy. Pewnie dlatego nasłała

tych zabójców na przyjęcie Garneta. Jak nic mieli się pozbyć surogatki.

– Wybranka by tego nie zrobiła – protestuje Coral. – To zdrada. Ludzie są po prostu zazdrośni.

– Tak naprawdę sama w to nie wierzysz, prawda?

Coral ostentacyjnie ignoruje pytanie. Po chwili Carnelian ciężko wzdycha.

– Zachowujesz się, jakbyś wcale nie mieszkała w tym Kręgu od urodzenia. Wiesz, że arystokracja jest bezwzględna. Klejnot jest bezwzględny.

– Takie brzydkie słowo. – Coral poprawia kapelusz. – Po prostu ludzie bardzo się niektórymi rzeczami... emocjonują.

Carnelian wybuchając śmiechem. Cieszę się, że to robi, skoro ja nie mogę.

– Coral, jesteś tragikomiczna.

– Ale przynajmniej ładna i wesoła – odpowiada Coral ze wzruszeniem ramion. – Może gdybyś spróbowała częściej się uśmiechać, ktoś w tym Kręgu zechciałby cię poślubić.

– Nie sądzę, żeby to brak uśmiechu zniechęcał Domy do zawarcia mariażu ze mną – odpowiada Carnelian. – Poza tym są ważniejsze rzeczy niż znalezienie sobie męża i kupienie surogatki.

Tym razem to Coral się śmieje.

– Na przykład co?

Carnelian wymachuje jej przed nosem gazetą.

– To miasto rozpada się na naszych oczach.

W tym momencie ze zgrzytem otwiera się brama w murze oddzielającym Klejnot od Banku. Pociąg sunie powoli poprzez ciemność. Gdy wyjeżdżamy znów na światło dnia, przygniata mnie nieco świadomość tego, jak gruba jest ściana, którą przyjdzie nam zburzyć.

Ale przecież nie będę sama. Nie stanę samotnie naprzeciwko muru, choć Lucien tak to sobie kiedyś wyobrażał. Myślę o Indi i Siennie, a nawet o Olive, czekających w Bagnie, gotowych, by wjechać do Klejnotu wraz z dziewczętami zmierzającymi na Aukcję. Myślę o Raven i Sil ukrywających się nieopodal Bramy Południowej. Ciekawe, jak się mają Ginger, Tawny i Henna. Mam nadzieję, że będą gotowe, że Amber,

Scarlet i inne dziewczyny pomogły im oswoić się z żywiołami. Wierzę, że uczą się od siebie i że dają sobie nawzajem siłę.

Gdy do wagonu wpadają promienie słońca, na ustach Coral pojawia się znamionujący pewnością siebie uśmiech.

– Jak ktoś miałby się przedostać przez ten mur, Carnelian? W Klejnocie jesteśmy bezpieczni. Poza tym uważam, że te wszystkie niepokoje rychło się skończą, a rebelianci zostaną schwytani i ukarani. – Pociąga nosem, wygładzając spódnicę. – Nie rozumiem, dlaczego nie mogą być nam wdzięczni za to, że dajemy im pracę, że dzięki nam mają co włożyć na grzbiety, że dostają jedzenie. To, co robią, te zamachy... To po prostu niewdzięczność.

Po raz drugi dzisiaj Carnelian mówi dokładnie to, co chciałabym powiedzieć.

– Coral, nie masz najbledszego pojęcia o tym, o czym mówisz. Cała twoja wiedza o niższych Kręgach zmieściłaby się w jednej z tych twoich durnych miniaturowych filiżanek.

Pociąg zwalnia. Wysiadamy na stacji, nim wisząca w powietrzu awantura ma szansę się rozkręcić.

Stacyjka jest równie niewielka jak ta w Klejnocie, jeśli nie mniejsza. Ocieniona drzewami, jest odgradzona od reszty Kręgu ceglana ścianą. Na miejscu, podstawiony nieopodal złotych drzwi prowadzących do Banku, czeka na nas kolejny automobil.

Jak dotąd widziałam tylko Południowy Kwartal Banku. To tam mieszka Lily, u której się ukrywałam, i tam mieścił się magazyn, do którego trafiliśmy. Zapamiętałam głównie różowe fasady i precyzyjnie ukształtowaną zieleń. Północny Kwartal jest dzikszy. Wszystkie drzewa tutaj to drzewa iglaste, a fasady domów mieniają się odcieniami srebrzystej szarości i bladego błękitu, kontrastującymi z ciemną zielenią igieł. Wiele budynków ma dachy wykończone białą dachówką, wyglądają więc, jakby przed chwilą obsypał je śnieg.

Zajeżdżamy na ulicę dwa razy szerszą niż te, którymi dotąd jechałyśmy. Szofer otwiera nam drzwi. Na jednym z budynków znac ślady podpalenia. Okna, zapewne wybite, zasłoniono deskami, a znak na drzwiach głosi „Zamknięte z powodu remontu”. Ktoś namazał na tym komunikacie symbol czarnego klucza.

– Niewdzięcznicy – mamrocze Coral. Carnelian przewraca oczami, ale kilka razy odwraca się, by popatrzeć na obrócony w ruinę ekskluzywny sklep.

Kiedy spostrzega, że to zauważyłam, wbija wzrok w jakiś punkt przed sobą.

Ja również się odwracam. Nie chcę, żeby Carnelian zbyt intensywnie mi się przyglądała.

To nie jedyny budynek, który ucierpiał. W kolejnych dwóch również brakuje okien, a na drzwiach wiszą tabliczki z napisem „zamknięte”. Widzę jeszcze więcej namalowanych czarną farbą kluczy.

Sklepy, którym się upiekło, pyszną się wielkimi, ozdobnymi znakami podobnymi do tych, które widziałam w Południowym Kwartale. Na jednym widnieje dumny napis „Najlepszy kapelusznik w tej części Banku!”. Za szybą piętrzą się wielobarwne nakrycia głowy. Kolejny sklep ma szyld z napisem „Najlepsze tekstylia – spraw, by twój dom wyglądał jak królewski pałac!”.

Zatrzymujemy się przed pomalowanym na wściekłą czerwień budynkiem, mocno kontrastującym z resztą pyszniącego się żelazem i mosiądzem kwartału. Po lewej znajduje się filia Banku Królewskiego, po prawej zaś sklep meblowy. Szyld nad wejściem do czerwonego budynku głosi: „Niezwykłe Emporium Panny Mayfield: najpiękniejsze kreacje dla dam”. W drzwiach wita nas odziana w czarną ołówkową spódnicę oraz blezer dziewczyna mniej więcej w moim wieku.

– Coral z Domu Jeziora – mówi miękko. – Oczekiwałyśmy panienki. Och, i panienka Carnelian. Zapraszam, zapraszam.

Coral chłonie uwagę jak gąbka. Wchodzimy do sklepu i zaraz zjawiają się przy nas kolejne dwie pracownice w niemal identycznych strojach, które oferują arystokratkom kawę, owoce i miejsce na miękkiej, obitej aksamitem sofie. Po raz kolejny trzymam się z tyłu. Tylko raz podchodzę do Coral, gdy ta zdejmuje kapelusz i wyciąga rękę, by mi go wręczyć. Otaczają nas suknie – udrapowane na manekinach i wiszące na wieszakach. Te ostatnie zostały posortowane kolorami. Sufit pomieszczenia jest tak wysoki, że do niektórych kreacji można dostać się jedynie przy użyciu mocowanej do ściany drabiny, podobnej do tej, która znajduje się w bibliotece Diuszesy. Podłogę pokrywa karmazynowy

dywan, a z niewidocznego z naszej perspektywy sufitu zwieszają się miedziane żyrandole wykute w kształt poroży zakończonych świetlnymi kulami. Sklep tonie w ciepłym blasku.

– Panna Mayfield zaraz przyjdzie – mówi do Coral jedna z dziewczyn. – Panienska zakocha się w tej sukni. Jest absolutnie zjawiskowa. Panna Mayfield osobiście ją kończyła, prawie dzisiaj nie spała.

Coral wygląda na zachwyconą.

– A co z moją suknią? – pyta Carnelian. Siedzi na pufie i popija kawę. Wygląda na zdegustowaną.

– Och, sukienka panienska również jest cudowna – zapewnia ją rozplywająca się w uśmiechach asystentka.

– Panienska zapewne nie może się doczekać – dodaje inna dziewczyna, niemal równie wysoka jak Indi. – W końcu to sama Diuszesa zamówiła suknię dla panienska.

– Umieram z zachwytu – odpowiada sucho Carnelian.

– Obydwie umieramy! – dorzuca Coral, szczerząc się i za siebie, i za kuzynkę.

– A widziały już może panienska listę dziewcząt na Aukcję? – pyta pierwsza z asystentek.

– Nie, ale ona przychodzi dopiero na kilka dni przed, prawda? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co takiego mają dla nas w tym roku.

– Zdaje się, że znacznie mniejszy wybór niż w zeszłym, czyż nie? – wtrąca się trzecia dziewczyna, piegowata, z włosami kojarzącymi się z dmuchawcem.

– Owszem – zgadza się z nią Coral. – Ale przecież nie chodzi o ilość, tylko o jakość.

– Poza tym – wcina się Carnelian – wielka wojna o rękę Larimara już się skończyła.

– Och, zapomniałam – frasuje się pierwsza asystentka. – Słyszałam o strzelaniu, to takie straszne. – Spostrzegam, że mówi wyłącznie do Coral. – Plotki są prawdziwe? To był zamach na surogatkę?

– Tak – szepce Coral.

– Wszyscy mówią, że stała za tym Wybranka – emocjonuje się piegowata, jakby spodziewała się, że Coral może jej udzielić jakichś

konkretnych informacji. Pierwsza asystentka ucisza ją ostrym spojrzeniem.

– Nikt nie wie, kto za tym stał – ucina wątek. – Diuszesa musi się bardzo martwić o bezpieczeństwo swojej surogatki.

Ściska mnie w dołku, a w moich uszach znów rozbrzmiewają błagania Hazel.

– Jest pod strażą w pałacu – oznajmia Coral.

– I radzę nie spodziewać się więcej imprez, póki ten mały kłębuszek szczęścia się nie urodzi – dodaje kwaśno Carnelian.

Wysoka dziewczyna przestępuje z nogi na nogę, najwyraźniej niepokorna, czy Carnelian właśnie sobie zażartowała i czy, jeśli zażartowała, to ten żart był zabawny.

– Widać już po surogatce? – dopytuje pierwsza.

– Tak, nawet dość wyraźnie. – Coral odstawia filiżankę.

– To niesamowite, że Diuszecie udało się zaręczyć tę maleńką, nim jeszcze przyszła na świat – mówi wysoka, przysuwając się bliżej. – Jak to zrobiła?

– Och, wszyscy wiedzą, jaka jest Diuszesa – rzuca Coral jakby od niechcenia. – Jeśli czegoś chce, to zrobi wszystko, by to dostać. Chciała, żebym wyszła za jej syna, i proszę...

Wszystkie asystentki wybuchają śmiechem.

– Dziewczęta, dziewczęta, dajcie paniąkom trochę odetchnąć. – Kobieta, która wychodzi z zaplecza jest uosobieniem stylu. Ma na sobie sięgającą ziemi śliwkową kreację, która znakomicie podkreśla jej kształty, uwypuklając biodra i piersi. Zdobienia są niesamowite. Naszyte na gorskiej i spódnicy koraliki tworzą wzór fal i sprawiają, że suknia zdaje się połyskliwym oceanem błękitu, srebra i bladego fioletu. Na ramionach kobieta ma udrapowany jakby od niechcenia prosty szal. Jej strój, choć przemyślany do ostatniej ozdoby, sprawia wrażenie, jakby tak po prostu wyjęła go z szafy i założyła na siebie. Włosy kobiety są jaskrawoczerwone, a skóra niemal czarna. Diuszesa potrafi w jednej chwili uciszyć całą salę. Ona również ma taką moc.

Trzy asystentki milkną i cofają się.

– Coral, jakże miło mi znowu cię widzieć – oznajmia Panna Mayfield, nachylając się, by ucałować Coral w obydwa policzki. – Jest

i Carnelian. Pięknie dziś wyglądasz. – Kobieta zauważa mnie. – Och, czyżbyś wreszcie dostała dwórkę?

– Jest moja – wcina się Coral, nim Carnelian zdąży odpowiedzieć.
– Garnet mi ją kupił.

Panna Mayfield posyła jej koci uśmieszek.

– Twój mąż jest dobrym człowiekiem. Choć, nie ukrywam, byłoby miło, gdyby rozwiązał w Banku drobny problem z tym tam, Kluczem. Już dwa razy musiałam odmalowywać fasadę.

– Wandale – popiera ją pierwsza asystentka.

– Mój mąż stara się, jak może – mówi Coral i nie umiem ukryć półuśmiechu. Nikt mnie nie widzi prócz Carnelian, w której oczach pojawia się zaciekawienie. Pospiesznie przybieram neutralny wyraz twarzy.

Panna Mayfield kiwa głową.

– No cóż, to nie pora, żeby poruszać takie ponure tematy. Mamy sukienki do obejrzenia.

Klaska w dłonie, a jej asystentki rozbiegają się jak tresowane myszy. Ta wysoka otwiera drewniane drzwi, panna dmuchawiec ciągnie za sobą manekin odziany w błękitną suknię, a pierwsza niesie różową kreację.

– Jest przepiękna – wydusza z siebie Coral, wyciągając dłoń, by dotknąć materiału.

– Myślałam, że moja będzie czerwono-czarna – mówi Carnelian, patrząc z niechęcią na manekin obleczony niebieskim szyfonem.

– Och, kochanie, ale to Diuszesa płaci, więc... Cóż, uznała, że wybrałaś nieco zbyt agresywne kolory. – Panna Mayfield poklepuje Carnelian po ramieniu. – Nie martw się, kochanie – zapewnia ciszej – uszyto ją specjalnie dla ciebie i będziesz w niej znakomicie wyglądać.

Niemal to samo powiedział do mnie Lucien, kiedy pozwolił mi wybrać sobie sukienkę na Aukcję. Przez chwilę znów tam jestem. Stoję w gotowalni i patrzę na siebie po raz pierwszy od czterech lat.

Dzwoni dzwonek, gdy ktoś otwiera wejściowe drzwi. Do sklepu wchodzi kobieta z córką, najwyraźniej tutejsze. Dziewczynka może mieć pięć albo sześć lat. Ma gęste, czarne, splecione w warkocze włosy i zabawny mały kapelusik z żółtą wstążką.

– Najmocniej panią przepraszam, pani Linten – zwraca się do niej Panna Mayfield. – Dziś po południu mamy zamknięte.

Pani Linten wydaje się nieco urażona, ale potem spostrzega Coral i Carnelian.

– Wasze dostojności – mówi, dygając i trącając córkę, by zrobiła to samo. – Ja nie... Najmocniej przepraszam. Oczywiście, Panno Mayfield, przyjdziemy jutro.

Wypada ze sklepu, jakby ktoś ją gonił, holując za sobą biedną córkę. No cóż, wychodzi na to, że tutaj, w Banku, Carnelian zaliczana jest do arystokracji. W Klejnocie jest inaczej. Panna Mayfield patrzy znacząco na pierwszą asystentkę, która posyła miażdżące spojrzenie piegowatej. Piegowata nie próbuje na nikogo patrzeć, tylko biegnie do drzwi, by je zamknąć. W oknie zawiesza tabliczkę z napisem „zamknięte”, a potem zaciąga story.

– No dobrze – mówi Panna Mayfield. – To na czym skończyliśmy?

Asystentki bardzo szybko rozbierają Coral i Carnelian z ubrań, w których tu przyjechały, pozostawiając na nich jedynie bieliznę. Panna Mayfield pomaga Coral odziać się w oszałamiającą różową kreację z dekoltem w kształcie serca i prostą spódnicą opierającą się na tiulowej halce. Jediną ozdobą sukni są maleńkie kwiatki z rubinów i diamentów, tworzące coś w rodzaju paska.

– Jak ci się podoba, Imogen? – pyta mnie Coral, obracając się dookoła.

– Jest doskonała, panienko. – Bo naprawdę jest. Coral wygląda uroczo. Trzy asystentki znów się rozbiegają, by wrócić po chwili z wielkimi zwierciadłami. Okrążają Coral w jakimś dziwnym tańcu, żeby dziewczyna mogła się z każdej strony obejrzeć.

– Uwielbiam ją – deklaruje Coral. Panna Mayfield wygląda na zadowoloną.

Przychodzi kolej Carnelian. Panna Mayfield osobiście zapina jej suknię na plecach.

– Och! – Coral łapczywie łapie oddech. – Carnelian, wyglądasz... przepięknie!

Brzmi, jakby była zazdrosna, i wcale się jej nie dziwię. Kreacja,

którą Panna Mayfield uszyła dla Carnelian, nie przypomina żadnej, jaką dotąd widziałam. Spódnica jest szyfonowa, spływa falami do samej ziemi i wygląda jak puszysta chmura. Ale gorset... Gorset wykonano z satynowych, krzyżujących się ze sobą wstążek w odcieniu granatu nałożonych na błękitną koronkę, spod której wyziera jasna, niemal alabastrowa skóra Carnelian; sięga aż do szyi, ramiona zaś pozostają nagie.

W tej kreacji Carnelian wygląda jak dorosła, władcza kobieta, która może decydować o sobie. Jak kobieta, za którą będą się oglądać wszyscy na balu.

– Jak ci się podoba? – pyta Panna Mayfield.

– Jest doskonała – szepce Carnelian, a potem obraca się, by objąć krawcową. Asystentki odwracają wzrok, widocznie zakłopotane.

– No cóż, upewnijmy się zatem, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być. – Panna Mayfield pstryka palcami i lustra znikają. Kobieta wyciąga dziwnie wyglądające okulary, zakłada je na nos, bierze centymetr i zaczyna wnikliwie oglądać każdy szew i każde zapięcie.

– Nitka wyłazi – mruczy pod nosem, oceniając lewe ramię Carnelian. Wysoka dziewczyna notuje jej słowa. – I może zrobimy...

Nie jest jej dane dokończyć zdania, bo ściana naprzeciwko mnie eksploduje nagle milionem odłamków i sklep zamienia się w piekło.

Rozdział 19

Unoszę się w powietrze, a potem wybuch ciska mnie na stojak z sukniami.

Instykt samozachowawczy każe mi natychmiast połączyć się z Powietrzem. Odtrącam na boki lecące na mnie kawałki gruzu i metalu. Miękki materiał łagodzi uderzenie o ścianę, czuję jednak ból w plecach i tracę jedność z żywiołem. Dzwoni mi w uszach, a przed oczami latają mi mroczki. Przez kilka sekund, a może minut po prostu leżę częściowo zagrzebana w stercie satyny, wełny i brokatu. Z trudem łapię powietrze. Mam wrażenie, jakby ktoś wypchał mi głowę watą. Jest dziwnie cicho, dźwięki docierają do mnie stłumione. Powoli odzyskuję słuch.

Najpierw dociera do mnie krzyk. Jeden, ciągnący się jakby w nieskończoność wrzask. Siadam, pocieram lewe ucho i widzę pierwszą asystentkę stojącą pośrodku zrujnowanego sklepu i spoglądającą na swoją rękę. Z jej przedramienia wystaje coś ostrego, a po skórze spływają strugi czerwieni. Przełykam zgęstniałą ślinę, kiedy dociera do mnie, że to kość. Dziewczyna ma połamaną rękę.

Suknia Panny Mayfield rozdarła się na boku, a pod okiem kobiety formuje się wielki siniec. Krawcowa klęczy na podłodze, tuląc do siebie wysoką asystentkę i przykładając do jej rozciętego czoła balową kreację z zielonej koronki. Nigdzie nie widzę piegowatej asystentki.

Wszędzie wokół nas rozsypały się diamenty. Błyszczą niby gwiazdy wśród gruzu. Trudno mi myśleć, kręci mi się w głowie. Skąd się wzięło to całe bogactwo?

Gdzie są Coral i Carnelian?

Powoli, niczym rozsypane puzzle, przed moimi oczyma formuje się obraz. W ścianie naprzeciwko mnie zajeje ogromna dziura. Widzę przez nią potrzaskane kafelki, stopioną miedź, rozszczępione drwa i wielkie kawały betonu. A także męski but. Rozbitą lampę. I ogień. Wszędzie ogień.

Bank. Za ścianą był Królewski Bank.

A przecież właśnie takie miejsca za cele obiera sobie Sprzysiężenie.

Dźwigam się na nogi, a dziewczyna ze złamaną ręką krzyczy coraz głośniejsze. Płonący w sąsiednim budynku ogień zajął już sklepowy dywan, czuję, jak bije od niego żar. Płomienie pożerają jedwab i koronki, coraz bardziej zbliżając się do Panny Mayfield i jej pracownic.

Gdzieś daleko, daleko wyją syreny. Nie ma szans, by pomoc dotarła tu na czas.

Łączę się z Ogniem i czuję, jak zalewa mnie fala gorąca, która zawsze towarzyszy temu żywiołowi. Skóra mi płonie, jednak witam ból z radością. Ogień zawsze sprawia, że czuję się w tej samej chwili nieskończenie żywa i nieskończenie przerażona.

Przez sekundę płomienie wzbijają się wyżej, ale teraz mogę je kontrolować, uspokajam je więc. Wysłuchana w bicie mojego serca skłaniam je, by przygasły. Najpierw stają się niższe o połowę, potem tylko pełgają leniwie, wreszcie znikają zupełnie, pozostawiając po sobie jedynie cienkie smużki dymu wydobywające się ze zniszczonego dywanu. Nawet po tym, jak zrywam kontakt z Żywiołem, wciąż czuję żar pulsujący mi pod skórą.

Biorę się w garść i rozglądam się za Coral i Carnelian. Gdy dostrzegam pantofelek zwisający z nieruchomej stopy, moje galopujące serce zamiera. Coral uwięzła pod ogromnym kawałem betonu, a jej ciało spoczywa w ogromnej kałuży krwi.

– Coral! – krzyczę i próbuję podnieść beton, ale jest zbyt ciężki. Syreny są coraz głośniejsze. – Coral, proszę, nie! Nie!

Potrząsam ją za ramiona. Głowa Coral bezwładnie kołysze się to w przód, to w tył. Dziewczyna ma zamknięte oczy. Wygląda niemal tak samo, jak wtedy, gdy kładę ją spać. Jednak tym razem to nie kołdra ją okrywa. Tym razem Coral się nie obudzi. Przykucam na piętach i przyciskam dłonie do oczu, jakbym w ten sposób mogła wymazać to, co przed chwilą zobaczyłam.

Nagle słyszę dochodzący zza przewróconej kanapy jęk. Zmuszam się, by wstać, by porzucić ciało żony Garneta, której nie mogę już pomóc. Za sofą znajdują Carnelian. Żyje.

– Ja... Nie mogę... Oddychać – wydusza z siebie.

– Trzymaj się – mówię. – Zaraz to z ciebie zdejmę.

Znów łączę się z Powietrzem. Uczucie lekkości w brzuchu, które

zawsze temu towarzyszy, nie sprawia mi takiej radości jak zazwyczaj. W jednej chwili żywioł odpowiada na moje wezwanie. Kiedy wsuwam dłonie pod kanapę, czuję ciężar całego mebla, nie tylko gładki mahoń, którego dotykam. Jestem świadoma powietrza znajdującego się pod sofą, dookoła niej, przepływającego przez ozdobne poduszki. Jestem wszędzie.

Do góry, myślę. Kiedy wstaję, Powietrze ciągnie razem ze mną i ciężki mebel unosi się, a potem uderza w jeden z manekinów z taką siłą, że głowa sylwetki odpada. Carnelian przewraca się na plecy i łapczywie chwyta oddech.

– Wszystko w porządku? Możesz się ruszać? Jesteś ranna? – Wymachuję nad nią rękoma, bojąc się jej dotknąć.

– Moje... Moje żebra – jęczy Carnelian, ściskając się za bok.

– Nie ruszaj się. Pomoc już nadchodzi. – Nasłuchując dźwięku zbliżających się syren, łapię szczątki sukni w kolorze indygo, zwijam je w kłębek i wsuwam Carnelian pod głowę. – Wyjdiesz z tego – zapewniam, choć bardziej chyba chcę przekonać siebie niż ją. Carnelian oddycha płytko, na ramieniu ma głębokie rozcięcie. Przyciskam do niego kolejną suknię, żeby zatamować krwawienie.

– Czy ona... Czy ona... – Carnelian patrzy za mnie, tam, gdzie leży ciało Coral.

– Nie żyje – szepczę. Poczucie winy jest jak nóż wrażony w trzewia, jak uderzenie w splot słoneczny. To agonia.

Te wszystkie zamachy... Wiedziałam, że to... brutalne. Wiedziałam. A jednak...

Carnelian zaczyna płakać, łzy płyną jej po policzkach.

– Ciiii – mówię, ujmując jej dłoń. – Już dobrze. Nic nam nie jest.

– Nie chcę umrzeć – szlocha.

Jest przerażona. I wygląda tak młodo. Mogę jej nie lubić, ale w tej chwili jesteśmy po prostu dwiema przestraszonymi dziewczynami.

– Nie umrzesz – zapewniam ją. – Pomoc zaraz tu będzie. Wyzdrowiejesz. – Ściskam jej rękę. – Jestem przy tobie. Nie zostawię cię.

Carnelian przygląda mi się zamglonymi oczyma.

– Ja... Znam twój głos – szepce. Marszczy brwi, a potem jej oczy

rozszerzają się. – Ty! – wydusza z siebie.

Kiwam głową, niezdolna w tej chwili do kłamstwa.

Carnelian otwiera usta i wzdycha cicho, a potem oczy uciekają jej w głąb czaszki i traci przytomność.

Kilka minut później do sklepu wpadają Gwardziści. Jeden natychmiast podbiega do wciąż krzyczącej dziewczyny, dwóch innych rusza, by pomóc Pannie Mayfield i jej asystentce.

– Pomóżcie arystokratkom! Arystokratkom! – krzyczy krawcowa, wskazując miejsce, gdzie siedzę obok Carnelian.

Spiesz do nas młody Gwardzista.

– Czy panienka jest ranna? – pyta mnie.

– Nie. Ale ona... Chyba ma połamane żebra. I jej ramię...

– Medyka! – woła Gwardzista. Po chwili zjawia się mężczyzna w szarym płaszczu, zbrojny w czarną torbę, by pomóc Carnelian. Pierwsza asystentka zostaje wyprowadzona na zewnątrz. Nie przestaje trzymać się za poranioną rękę. Czterem Gwardzistom udaje się wreszcie unieść kawał betonu przygniatający Coral. Cała dolna połowa ciała dziewczyny jest zmiądzona.

Zamykam oczy, nienawidząc się za tchórzostwo. Powinnam patrzeć. Powinnam patrzeć na to, co robi Sprzysiężenie Czarnego Klucza. Zbieram całą swoją odwagę i zmuszam się, by unieść powieki. Nie odwracam wzroku, gdy mężczyźni pakują ciało Coral do czarnej torby, takiej samej, w jakiej odesłano Raven do kostnicy. Dwóch Gwardzistów wynosi Coral ze sklepu.

Carnelian leży na noszach.

– Jest z Domu Jeziora, prawda? – dopytuje młody Gwardzista. Kiwam głową.

– Wyzdrowieje – oznajmia medyk. – To tylko kilka złamanych żeber. Rozcięcie na ramieniu nie jest groźne, ale trzeba założyć szwy. Najlepiej, żeby wróciła do Klejnotu. Tam będzie najbezpieczniejsza. – Spogląda na leżącą pod ścianą sofę. – Leżała pod nią? – Znow potakuję. – I sama ją podniosłaś?

Patrzę na niego tępo. Oczywiście, że ją podniosłam. Medyk wygląda na pełnego uznania. Ale ja... Ja się tak nie czuję. Mam wrażenie, że jestem zupełnie pusta w środku.

– Panienko, proszę za mną – mówi Gwardzista, łagodnie kładąc mi dłoń na ramieniu. – Chodźmy stąd.

Prowadzi mnie do czekającego na zewnątrz ambulansu. Jedziemy we czworo: ja, nieprzytomna Carnelian, medyk i Gwardzista.

Ten ostatni, gdy tylko ruszamy, zaczyna mnie wypytywać. Czy widziałam koło banku kogoś podejrzanego? Czy coś mnie zaniepokoiło? Czy sądzę, że Panna Mayfield mogła mieć coś wspólnego z atakiem? A może podejrzewam którąś z asystentek.

Na każde pytanie odpowiadam „nie”, a ambulans toczy się ulicami Banku.

– Gdzie jest Coral? – pytam po jakimś czasie.

– Nie martw się, zajmiemy się nią. – Gwardzista poklepuje mnie po kolanie.

Kiedy zajeżdżamy na stację, kierownik pociągu jest zaskoczony.

– Musimy natychmiast ruszać – krzyczy na niego medyk. – I poinformuj Klejnot. Carnelian z Domu Jeziora została ranna w zamachu Czarnego Klucza.

– A gdzie jest panienka Coral? – dopytuje kierownik i blednie jak płótno, gdy wymijają go Gwardziści z nieprzytomną Carnelian. Bez zwłoki wpada do pociągu. Wbiegam do wagonu na końcu. Kiedy pociąg gwałtownie rusza, wpadam na posąg kobiety z ptakiem. Gwardziści przesunęli jedną z kanap, żeby położyć na podłodze nosze.

Nie mogę uwierzyć, że jeszcze godzinę temu Carnelian i Coral jechały tym pociągiem. Że kłóciły się ze sobą. Wydaje mi się to zupełnie nierealne, jakby tylko mi się przyśniło.

W Klejnocie czeka na nas specjalny automobil z wyjątkowo szeroką tylną kanapą. Szofer otwiera drzwi i Gwardziści układają na siedzeniu nosze z Carnelian.

– Tylko... Tylko jedna? – wyjąkuje kierowca.

Medyk kiwa głową i powtarza mężczyźnie to, co powiedział mi wcześniej o obrażeniach Carnelian.

Jadę na przednim fotelu, obok szofera. To szybka podróż, kolejne siedziby arystokratów migają mi za oknami. Niebawem hamujemy pod pałacem, a żwir tryska spod kół automobilu. Przy garażu czeka doktor Blythe w towarzystwie Pierwszego i Szóstego.

– Tędy, tędy – pospiesza mężczyzn, gdy wyciągają Carnelian z pojazdu, a potem pociąga za gałąź jednego z krzewów, który miałam za najzupełniej naturalny. Krzew odsuwa się, ukazując ciemny tunel i wiodące w dół kamienne schody. To sekretne przejście do pokoju medycznego, którego nie mogłam znaleźć. Doktor z Gwardzistami i Carnelian znikają w podziemiu, a krzak wraca na swoje miejsce. Gdy szofer odchodzi, by wprowadzić automobil do garażu, zostaję sama.

Nie wiem, dokąd iść. Nie wiem, co robić. Wszystko zdaje się jedynie koszmarnym snem. W końcu, nie myśląc o tym, dokąd prowadzą mnie nogi, docieram do kuchni, w której zbici w grupki służący rozmawiają półszepem. Nawet Rye tu jest.

Gdy wchodzę, rozmowy nagle milkną i zapada cisza, zupełnie jakby ktoś uniósł igłę gramofonu. Maude pierwsza otrząsa się z szoku.

– Imogen! – Przybiega do mnie. – Nic ci nie jest? Jesteś ranna? Co się stało?

– Jest oszołomiona – mówi Rye. Po chwili podchodzi do mnie Zara z warząchwią bulionu w jednej i kawałem bagietki w drugiej dłoni.

– Usiądź – mówi łagodnie. Spostrzegam, że tuż obok mnie stoi zydel. Ciekawe, czy tam był, czy ktoś go przyniósł, a ja nie zauważyłam.

– Claro, przynieś mokrą ściereczkę – komenderuje Zara.

Mary i Elizabeth wpatrują się we mnie, przestraszone, jakbym była czymś nowym i potencjalnie niebezpiecznym. Ściskam bułkę, jakby od niej zależało moje życie. Wciąż jest ciepła, a jej zapach przypomina mi mamę. Do oczu napływają mi gorące łzy.

– Już w porządku, dziecko – mówi Zara, obmywając mi twarz szmatką. – Spokojnie, już, już. Jesteś bezpieczna.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się trzęsę.

– Cofnijcie się, do licha – irytuje się Maude. – Dajcie jej złapać oddech.

To nic nie da. Nie ma na świecie niczego, co mogłoby sprawić, bym zapomniała, co się wydarzyło. Spoglądam po sobie i dociera do mnie, jak muszę wyglądać.

Biała tkanina sukni nie jest już biała, tylko brązowo-szara, powalana pyłem i drobinkami gruzu. Jeden rękaw jest rozerwany, drugi czerwony i sztywny od zakrzepłej krwi. Dłonie mam niemal czarne

i również zakrwawione.

To krew Coral. Mam na rękach krew Coral.

Kiedy uspokajam się na tyle, by oddychać normalnie, Zara bierze łyżkę i zaczyna mnie karmić rosółem. Zaskakujące, jak zwykła zupa pomaga mi wziąć się w garść i znowu jasno myśleć.

– A teraz – mówi Zara, ujmując moje dłonie – powiedz nam, co się stało. Wiemy tylko, że w Banku doszło do eksplozji. – Potakuję. – Coral i Carnelian zostały ranne.

Zamykam oczy.

– Nie żyją? – wydusza z siebie Rye.

– Tylko Coral – chrypię.

Słyszę westchnienia i szept.

– Czy to był Czarny Klucz?

– Tak – mamrocze. – Za ścianą był Królewski Bank. Nie sądzę, żeby chcieli skrzywdzić... Nie sądzę...

Nie wiem, co właściwie sądzę. Tak naprawdę Sprzysiężenie chce krzywdzić pewnych ludzi. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że może chodzić również o ludzi, których znam.

– Biedny Garnet – mówi cicho Maude. – Najpierw jego ojciec, teraz żona...

Nie myślałam wcale o Garnecie. Nie wiem, jak się poczuje. Pewnie tak samo jak ja. Może i nie kochał Coral, ale nie żywił do niej nienawiści.

Nagle w kuchni rozbrzmiewa dźwięk małego złotego dzwoneczka. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby dzwonił. Wszyscy zebrani gapią się na niego niełicho zdumieni. W drzwiach pojawia się Cora.

– Diuszesa chce widzieć wszystkich w sali balowej – oznajmia. – Natychmiast.

Przez chwilę patrzy na mnie, a potem odwraca się na pięcie. Idziemy za nią. Mary i Elizabeth szepczą coś do siebie, Maude wygląda na zaniepokojoną, a William sprawia wrażenie bardziej wzburzonego niż kiedykolwiek wcześniej.

Diuszesa już na nas czeka. Odziana w czarną, satynową suknię i długie, sięgające za łokieć rękawiczki, wygląda wyjątkowo onieśmielająco.

– Jak być może słyszeliście – zaczyna bez wstępów – nasz Dom po raz kolejny stał się ofiarą ataku. Tym razem sprawcą była organizacja, która nazywa samą siebie Sprzysiężeniem Czarnego Klucza. Zabili naszą ukochaną synową i poważnie ranili siostrzenicę. Dosyć tego. Gwardziści dołożą wszelkich starań, żeby powstrzymać tych rebeliantów. Nie pozwolimy na to, by zaszkodzili morale tego Domu. Odważnie, zjednoczeni, stawimy czoło naszym wrogom. Wysłałam arcypilną petycję do Hierarchy. Żywię nadzieję, że jutro się z nim spotkam. Tutaj. Życzę sobie, żeby wszystko wyglądało idealnie. Życzę sobie uśmiechów, kultury i profesjonalizmu. Życzę sobie widzieć, że jesteście dumni, mogąc służyć Domowi, który przyczynił się do powstania naszego wspaniałego miasta. Czy wyrażam się jasno?

Wszyscy kiwamy głowami.

– Ty. – Diuszesa wskazuje mnie palcem. – Chodź ze mną. Reszta może się rozejść.

Rozdział 20

Kiedy podążam za Diuszesa, czuję niesamowity spokój.

Może po prostu nie mam już w sobie żadnych uczuć. Po dzisiejszym dniu... Co jeszcze mogłoby mnie wzruszyć? Wiem, że powinnam być przerażona. Powinnam się martwić, że Diuszesa odkryje, kim jestem, że rozpozna mój głos. Że mnie zabije.

Kiedy jednak otwiera drzwi do niewielkiego kompleksu komnat, rośnie we mnie ponura determinacja. Hazel wciąż jest w niebezpieczeństwie. Tak samo jak Ash i Ochre. Raven, Sienna, Indi, Olive i dziewczyny we wszystkich Magazynach liczą na mnie, wierzą w nasz plan, wierzą w to, że na tegorocznej Aukcji nikt nie zostanie sprzedany w niewolę. Wierzą, że wszyscy będziemy wolnymi obywatelami Samotnego Miasta. To okropne, że Coral zginęła, ale przecież nie jest jedyną osobą, która umarła dla naszej sprawy i przez nią. I na pewno nie będzie ostatnią.

Diuszesa siada na skórzanym fotelu i przygląda mi się znad złożonych w piramidkę palców.

– Sprawdziłaś się jako dwórka Coral – oznajmia po chwili.

Dygam.

– Podoba mi się to, że nie plotkujesz tyle, co inne służące. Zostaniesz tutaj jako dwórka Carnelian. Powinna się ucieszyć. Od dawna zawracała mi o to głowę. – Uśmiecha się kącikiem ust. – Dzięki temu nie pobiegiesz na miasto i nie będziesz opowiadać o wszystkim pismakom albo innemu Domowi. Przy okazji, jeśli spróbujesz, wyrwę ci język.

Nie przyszło mi do głowy, że mogę zostać odprawiona. Od śmierci Coral nie minęły nawet dwie godziny.

– Tak, pani – szepczę. – Dziękuję, pani.

Diuszesa wzdycha i pociera czoło, a potem spogląda na stojący na gzymsie kominka zegar. Dociera do mnie, że byłam już kiedyś w tej komnacie. To było wtedy, gdy po raz pierwszy zwiedzałam pałac sama. W dniu, kiedy spotkałam Asha. Na sekretarzyku stał mały portrecik Diuszesy. W przypiływie odwagi użyłam pierwszej Augurii, Koloru, by zmienić kolor skóry na obrazku z karmelowego na zielony.

Diuszesa mało nie złamała mi za to ręki.

– Możesz odejść – mówi ostro. Znów dygam, po czym wypadam z komnaty i kieruję się do skrzydła dla służby.

Cora czeka na mnie przed jadalnią. Wokół nie ma nikogo.

– Chciała, żebyś została dwórką Carnelian? – pyta.

– Tak.

– Dobrze. Miała zamiar cię odprawić. Co za ulga, że udało mi się ją przekonać. I pomyśleć, że wystarczyłoby jedno moje słowo... – Cora przesuwa palcami po kółku, na którym nosi klucze. – Tuszę, że masz plan na dzień Aukcji? – Wyraźnie słyszę w jej głosie ostrzeżenie.

– Mam. – W sumie to prawda.

– Doktor wciąż zajmuje się Carnelian. Zjaw się u niej wieczorem.

– Tak, proszę pani.

Cora obcina mnie wzrokiem.

– Mogłabyś się wykąpać i przebrać.

Spoglądam na zniszczoną suknię.

Tak.

– Jeśli sobie życzysz, możesz skorzystać z mojej gotowalni. Och, Violet... – Nachyla się ku mnie tak, że widzę zmarszczki wokół jej oczu.

– Jeśli nie dotrzymasz umowy, to przyrzekam ci, że twoja siostra naprawdę będzie w niebezpieczeństwie. I to nie ze strony Wybranki.

Po kręgosłupie przebiega mi dreszcz.

Cora odchodzi, ale po chwili zatrzymuje się i rzuca jeszcze przez ramię:

– Hierarcha zjawi się tutaj jutro o jedenastej rano. Masz być w holu, gotowa, za piętnaście jedenasta. Ogarnij się.

Po kąpieli, ale przed pójściem do Carnelian, rozglądam się za Garnetem.

Znajduję go w jego małżeńskich komnatach. Zdejmuje z półek miniaturowe serwisy Coral, starannie owija każdy element w brązowy papier i pakuje do pudła.

– Cześć – mówię. – Jak się czujesz?

Garnet spogląda na trzymany w dłoni spodeczek ozdobiony na krawędzi srebrno-złotym zawijasem.

– Nie byłem pewien, co z tym zrobić... Ale Coral naprawdę je

kochała. Nie chciałem, żeby wpadły w ręce matki. Pewnie świetnie by się bawiła, rozbijając je o ściany.

– To miłe z twojej strony. Coral na pewno by to doceniła.

Garnet owija papierem spodek i wkłada go do pudła.

– Wszystko w porządku? Nie zostałeś ranna, prawda?

– Nie – odpowiadam, przypominając sobie, jak mój instykt samozachowawczy przejął kontrolę, sprawiając, że połączyłam się z Powietrzem i odbiłam największe kawałki lecącego w moją stronę gruzu. – Nic mi nie jest.

– Czy ona... To znaczy... – Garnet odkaśluje. – Cierpiała?

– Nie – szepczę. – Umarła natychmiast.

Garnet kiwa głową.

– Garnecie, tak strasznie mi przykro – mówię. – Najpierw twój ojciec, teraz...

– To... Przetrwam to jakoś – wykrztusza z siebie. Chyba wciąż jest oszołomiony. – Po prostu... To wszystko nagle zrobiło się takie prawdziwe. To już nie jest jakiś tam zarys planu, o którym rozmawialiście w Białej Róży.

– Nie jest – potwierdzam cicho.

– Ash pewnie odchodzi od zmysłów.

Krzywię się.

– Dlaczego tak mówisz?

Garnet wysoko unosi brwi.

– Violet, przecież Ash wie, że jesteś... byłaś dwórką Coral. Po Banku rozniosła się już wieść o zamachu i śmierci mojej... mojej żony. Ash wie, jak wygląda służba w Klejnocie, wie więc również, że byłaś na miejscu razem z nią.

– O nie! – jęczę i odruchowo unoszę dłoń do ust.

– Lucien znajdzie sposób, żeby mu powiedzieć, że nic ci nie jest – zapewnia Garnet.

– Albo Rye to zrobi.

– Rye?

– On wie. – Szybko wyjaśniam Garnetowi, co stało się wcześniej.

– To naprawdę dobre wieści – oznajmia. – Może nam się przydać w Domu Aukcyjnym.

Wiem, że naprawdę tak sądzi, choć w jego głosie nie słycać przekonania. Nie dziwię się. Jestem tak wyczerpana, że jedyne, na co mam ochotę, to zwinąć się w kłębek pod kołdrą i nie wychodzić przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny.

Ale muszę stawić czoło Carnelian, a potem spotkać się z Rye'em w dawnych komnatach Asha. Ściskam pokrzepiająco ramię Garneta, a on odpowiada mi bladym uśmiechem. Potem ruszam do Carnelian, zostawiając go z miniaturowymi serwisami do herbaty.

Nigdy wcześniej nie byłam w komnatach Carnelian. Maude pokazała mi, gdzie są, kiedy oprowadzała mnie mojego pierwszego dnia w roli dwórki.

Pukam.

– Wejdz – odzywa się ze środka Carnelian.

Jej pokój jest inny od tego, w którym mieszkałam jako surogatka. Nie jest apartamentem złożonym z kilku pomieszczeń. To po prostu duża komnata z oknami wychodzącymi na ogród. Stoją w niej łóżko z czterema słupkami, okrągły mahoniowy stolik i dwa krzesła oraz toaletka. Pod oknem jest wygodny szezlong. Jedną ze ścian zajmują półki z mnóstwem książek, na drugiej wisi obraz przedstawiający gospodarstwo, które przypomina mi Białą Różę.

Carnelian leży w łóżku. Z rękawa jej nocnej koszuli wystaje obandażowane ramię. Nie rusza się, ale jej oczy mnie świdrują. Po tym jak na mnie patrzy, poznaję, że nie zapomniała tamtej chwili, tuż przed utratą przytomności, gdy mnie rozpoznała.

– Więc – mówi, kiedy zamykam za sobą drzwi – wróciłaś.

Przelykam ślinę.

– Wróciłam.

Serce łomocze mi w piersi. Teraz, kiedy życiu Carnelian nie zagraża już niebezpieczeństwo, nie mam pojęcia, co robi. W każdej chwili może zawołać Gwardzistów.

– Dlaczego? – pyta. – Ash jest bezpieczny. – Nagle w jej oczach błyska panika. – Bo jest bezpieczny, prawda? Czytałam w gazecie, że ktoś go widział w Banku, ale przecież to nie może być prawda.

– Ash jest bezpieczny – oznajmiam. – Ale to, co czytałaś... To prawda.

– Jak mogłaś mu na to pozwolić? – unosi się Carnelian. – Mogą go schwytąć! Ona ciągle chce go znaleźć, chce go zabić.

– Nie miałam wyboru – wyjaśniam. – Wyjechał, niczego mi nie mówiąc.

– Bo ci nie ufa? – pyta Carnelian z nadzieją w głosie.

– Bo mnie tam wtedy nie było. Bo... Bo zostawiłam go, żeby przyjechać tutaj.

Carnelian przygryza wargę.

– Ale po co? Żeby się zemścić? Na Diuszesa?

Zaciskam zęby i na usta Carnelian wypływa dziwny uś-mieszek.

– Dobrze – mruczy. – Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ją załatwisz, zanim Czarny Klucz obróci to miasto w perzynę. – Przechyliła głowę na bok. – Ale chodzi o coś więcej, prawda? Nie tylko o zemstę... – Milknie, przyglądając mi się, a potem ze świstem wciąga powietrze. – Oczywiście! Surogatka. Dziewczyna, którą porwała Diuszesa, żeby zastąpić kimś ciebie. Jesteś tu dla niej, prawda? To twoja przyjaciółka?

– Coś w tym tyłu – mówię wymijająco, a potem zadaję pytanie, które wprost pali mi gardło. – Skoro wiedziałaś, że surogatka to nie ja, dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś?

– Och, nie myśl, że nie próbowałam – przyznaje się Carnelian. – Myślałam, że mam asa w rękawie, ale Diuszesa nigdy nie gra czysto. Zagroziła, że jeśli powiem choć słowo, zamknie mnie w domu wariatów. – Zaciska usta w wąską linię. – Mam nadzieję, że cokolwiek dla niej planujesz, będzie cierpieć tak, jak na to zasługuje.

– Nie jesteś przerażona? – pytam. – Niewiele brakowało, a byś dzisiaj zginęła.

Carnelian parska śmiechem, w którym nie ma ani śladu wesołości.

– Nawet gdyby tak się stało, kogo by to obeszło? Podejrzewam, że Diuszesa mogłaby nawet urządzić z tej okazji paradę. – Spogląda w okno i nagle maska, którą zazwyczaj nosi, maska złośliwości i cynizmu, opada z jej twarzy, ukazując ukryte pod nią uczucie bezsilności. – Nikt nie dba o to, czy będę żyć, czy umrę.

Pamiętam, co powiedział do mnie Ash wtedy, gdy czekaliśmy w kostnicy na Luciena. Wyjaśnił mi wtedy, że Carnelian była smutna i że przekuła ten smutek w gorycz i złość. Przez cały czas, gdy tu

mieszkałam, widziałam tylko mały kawałeczek jej osoby. Dostrzegałam tylko jej markotną, wiecznie niezadowoloną minę, a nie kryjące się głębiej żal i ból.

Carnelian ma rację. Nikt w pałacu nie zapłakałby, gdyby dzisiaj umarła.

Nienawiść i uprzedzenia, które żywiłam wobec Carnelian, w jednej chwili znikają. Nagle dostrzegam dziewczynę, którą od dawna źle traktowano i którą gardzono. Dostrzegam dziewczynę, którą widział Ash, tę, którą zignorowałam, bo byłam zbyt zazdrosna i małostkowa. Dziewczynę, która tęskniła za matką. Która pragnie miłości.

Podejmuję więc decyzję. Będę odważna. Będę inna, niż byłam. Lepsza.

Podchodzę do łóżka i siadam na nim. Carnelian przewraca oczami.

– I co? Mamy teraz zostać najlepszymi przyjaciółkami? – pyta kwaśno.

– Nie – odpowiadam. – Ale jesteśmy po tej samej stronie.

– Czyli po jakiej?

– Obydwe nienawidzimy arystokracji, prawda?

Carnelian wpatruje się we mnie zmrużonymi oczyma. Czeka.

– I obydwie kochamy tego samego mężczyznę – dodaję. Wyciągam do niej dłoń w geście pokoju. – Jeśli chcesz mnie wydać, zrób to. Pociągnij za dzwonek, zawołaj Gwardzistów. Moje życie znajduje się w twoich rękach. Wystarczy jedno twoje słowo, a zginę.

Widzę, jak Carnelian się waha. Ma wielką ochotę wezwać straż, oskarżyć mnie o zdradę i doprowadzić do mojej egzekucji. Tak, to, co właśnie zrobiłam, było ryzykowne. Jednak w brązowych oczach Carnelian dostrzegam, że dziewczyna wciąż ze sobą walczy. Kogo nienawidzi bardziej? Mnie czy Dioszesy? Sekundy stają się minutami. Nie odzywam się.

– Masz na imię Violet, prawda? – pyta wreszcie.

– Tak.

– No cóż. Chyba powinnam ci podziękować za ocalenie mi życia.

– Ash nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie próbowała.

Tęsknota na twarzy Carnelian niemal sprawia mi ból.

– Czy on... Czy on czasem o mnie mówi?

Biorę głęboki wdech i odpowiadam szczerze:

– Na dzień przed moim wyjazdem powiedział mi, żebym na ciebie uważała. Że jesteś mądrzejsza, niż chciałabym przyznać.

Jej twarz rozjaśnia się w wąłym uśmiechu.

– Naprawdę tak powiedział?

Potakuję. Carnelian kładzie głowę na poduszkach i spogląda w sufit.

– Chcesz, żebym coś ci przyniosła? – pytam.

– Nie. Zostaw mnie samą.

Podchodzę do drzwi i przystaję. Obracam się do Carnelian.

– Bardzo mu na tobie zależy, wiesz? – mówię cicho. – Wcale mi się to nie podoba, ale... Naprawdę mu zależy. Bronił cię. Zawsze. Jeszcze wtedy, kiedy byłam surogatką. Wiem, że nie tego chcesz, ale...

– Wzdycham ciężko. – Zależy mu.

Carnelian nie patrzy na mnie. Powoli zamyka oczy.

– Odejdź – szepce.

Kiedy zamykam drzwi, widzę, jak po jej policzku spływa łza.

Boli mnie chyba każda kostka w ciele, powieki mam ciężkie, a umysł ociężały. To był naprawdę długi dzień i wciąż się dla mnie nie skończył. Muszę porozmawiać z Rye'em.

Schodami dla służby idę na piętro i zatrzymuję się w korytarzu koło biblioteki. Łączę się z Powietrzem i pcham je przed siebie, by sprawdzić, czy nikogo nieopodal nie ma.

Gdy Powietrze wraca do mnie, czuję woń pasty do butów i słyszę kroki Gwardzistów. Wślizguję się na powrót w ciemność przejścia dla służących i czekam. Kroki zbliżają się i wreszcie mnie mijają. Liczę do trzydziestu, a potem jak najszybciej i najciszej przemykam do biblioteki.

Gdy tylko wchodzę do tunelu, moje arkana zaczynają buczeć. Nie zatrzymując się, wyciągam kamerton z włosów.

– Violet, jak cię czujesz? – Lucien brzmi jak ktoś na krawędzi załamania nerwowego. – Nie zostałeś ranna?

– Nie – odpowiadam schrypniętym głosem. – Coral nie żyje.

– Wiem. Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć.

– Dlaczego? – Moje pytanie brzmi ostro, nieco napastliwie. – Przecież tak właśnie wygląda rewolucja, prawda? Najwyższa pora,

żebym zobaczyła to na własne oczy. Żebym zrozumiała. Zaakceptowała.... Wciągnąłeś mnie w to. Za późno na przeprosiny.

Niemal fizycznie czuję emanującą z arkan ciszę. Wiem, że zraniłam Luciena. Przystaję i opieram czoło o zimną ścianę.

– Wybacz – mamroczę. – Nie chciałam...

– Co mam ci wybaczyć? Szczerość? Nigdy nie przepraszaj za szczerość, Violet. Masz rację. Tak właśnie wygląda rewolucja.

– Co my z nimi zrobimy, Lucienie? – pytam. – Z arystokratami. Czy... Nie wiem, pozabijamy ich? Wszystkich?

– Wielu w Sprzysiężeniu właśnie tego pragnie. Krew za krew.

– A ty? Co ty o tym myślisz?

– Myślę, że to miasto widziało już zbyt wiele śmierci. Uważam, że powinniśmy wysłać arystokratów do pracy. Niech zobaczą, jak większość ludzi żyła pod ich rządami. Kazałbym im gołymi rękoma rozebrać Wielki Mur. – Lucien wzdycha. – Ależ chciałbym to zobaczyć. To i ocean. Nasze miasto od niepamiętnych czasów jest odcięte od świata. Miło byłoby wiedzieć, co jest dalej.

Ocean. Tak, ja również pragnę go ujrzeć.

– Idę się zobaczyć z Rye'em – mówię. – Ash przekazał mi wiadomość o mnie, więc wie, kim jestem.

– To świetna wiadomość! No i Rye będzie na Aukcji. Powiedz Garnetowi. Jestem pewien, że będzie wiedział, jak wykorzystać jego i innych Towarzyszy, którzy znajdują się w Domu Aukcyjnym.

– Już mi powiedziałam – oznajmiam. – Och, zapomniałam. Jestem teraz dwórką Carnelian. Ona... Ona również o mnie wie. Rozpoznała mój głos. – Słyszę, jak Lucien ze świstem wciąga powietrze. – Nic nie powie. Dałam jej szansę. Mogła wezwać Gwardzistów, ale tego nie zrobiła. Nienawidzi arystokracji bardziej niż mnie.

– Cóż. Czyż nie był to dzień pełen niespodzianek?

– To... Lucienie, to się dzieje naprawdę.

– Tak, słońce, dzieje się.

– Muszę iść – szepczę. Chcę, żeby ta noc już się skończyła. Chcę wreszcie się położyć, zasnąć i zatracić się w rozkosznej nieświadomości.

– Oczywiście.

Wyciągam dłoń, żeby kamerton na nią opadł, ale on wciąż wisi

w powietrzu.

– Violet? – mówi Lucien drżącym głosem.

– Tak?

– Jestem z ciebie bardzo dumny.

Arkana opadają w moją dłoń i mocno zaciskam na nich palce. Po chwili ruszam znów cichym, zimnym tunelem.

Rozdział 21

Dziwnie znów znajdować się w tym pokoju.

Otwieram sekretne drzwi umieszczone za olejnym obrazem przedstawiającym myśliwego i jego wiernego psa. Rye stoi przy oknie, najwyraźniej na mnie czekając. W komnacie jest ciemno, oświetla ją tylko nikły blask księżyca.

– Nie wiedziałem, czy przyjdiesz – mówi Rye, gdy zasłaniam drzwi portretem. – Po tym, co się dzisiaj wydarzyło.

– Powiedziałam, że przyjdę. Poza tym... Nie zostało nam zbyt wiele czasu.

– Nie – zgadza się ze mną. – Nie zostało.

Przez chwilę obydwójce stoimy w niezręcznej ciszy.

Lękam się zapytać o Asha, choć przecież to z jego powodu tu przyszedłam. Rye siada na sofie, ja wybieram fotel pod oknem.

– Ashowi udało się skontaktować z jednym z naszych znajomych, który akurat nie był na kontrakcie. Gość nazywa się Trac. Ash znalazł go w Mordowni. Kojarzysz to miejsce, prawda?

Kiwam głową, przypominając sobie najpodlejszą dzielnicę Banku, pełną tanich knajp i burdeli.

– Od jakiegoś czasu Trac nie jest w szczytowej formie. Za dużo pije i zaczął się okaleczać. Prawdę mówiąc, jeszcze trochę i najpewniej zostałby naznaczony.

Ash wyjaśnił mi kiedyś, co oznacza naznaczenie. Jeśli Towarzysz w jakiś sposób zawodzi pokładane w nim oczekiwania, tatuuje mu się na prawym policzku znak X i wyrzuca go ze Sztuby prosto na ulicę. Bez pieniędzy. Wszystko, co do niego należało, wraca do właścicielki Sztuby.

– Więc – ciągnie Rye – Ash opowiedział mu o tobie, o rebelii, o Sprzysiężeniu i o tym, jak świat ma się zmienić... No i jak już się zmienił. Dał Tracowi szansę na nowe życie. Wiesz, namalował piękny obrazek świetlanej przyszłości. Dał mu...

– Nadzieję – mówię miękko. Gardło mi się ściska. – Dał mu nadzieję.

Dlaczego tak trudno było mi to dostrzec wcześniej, w Białej Róży, kiedy za nic nie chciałam zrozumieć pragnienia Asha, by pomóc Towarzyszom? Wtedy uważałam to po prostu za zbyt niebezpieczne.

– Tak. I wiesz co? To się rozprzestrzeniło jak pożar. Mnóstwo Towarzyszy nienawidzi swojego życia, Ash na pewno ci o tym wspominał. Przy okazji, ja też się zaliczam do tej kategorii. – Rye przeciąga dłonią po swoich lokach. – Ćpałem błękitka i nic mnie nie obchodziło, że się w ten sposób wykańczam. A teraz... Jeśli zginę, biorąc udział w rebelii, to może moja śmierć będzie miała przynajmniej jakieś znaczenie. Nie będę tylko kolejnym bezimiennym Towarzyszem, który przedawkował.

Cieszę się, że przestał zażywać narkotyki.

– Potem Trac dostał kontrakt w Domu Światła. Widziałem go na jednym z tych przyjęć, na które ciągle latam z Carnelian. – Rye uśmiecha się szeroko, białe zęby błyskają w ciemności. – Ash powiedział mu, żeby się za mną rozglądał i przekazał mi, że mam pogadać z dwórką Coral. Na początku nie załapałem, ale potem usłyszałem, jak rozmawiałaś z Zarą. Nawet nie chodziło o sam twój głos, ale o to, jak mówiłaś. – Zarzuca ramiona na oparcie sofy. – Wychodzi na to, że wtedy, w Sztubie, wywarłaś na mnie wielkie wrażenie.

– Jestem poruszona.

– Skontaktowaliśmy się również z innymi Towarzyszami w Klejnocie. Ash jest teraz sławny.

– Wiem – odpowiadam, tym razem się uśmiechając.

– Czyli wszystko rozstrzygnie się na Aukcji, prawda?

– Tak. Powinieneś porozmawiać z Garnetem. Na pewno udzieli ci jakichś wskazówek, co mógłbyś robić.

– Z Garnetem? – mówi z niedowierzaniem Rye. – Z tym Garnetem z Domu Jeziora?

Potakuję.

Rye gwizdże z uznaniem.

– To sięga głębiej, niż przypuszczałem.

– Jestem zaskoczona, że Ash ci nie powiedział.

– A ja nie. Nie rozmawiał ze mną bezpośrednio.

– Racja. – Wyglądam przez okno. Powierzchnia jeziora skrzy się

w świetle księżyca. – To w tym pokoju Ash powiedział mi, co robił, co tak naprawdę oznacza bycie Towarzyszem. To tu się w sobie zakochaliśmy – myślę na głos. I niemal natychmiast tego żałuję. To zbyt osobiste. – Przepraszam – mówię, rumieniąc się. – Nie musisz tego słuchać.

Rye milczy. Spoglądam na niego i spostrzegam, że zmienił pozycję. Pochyla się do przodu i wbija wzrok w swoje dłonie.

– Ależ muszę. Powinienem – odzywa się cicho.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Jesteśmy niekochani – ciągnie po chwili Rye. – Bo nie da się nas pokochać. Chcą, żebyśmy tak myśleli. Uczą nas tego. Jesteśmy obiektami o pewnej ustalonej wartości. Zabawkami, za które się płaci. Kto mógłby pokochać kogoś tak obmierzłego jak Towarzysz? Kogoś pięknego na zewnątrz i zupełnie przegniłego w środku? Nie sądzę, żebyś rozumiała, jak ważna jesteś dla Asha. Nie sądzę, żebyś pojmowała, jak wiele znaczy dla niego twoja miłość. Pozwól, że ci to wyjaśnię. – Spogląda mi prosto w oczy. – Twoja miłość jest bezcenna.

Mam zamiar powiedzieć, że to nieprawda. Że dobrze wiem, ale... Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że przecież nie wiem. Byłam surogatką, owszem, ale nie czułam się niegodna miłości. Czułam się tania, wykorzystywana i wściekła, ale miałam przecież Raven i Lily, moją matkę, Hazel i Ochre'ego. A Ash? Ash miał tylko Cinder. I nawet ona nie mogła sprawić, by przestał nienawidzić samego siebie.

Pamiętam, co powiedział mi, zanim się pokłóciliśmy przed moim powrotem do Klejnotu.

A mnie kto został, Violet? Ty. Tylko ty.

Wtedy myślałam, że dramatyzował. Nigdy nie sądziłam, że Ashowi trudno jest nie tylko kochać, ale również być kochanym.

– A teraz zaraził nas swoją nadzieją – kontynuuje Rye. – Nadzieją na to, że my również możemy żyć tak, jak chcemy, z kimś, kto chce być z nami, a nie płaci po prostu za korzystanie z naszych ciał. Towarzysze nie są głupi, Violet. Przeszliśmy wszechstronny trening. Jesteśmy zdyscyplinowani. Daj nam jakiś cel, jakąś sprawę, która nas zjednoczy, a... – W mroku znów błyskają jego zęby. – Jesteśmy siłą, z którą trzeba się liczyć.

– Tak – mówię. – Wiem.

– A jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

– Mam zburzyć mur, który oddziela od siebie Bank i Klejnot.

Wpuszczę ludzi z zewnątrz do tego Kręgu. – Słowa przychodzą mi łatwo i pobrzmiwa w nich pewność, której nie słyszałam wcześniej.

Rye'owi opada szczęka.

– Sama?

– Nie. Z pomocą.

– Kto...

Unoszę dłoń.

– Wyjaśnię ci innym razem. – Nie mam teraz dość siły, by opowiedzieć mu o surogatkach i Paladynkach.

– Oczywiście. Późno już. Na pewno jesteś wyczerpana. – Rye podnosi się, gdy wstaję, uprzejmy jak zawsze. Podchodzę do niego i obejmuję go. Waha się przez chwilę, po czym odwzajemnia uścisk.

– Zaslugujesz na miłość – mówię cicho. – Wszyscy na nią zasługujecie.

Rye nie odpowiada, tylko ściska mnie raz jeszcze.

Gdy wreszcie docieram do własnego pokoju, ledwie mam siły, żeby ściągnąć przez głowę suknię. Padam na łóżko i natychmiast zasypiam. Nic mi się nie śni.

Kiedy budzę się kolejnego ranka, boli mnie ramię. Najwidoczniej spałam w jakiejś dziwnej pozycji.

Przetaczam się na plecy i wydaję głuchy jęk. Przez okna do komnaty wpadają promienie słońca.

Spoglądam na wiszący na ścianie zegar i gwałtownie się podnoszę. Za kwadrans dziesiąta!

– Szlag! – mamroczę, zakładając pospiesznie świeżą suknię i zwijając włosy w kok. Dzisiaj przyjeżdża Hierarcha. Mam ledwie godzinę, żeby ubrać i wyszykować Carnelian.

Rezygnuję z wyprawy do kuchni, uznając, że najwyżej przyniosę coś później, i nurkuję za arras z Diuszaśa nieopodal jadalni. Najszybciej jak umiem, wbiegam po schodach, a potem, wolniejszym już krokiem idę przez korytarz i trzy razy pukam do drzwi Carnelian.

– Spóźniłaś się – woła.

Uznaję to za pozwolenie wejścia. Siostrzenica Diuszesy siedzi na łóżku, trzymając na kolanach tacę ze zjedzonymi do połowy goframi. – Mary przyniosła mi śniadanie. Mój pokój nie ma połączenia z twoim, więc nie dałam rady się do ciebie dodzwonić. – Uśmiecha się krzywo. – Przy okazji, Mary cię nienawidzi.

Czuję przyływ irytacji.

– Ciebie też nienawidzi – odszczekuję.

Carnelian czerwienieje i wzrusza ramionami.

– Wszyscy mnie nienawidzą – konstatuje ponuro.

Nie mam czasu na wyrzuty sumienia. Na kłótnie również nie.

– Chodź – rzucam. – Wstawaj. Możesz mnie przez cały dzień rozstawiać po kątach. Na pewno poprawi ci to humor.

Carnelian szeroko się uśmiecha. Muszę jej pomóc wygrzebać się z pościeli, bo lekarz ciasno obandażował jej klatkę piersiową. Dostała również środki przeciwbólowe, tak więc ani zebra, ani ramię jej nie boją. Niestety, opatrunek sprawia, że Carnelian ma ograniczony zakres ruchów, więc zapakowanie jej w suknię trwa dłużej, niż to zazwyczaj bywa.

Jakimś cudem udaje nam się stawić w holu o 10:42. U szczytu głównych schodów czeka na nas odziany w czerń Rye. Kompletnie mnie ignorując, uśmiecha się do Carnelian i podaje jej ramię.

– Jak się czujesz? – pyta, pomagając jej zejść na dół.

– Nic mi nie jest – odpowiada Carnelian. – Cokolwiek dał mi doktor, działa. Ale nie ma mowy, żebym poszła wieczorem na jakieś przyjęcie.

– Jeśli się nie mylę, nie mamy na dzisiaj żadnych planów. Możemy robić, cokolwiek uznasz za stosowne.

W holu oddalam się grzecznie, by stanąć obok Cory. Rye i Carnelian dołączają do Diuszesy i Garneta, którzy czekają już przy frontowych drzwiach. Fontanna na środku pomieszczenia szemrze miarowo, a wokół niej zastygli w bezruchu obleczeni w czerń pałacowi służący. Nawet Zara stoi niczym posąg. Wygląda dziwnie bez swojego zwyczajowego fartucha. Czerwone kurtki Gwardzistów oraz białe suknie moja i Cory są jedynymi barwnymi plamami w morzu czerni.

Minuty mijają powoli. Dokładnie o jedenastej przed wejście

zajeżdża elegancki automobil. Na lekkim wietrze powiewają flagi umocowane nad przednimi światłami pojazdu. Herb królewskiego rodu znajduje się zarówno na nich, jak i na drzwiach automobilu.

Z pojazdu wyłania się Hierarcha i wchodzi do pałacu po wiodących doń schodach. Dwóch strażników z jego prywatnej gwardii nie odstępuje go na krok. Wszyscy w pomieszczeniu dygają i kłaniają się, gdy przekracza próg.

– Pearl – mówi władca czystym, mocnym głosem – przyjmij moje najszczerze kondolencje. Jak wspomniałaś w liście, zaiste jest to tragiczny czas dla Domu Jeziora.

– Dziękuję, wasza wysokość – odpowiada Diuszesa. – Dziękuję, że wasza wysokość uczynił mi ten honor i znalazł dla mnie czas.

Na ustach Hierarchy pojawia się uśmiech. I jest zaskakująco... miły. Władca ma krótko przyciętą, poznaczoną siwizną brodę, pod którą da się dostrzec mocno zarysowaną szczękę.

– Chciałaś się ze mną spotkać – mówi.

– Tak – mówi Diuszesa. – Jeśli wasza wysokość będzie łaskaw towarzyszyć mi do moich prywatnych komnat, tam będziemy mogli porozmawiać na osobności. Cora może przynieść nam przekąski...

– To nie będzie konieczne – oznajmia Hierarcha, powstrzymując dwórkę.

– Jak sobie wasza wysokość życzy. – Diuszesa znów dyga. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby była taka pokorna. – Proszę waszą wysokość za mną.

Wchodzą na schody, a strażnicy władcy podążają za nimi niczym cienie. W pewnym momencie Hierarcha odwraca się i odprawia ich ruchem dłoni.

– Zaczekajcie na mnie tutaj.

Mężczyźni wchodzą na piętro i znikają.

Mam wrażenie, jakby do tej pory wszyscy w pomieszczeniu wstrzymywali oddech. Pierwsi poruszają się Gwardziści. Pierwszy i Drugi zajmują pozycje przy schodach, a Czwarty i Piąty wspinają się na górę, żeby powitać strażników Hierarchy. Zara klaszcze w dłonie i po chwili wszystkie służki i podkuchenne maszerują za nią do kuchni. Garnet obraca się do Rye'a i Carnelian.

– Idę do biblioteki – oznajmia. – Kiedy Hierarcha skończy wizytę, znów będziemy musieli się tu stawić.

– Pójdę z tobą – mówi Carnelian. – Muszę wziąć jakąś nową książkę. – Spogląda na mnie z wymownym uśmieszkiem. – Chodź, Imogen.

Kiwam głową, starając się wyglądać na pełną szacunku.

– Jesteś smutny? – pyta Garneta Carnelian, gdy idziemy korytarzem. – To znaczy z powodu Coral.

– Oczywiście, że jestem smutny.

– Ale przecież jej nie kochałeś.

– To, że jej nie kochałem, nie znaczy, że chciałem, żeby umarła. – Mijamy jadalnię i skręcamy w prawo. – Cieszę się, że tobie nic nie jest.

– Dziękuję.

Nasz kwartet to naprawdę dziwna ekipa. Ja wiem o wszystkich. Garnet wie o Rye'u, który wie o nim, ale żaden z nich nie wie o Carnelian. Carnelian z kolei wie o mnie, ale nie ma pojęcia o Garnecie i Rye'u.

Ciekawe, czy tak właśnie czuje się przez cały czas Lucien...

– Jak myślisz, o czym rozmawiają? – pyta Carnelian.

Garnet wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Matka chce pewnie wykorzystać śmierć Coral – zacina się na tych słowach – na swoją korzyść. Coś na tym ugrać.

W bibliotece Garnet wyciąga się na jednej ze skórzanych kanap i zasłania oczy ramieniem. Carnelian i Rye przystają przy półce z książkami.

– Imogen, gorąco tutaj, a ja zapomniałam wachlarza – oznajmia mi nagle Carnelian. – Bądź łaskawa mi go przynieść.

Oho, coś czuję, że świetnie się bawi.

– Tak, panienko – odpowiadam ze sztywnym dygnięciem.

Odwracam się, mijam stół z symbolami arystokratycznych rodów, a potem rodzinny portret Garneta i jego umiłowanych rodziców. Nagle coś przychodzi mi do głowy.

Diuszesa powiedziała, że idzie do swoich prywatnych komnat. Kiedy po raz pierwszy szukałam Hazel, znalazłam sekretne schody, które zaprowadziły mnie do pokoju z fotografią rodziny Diuszesy.

Czułam się tam nie na miejscu, jakbym naruszyła czyjąś prywatność... Hmm... A co, jeśli właśnie tam Diuszesa zabrała Hierarchę?

Udaję, że wychodzę z biblioteki, a tak naprawdę skręcam w lewo i znikam między półkami. Cicho niczym duch przemykam do miejsca, w którym znajduje się książka Cadmiuma Blake'a, a potem wślizguję się do tunelu. Odnajduję właściwe schody i wspinam się na nie na palcach. Stłumione głosy podpowiadają mi, że miałam rację.

– Och, Onyksie – mówi Diuszesa. W ciszy, która następuje po tych słowach, słysząc dźwięk nie do pomylenia z niczym innym.

Diuszesa. Całuje. Się. Z. Hierarchą. Co?! Wiedziałam, że kiedyś byli zaręczeni, ale...

– Jestem wykończona tą szaradą – mówi po chwili.

– Wiem – odpowiada Hierarcha. – Ja też.

– Przyniosłeś to?

Słyszę szelest, a potem puknięcie, jakby coś położono na stole.

– Z jej prywatnej biblioteki – mówi władca.

– Nikt nie widział?

– Absolutnie. Nawet Lucien. Chyba wierzy, że to ona stoi za strzelaniną. A nawet jeśli ma wątpliwości, nie podejrzewa ani ciebie, ani mnie.

– To świetnie.

Usiłuję doszukać się sensu w tym, co mówią. To Diuszesa i Hierarcha zaplanowali atak na Hazel? Ale po co?

– Jest naprawdę piękny – mówi Diuszesa z cichym westchnieniem.

– Podarowałem go jej z okazji Najdłuższej Nocy, dwa lata temu. Publicznie. – Władca milknie na chwilę. – Nie sądzę, żeby to doceniła.

– Bo jej gusta są zbyt plebejskie.

Hierarcha parska śmiechem.

– Nie kocha historii tak jak ty. No i nie podziela twojego uwielbienia dla eleganckiej broni.

Broni? Serce podjeżdża mi do gardła. Co tu się u licha dzieje?

– Należał do twojego pradziadka, prawda? – pyta Diuszesa.

– Masz świetną pamięć. – W głosie Hierarchy wyczuwam uśmiech.

– Pamiętam wszystko, co dotyczy nas – mówi Diuszesa. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by brzmiała tak... Jak kobieta. Jak wrażliwa

kobieta. – Każdą sekundę. Zobaczyłam go po raz pierwszy, kiedy miałam trzynaście lat i włamaliśmy się do tej starej skrzyni, którą twój ojciec trzymał w jednej ze swoich komnat.

– Nieźle nam się za to oberwało.

Śmiech Diuszesy jest miękki, łagodny.

– Oj, nieźle. Ojciec przez tydzień nie wypuszczał mnie z pokoju.

– A ja przyjechałem po dwóch dniach i zażądałem, żeby cię wypuścił.

– O tak. Jestem pewna, że byłeś bardzo onieśmielający.

– Szczerze mówiąc, do dziś się dziwię, że nie wytargał mnie za uszy.

– Ja też.

Tym razem to Hierarcha się śmieje.

– Jestem pewien, że miał ochotę. Pewnie się domyślił, że mój ojciec nie przyjąłby tak łatwo do wiadomości, że jeden z jego podwładnych pozwolił sobie stłuc jego syna.

– Jak myślisz, co teraz pomyśleliby o nas nasi ojcowie? – pyta Diuszesa.

Przez chwilę panuje cisza.

– Właściwie to chyba zupełnie mnie to nie obchodzi – odpowiada wreszcie Hierarcha. – Po tym, co zrobili... Wtedy... To było nasze życie, Pearl. Nasze, a oni...

– Wiem – odrzeka łagodnie Diuszesa.

Słyszę, jak ktoś wyciąga korek z butelki i nalewa coś do szklanek.

– Onyksie, martwię się. A co, jeśli nam się nie uda? Co, jeśli nie uwierzą, że to była ona? Arystokracja musi się zakochać w pomyśle zaręczyn. Muszą chcieć połączenia naszych Domów na tyle mocno, by wściec się, gdy surogatka zostanie zamordowana.

Ona chce mnie zabić.

W uszach dźwięczą mi słowa Hazel. Ktoś w tym pałacu chce ją zabić. Tak. Myślałam się tylko co do tego, kto.

– Tak, myślałem o tym – mówi Hierarcha. – Twój Dom cieszy się ostatnio wielką sympatią, wszyscy ci współczują. Myślę, że moglibyśmy to wykorzystać.

– W jaki sposób?

– Myślę, że możemy połączyć Aukcję z zaręczynowym przyjęciem Larimara. Zrobimy z tego wielkie wydarzenie, nie takie małe przyjęcie, jak z okazji awansu Garneta. Niech to będzie bal stulecia. Zaprosimy wszystkich, każdego arystokratę.

– Oczywiście – zgadza się Diuszesa. – Cudowny pomysł. Ludzie będą zachwyceni. Zwłaszcza niezamężne kobiety, które w innych okolicznościach nie mogłyby przybyć. O tak. Przyjęcie na przyjęciu.

– Pokażemy się jako zjednoczeni wspólną sprawą. Nikt nie będzie miał wątpliwości odnośnie prawomocności tych zaręczyn. A potem, kiedy surogatka zginie, zamordowana sztyletem Wybranki, wszyscy arystokraci, niczym sfera głodnych wilków, rzucą się na swoją ofiarę.

– Och, kochanie... – mówi Diuszesa, po czym zniża głos tak, że nie słyszę, co szeptę.

– Mógłbym być lepszy – odpowiada jej Hierarcha głosem drżącym od emocji. – I tak by było. Gdybym miał ciebie u boku.

– Nie możemy odmienić przeszłości.

– Nie powinniśmy byli pozwolić...

– Ciii... – Słyszę szelest tkanin. – Niebawem. Po tym, jak Wybranka zostanie stracona za zdradę. Po roku czy dwóch wszystko ucichnie.

– Rok czy dwa to strasznie długo.

– Czekaliśmy przez dwadzieścia osiem lat – oznajmia Diuszesa. – Myślę, że damy radę poczekać jeszcze chwilę.

Nie rozumiem. Skoro tak bardzo się kochali, to dlaczego ich zaręczyny zostały zerwane?

Przez jakąś minutę panuje cisza, a potem Hierarcha odzywa się głosem tak cichym, że nie rozróżniam słów.

– Nie wiem – odpowiada Diuszesa tonem, w którym wyczuwam ból. – Nie dowiedziałam się. Było za wcześnie.

Za wcześnie na co? Mam ochotę wrzeszczeć.

– Tak mi przykro.

– Wiem, kochany – mruczy Diuszesa. – Wiem.

Słyszę kolejny pocałunek, a potem Hierarcha oznajmia:

– Powinienem wracać. Trzeba to ogłosić.

– Tak, oczywiście. – Diuszesa chichocze. – Założę się, że ten Krąg

po prostu oszaleje.

Dobiega do mnie odgłos kroków, a potem dźwięk zamykanych drzwi.

Osuwam się po ścianie i z bijącym jak szalone sercem przysiadam na szczycie schodów.

To, co się działo, cała ta intryga, strzelanina... Wszystko to ma tylko jeden cel: na powrót połączyć Diuszesę i Hierarchę.

A ceną za szczęśliwe dla nich zakończenie ma być śmierć mojej siostry.

Rozdział 22

Zgodnie z przewidywaniami Diuszesy i Hierarchy, obwieszczenie, że tegoroczna Aukcja będzie również zaręczynowym balem, sprawia, że cały Krąg pogrąża się w radosnym chaosie.

Do Pałacu Jeziora przychodzą niezliczone zaproszenia na przyjęcia koktajlowe, lunche oraz degustacje wina. Każdy Dom chce zwrócić na siebie uwagę Diuszesy. Tragiczne śmierci Diuka i Coral w połączeniu z obietnicą sojuszu rodu królewskiego i Domu Jeziora sprawiają, że nie ma w Kręgu nikogo popularniejszego od Diuszesy. Aukcja już jutro i w pałacu panuje atmosfera szalonego podekscytowania.

Od czasu wizyty Hierarchy nie rozmawiałam z Lucieniem, jednak dziś wieczorem odbywa się w Królewskim Pałacu poprzedzająca Aukcję kolacja dla członków Domów Założycieli. Na szczęście Carnelian również dostała zaproszenie, co oznacza, że uda mi się zobaczyć z Lucieniem po raz ostatni, zanim nasz świat zmieni się na lepsze lub gorsze.

Zaręczyny oznaczają, że również Carnelian będzie obecna na Aukcji. To dobrze. Po śmierci Coral nie miałabym jakiegokolwiek logicznego powodu, by brać udział w tym wydarzeniu.

Niższe Kręgi kipią niezadowoleniem. Strzelaniny, kradzieże, kolejne zamachy... Również na Farmie zrobiło się niebezpiecznie. Robotnicy w Dymie ogłosili strajk. Nie rozmawiałam sam na sam z Rye'em, nim jednak pójdę przygotować Carnelian na ważną kolację, udaje mi się porozmawiać chwilę na osobności z Garnetem. Garnet mówi mi, że Rye się z nim skontaktował i że bardzo się cieszy, że możemy liczyć na wsparcie Towarzyszy.

– To zręczni stratedzy – wyjaśnia, poprawiając krawat. – I umieją walczyć. Kiedy wy, Paładynki, zaczniecie siać chaos, musimy być gotowi do działania. Wychodzi na to, że szlachta sprezentowała nam broń idealną.

Szybko referuję Garnetowi rozmowę między jego matką i władcą, którą podsłuchałam.

Garnet gwizdże z uznaniem.

– No cóż, nie mogę powiedzieć, żebym był zdumiony. Od lat się w nim kocha. Nie słyszałaś, dlaczego zaręczyny zostały zerwane?

– Nie, ale nie o to chodzi – przypominam. – Hazel jest celem.

– Tak. To się stanie na Aukcji. A raczej się nie stanie, bo matka nie będzie miała najmniejszych szans. Wszyscy będą zbyt zajęci walką ze Sprzysiężeniem.

Mam nadzieję, że się nie myli.

Pałac królewski jest rzęsiście oświetlony i przypomina wielki, strzelający w niebo płomień. Wszystko jest gotowe na jutrzejszą Aukcję.

Po raz pierwszy od dnia, w którym udało się jej uciec, miałam okazję zobaczyć Hazel. Diuszesa prowadziła ją na smyczy, zakwefioną, do czekającego na podjeździe automobilu. Siostra ledwie mi mignęła, ale to wystarczyło, by zabolalo mnie serce. Ale... Mam czas. Hazel wciąż żyje i zrobię wszystko, by nikt nigdy już jej nie zagroził.

Przyjeżdżamy w tym samym czasie co Hrabina Róży. Wchodząc po schodach, kobieta ciężko wspiera się na lasce. Włosy ma zebrane na czubku głowy i ozdobione żywymi różami. Jej dwórka jest równie wiekowa jak ona, jej włosy są tak samo siwe.

– Wszyscy o tobie mówią, Pearl – oznajmia z uznaniem Hrabina na widok Diuszesy. Słucham jej uważnie, choć patrzę tylko na moją siostrę. Gdy odwzajemnia spojrzenie, leciutko kiwam jej głową. Hazel robi to samo i wbija spojrzenie w jakiś punkt przed sobą. – Tego zawsze chciałaś.

– I tu się właśnie mylisz, moja droga Ametrine – mówi Diuszesa, patrząc na drzwi pałacu. – Tak naprawdę zawsze pragnęłam tylko jednego. I nie była to wygrana w konkursie popularności.

Gdy tylko wchodzimy, lokaj zabiera płaszcze i kapelusze arystokratów i prowadzi ich do jadalni. Póki mogę, śledzę wzrokiem Hazel. Gdy już, już wszyscy mają skręcić za róg, siostra posyła mi ostatnie spojrzenie. Potem znika.

– Chodź ze mną, Imogen – komenderuje Cora. Gdy się obracam, dostrzegam wspinającą się po schodach Hrabinę Kamienia, której towarzyszy drobny, chudy mężczyzna. To pewnie Diuk. Ciekawe, czy Emile też się dzisiaj zjawi.

Idę za Corą i starszą dwórką, które najwyraźniej świetnie orientują

się, co robić, do komnaty z kolorowymi kanapami w odcieniach brzoskwini, turkusu, szmaragdu i lili. Stoi tu kilka stołów zastawionych przekąskami oraz karafki z wodą. Jedna z dwórek już tutaj jest. To mężczyzna. Musi służyć Diuszecie Łusek, bo tylko jej do tej pory nie widziałam.

– Och, Olivier – mówi Cora i podchodzi do niego. – Jak miło cię widzieć. Poznałeś już Imogen?

Olivier jest pulchny, uśmiechnięty i ma marchewkowo pomarańczowy koczek.

– Zatrudniono cię dla Coral, prawda? – pyta, witając się ze mną. Ma aż nienaturalnie miękką dłoń.

– Tak. Ale teraz służę Carnelian.

– To smutne. – Olivier wzdycha i zwraca się do Cory. – Ostatnich kilka tygodni było straszne dla twojego Domu. Zamiana Aukcji w przyjęcie zaręczynowe to znakomity pomysł. Właśnie tego potrzebujemy, żeby odzyskać ducha.

– Jestem zaskoczona, że Diuszesa przyprowadziła surogatkę – oznajmia siwowłosa dwórka, dołączając do nas z talerzem sera i owoców. – Przecież martwiła się Wybranką.

– Och, Eloise, daj spokój – rzuca Olivier. – Wybranka nigdy nie odważyłaby się skrzywdzić surogatki w swoim własnym domu.

– Nie założyłbym się – oznajmia skrzekliwy, suchy głos od drzwi.

Wiem, kto to jest. Nawet nie muszę patrzeć. Raven długo opowiadała mi o Fredericu, o jego głosie, przekrwionych dziąsłach, łzawiących oczach i krogulczym nosie. Mężczyzna podchodzi do stołu i odrywa winogrono z leżącej w srebrnej misce kiści.

– Eloise. Olivier. – Kiwa im krótko głową.

– Och, cudownie widzieć, że jesteś już na nogach – mówi beznamytnie Cora. – Brakowało nam cię na przyjęciu Garneta.

– Strasznie żałowałem, że nie mogłem przyjść – odpowiada nieszczerze Frederick. – Aczkolwiek wolę nieco mniej krwawe atrakcje.

– Doprawdy? – syczy Cora. – A miałam wrażenie, że jest dokładnie odwrotnie.

Eloise i Olivier sprawiają wrażenie zakłopotanych, ale Frederick tylko lekko się uśmiecha. Wtedy je widzę. Obrzydliwe, przekrwione

dziąsła, które opisywała mi Raven. Uśmiech mężczyzny nie jest przyjemny. To grymas, w którym czają się pogarda i szczerze życzenia wszystkiego najgorszego. Frederic wrzuca do ust winogrono i żuje je z namysłem.

– Hrabina ma zamiar kupić w tym roku kolejną surogatkę? – pyta Olivier, starając się nieco rozluźnić atmosferę.

– Oczywiście. Straszna szkoda, że ta ostatnia... No cóż, to był ciekawy egzemplarz.

Tak. Raven mówiła mi, że nazywali ją „czymś”. A jednak wiedzieć o tym i słyszeć coś takiego to dwie różne rzeczy. Zaciskam dłonie w pięści, walcząc z przemożnym pragnieniem, by połączyć się z Powietrzem i cisnąć Frederickiem przez całą komnatę.

– Och, dobrze, jesteście już wszyscy.

Odwracam się i widzę Luciena.

– Witajcie, witajcie. Kolejny rok, kolejna Aukcja. Choć w tym roku, jak się zdaje, możemy spodziewać się pewnych niespodzianek.

O tak, całe mnóstwo niespodzianek, myślę. Lucien patrzy na mnie przez ułamek sekundy i wiem, że dokładnie to samo chodzi mu po głowie.

– Zaiste – zgadza się Olivier, przestępując z nogi na nogę. – Aukcja połączona z przyjęciem zaręczynowym? Zaproszenia dla całego Klejnotu?

– Diuszesa bez wątpienia łaknie uwagi – komentuje Frederick.

– Za to Hrabina to wcielenie skromności – odszczekuje mu Cora.

– Musimy być w jak najlepszej formie – ciągnie Lucien, ignorując docinki. – I musimy opiekować się naszymi paniami. Czasy są niespokojne, niższe Kręgi aż się gotują, dlatego musimy być czujni i przygotowani na wszystko. Nie możemy pozwolić sobie na chwilę nieuwagi.

Gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę, uznałabym, że Lucien autentycznie troszczy się o zdrowie arystokratek. Nagle wskazuje mnie palcem.

– Ty – oznajmia. – Carnelian cię potrzebuje. Chodź ze mną.

Z sercem w gardle wychodzę za nim z komnaty. Spodziewam się, że zaprowadzi mnie daleko od pokoju z kanapami, może do swojego

warsztatu, ale Lucien ma inne plany. Wchodzimy do komnaty, którą od dwórek oddziela tylko jedno pomieszczenie.

– Wiesz, jak tutaj dotrzeć? – pyta.

– Tak – odpowiadam zaskoczona. – Lewy korytarz, a potem prosto, zgadza się?

– Tak. – Pokój nie jest wielki, to właściwie coś w rodzaju poczekalni. Pustej, jeśli nie liczyć okrągłego, niebieskiego dywanu i obrazu przedstawiającego puszystego białego psa siedzącego na pluszowej pufie. Lucien odchyła malowidło. W ścianie jest otwór wystarczająco duży, bym przez niego przeszła. W mroku mającą schody.

– Dojdiesz tędy do mojej komnaty – wyjaśnia Lucien. – Zostawiłem znaki, które ci to ułatwią. Chciałem być pewien, że znajdziesz mój warsztat, jeśli... Jeśli tak będzie trzeba.

Serce ściska mi się w piersi. Lucien przesuwając obraz i pokój znowu wygląda zwyczajnie.

– To już czas – szepczę.

– Tak, już czas – powtarza za mną, a potem kładzie mi dłonie na ramionach. – Cokolwiek zdarzy się jutro, cokolwiek przyniesie nam przyszłość... Próbowaliśmy. Próbowaliśmy zrobić coś odważnego. Coś dobrego.

– Zmienić świat.

Lucien uśmiecha się łagodnie.

– Nasz mały kawałeczek świata.

Również się uśmiecham. Lucien tak wiele dla mnie znaczy, a ja nie wiem, w jaki sposób podziękować mu za to, co dla mnie zrobił. Na szczęście on zdaje się rozumieć moje uczucia, bo zamyka mnie w pachnącym frezją uścisku.

Kiedy wychodzimy na korytarz, podbiega do nas jeden z lokajów.

– Lucienie, chodź ze mną. Arabelle przypaliła paszteciki z sarniną, a Robert i Duncan znów skaczą sobie do gardeł. Błagam. To jakiś cyrk!

Lucien szczypie się w grzbiet nosa.

– Akurat dzisiaj – mruczy z irytacją i rusza za lokajem. Po chwili obydwaj znikają za jednym z arrasów.

Zostałam sama. Mam zamiar wrócić do reszty dwórek, kiedy nagle

mój wzrok przykuwa błysk światła.

Drzwi ze złotą klamką po drugiej korytarza nie są zamknięte. Nie umiając zwalczyć ciekawości, popycham je i wślizguję się do komnaty.

Pokój jest większy, niż się spodziewałam i pełen... mnie.

Na wszystkich ścianach wiszą zwierciadła odbijające moją zaskoczoną twarz. Nie, nie moją. Z luster patrzy na mnie blondynka o szerokim czole i szeroko rozwartych zielonych oczach. Zupełnie obca osoba.

Okrażam komnatę, przyglądając się mojej a zarazem nie mojej twarzy spoglądającej na mnie z kolejnych luster. Z małego zwierciadła zdobionego macią perłową, z kwadratowego, z którego rogów wystają złote róże, z długiego, prostokątnego z ramą wysadzaną perłami.

Nagle serce zamiera mi w piersi. Patrzę na proste, kwadratowe lustro oprawione w srebro. Na samym jego środku znajduje się symbol drzewka, do złudzenia przypominającego drzewko cytrynowe, które rosło na podwórzu mojego domu w Bagnie. To, które nigdy nie zaowocowało, póki nie użyłam na nim trzeciej Augurii, Wzrostu. To było w Dniu Obrachunku. Sprawiałam, że na drzewku wyrosła cytryna. Dla Hazel. Żeby mnie pamiętała.

A teraz Hazel siedzi w przepysznej jadalni, na szyi ma obrozę, a jej smycz trzyma kobieta, która planuje ją zabić.

Cofam się o krok. I o kolejny. I kolejny, aż wreszcie staję na środku komnaty. Setki par oczu patrzą na mnie ze ścian.

Nie jestem tą dziewczyną w zwierciadłach. Nie jestem blondynką w białej sukni dwórki. Jestem Violet Lasting. Jestem Paladynką i mogłabym w jednej chwili zniszczyć ten pokój.

I chcę to zrobić. Desperacko tego pragnę.

Bez trudu łączę się z żywiołem, przyzywam do siebie Powietrze; czuję, jak wiruje wokół mnie, niespokojne, pełne wyczekiwania, chętne, by mi odpowiedzieć.

Niszcz, myślę. Obraz tego, co chcę uczynić, jest tak wyrazisty jak chyba nigdy, gdy jeszcze używałam Augurii. Augurie... O ileż silniejsze są od nich żywioły! Odpycham od siebie Powietrze, które uderza idealnie w środek każdego z luster. Mam wrażenie, jakbym leciała w stu kierunkach jednocześnie, jakbym własnymi rękoma zostawiała na

wszystkich zwierciadłach znaki, które pozostawić pragnę.

Na wszystkich, poza jednym.

Wreszcie, wsłuchana w dźwięk osypującego się na ziemię szkła, uwalniam żywioł. Lustro z drzewem cytrynowym pozostało nietknięte i widzę w nim moje i nie moje zielone oczy.

Na pozostałych lustrach, ukształtowane z resztek szkła, widnieją tak dobrze mi znane, charakterystyczne znaki.

Symbole klucza.

Z zachwytem rozglądam się po komnacie. Otacza mnie nieprzeliczona ilość Kluczy, a każdy zniekształca moje odbicie, nadając mu groteskowy wygląd. Nigdy wcześniej nie byłam z siebie taka dumna. Nigdy wcześniej nie byłam tak pewna siebie i mocy, którą posiadam.

Naznaczyłam tę komnatę. Naznaczyłam ją dla Sprzysiężenia. Jutro arystokracja poczuje naszą furję.

Rozdział 23

Poranek w dniu Aukcji jest chłodny, ale słoneczny.

Na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmurki, a ogród wygląda na zieleńszy nawet niż zazwyczaj. Moje palce drżą, gdy ostrożnie, tak, by nie sprawić bólu Carnelian, sznuruję gorset jej sukni. Co i raz upominam się, że powinnam oddychać.

– Wszystko w porządku? – pyta Carnelian, gdy po raz trzeci poprawiam koronki.

– Tak, tylko... – Potrząsam głową. – Nie lubię Aukcji.

– No tak – mruczy Carnelian, krzywiąc się.

Kończę ją ubierać w milczeniu.

Rye czeka pod drzwiami jej pokoju. Z wymuszonym uśmiechem podaje Carnelian ramię.

– Coś nie tak? – pyta dziewczyna.

– Słyszałem coś w kuchni. Szepty. – Rye rzuca mi przelotne spojrzenie i włoski na karku stają mi dęba. – Coś się wydarzyło, ale co... Nie wiem. Kiedy wszedłem, wszyscy zamilkli.

– Coś się stało mojej ciotce? – rzuca Carnelian.

Coś się stało mojej siostrze?, mam ochotę zapytać.

Rye wzrusza ramionami.

– Nie wiem. – Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na jego ustach pojawia się uśmiech. – Na pewno nie możesz się doczekać swojej pierwszej Aukcji – mówi gładko do Carnelian.

W drodze do holu Rye i Carnelian rozmawiają. Idę za nimi niespiesznie, z mocno bijącym sercem, które jeszcze przyspiesza, gdy spostrzegam pełen zadowolenia uśmiech Diuszesa. Nic, co uszczęśliwia tę kobietę, nie może być dobre dla mnie.

Czymkolwiek nie cieszyłaby się Diuszesa, nie wydaje się, żeby dotyczyło to jakoś Hazel. Przynajmniej jeszcze nie. Moja siostra znów jest na smyczy, ma jednak na sobie dość ekstrawagancką kreację z błękitnego i srebrzystego jedwabiu wyszytą perłami i szafirami. Jej twarz ocienia welon przytrzymywany przypominającą koronę opaską ze splecionych wstęg złota wysadzanych diamentami. Gdy fiołkowe oczy

Hazel napotykają moje, dostrzegam w nich ogień. Choć moja siostra nie ma pojęcia o planach Diuszesy, wie, co oznacza dzień Aukcji.

Jedziemy na Aukcję dwoma samochodami. W naszym panuje gęsta, pełna napięcia atmosfera. Nogi odzianego w mundur Gwardzisty Garneta nie przestają nerwowo drżeć, a Rye jest zbyt sztywny, by choć udawać zrelaksowanego. Patrzę na przesuwane się za oknem pałace, a w ustach mam tak sucho, że trudno mi przełykać. Chciałabym wiedzieć, dlaczego służba była zmartwiona, a Diuszesa wyraźnie podekscytowana, ale nie mogę się teraz rozpraszać. Muszę się dostać do podziemnej stacji. Całą noc czekałam, aż odezwą się arkana. Chciałam usłyszeć głos Raven albo Sil, albo Luciena. Ale kamerton milczał jak zaklęty.

Kiedy zajeżdżamy na miejsce, spostrzegam, że na trawniku przed Domem Aukcyjnym postawiono niewielkie podwyższenie, a na jego środku blok marmuru inkrustowany złotem i rubinami. Nie mam pojęcia, co to jest. Rye i Carnelian wydają się równie zaskoczeni, Garnet zaś... W oczach Garneta widzę nie tylko konsternację, ale również przerażenie.

Przed Domem Aukcyjnym zebrał się już tłum, ale nie jest to wesołe, roześmiane towarzystwo, jakiego się spodziewałam. Arystokraci zbili się w grupki na otaczającym różowy budynek trawniku i szepczą do siebie. Kiedy wysiadamy z samochodu, docierają do mnie urywki prowadzonych przyciszonym tonem rozmów.

– Nigdy bym nie pomyślała...
– Kiedy tylko wrócę do domu, przesłucham moją dwórkę.
– A tak mi pomógł zdobyć zaproszenie na bal z okazji Najdłuższej Nocy!

Serce podjeżdża mi do gardła i ani myśli opaść. Mam wrażenie, że za moment się uduszę. Po plecach przebiega mi dreszcz przerażenia. Coś jest bardzo, bardzo nie tak.

Gdy się zbliżamy, tłum rozstępuje się przed nami i milknie. Wszyscy kłaniają się Diuszesie i dygają przed nią. Jesteśmy ledwie kilka metrów od marmurowego bloku, kiedy obok nas pojawia się Hrabina Róży.

– Słyszałaś? – pyta Diuszesę, wachlując się wachlarzem z różowych piór. – Znaleźli go. Przywódcę tego koszmarnego

Sprzysiężenia Czarnego Klucza.

Mam wrażenie, jakby czas nagle zwolnił swój bieg, jakby upiorne słowa Hrabiny brzmiały i brzmiały w nieskończoność. Czekam, skamieniała, niezdolna mrugnąć czy oddychać, jakby moje ciało zamieniło się w skorupę po brzegi wypełnioną lękiem.

– To Lucien – oznajmia Hrabina.

Ziemia osuwa mi się spod stóp. Upadłabym, gdyby ktoś mnie nie przytrzymał. Garnet.

Na jego twarzy aż za dobrze widać strach i wiem, że ja muszę postarać się bardziej. Mój świat mógł się właśnie zawalić, ale dziś chodzi również o setki, tysiące innych światów. Musimy być silni. Musimy być odważni.

Niemal udaje mi się przekonać samą siebie, że dam radę, gdy na schodki prowadzące na podwyższenie wchodzi kat. Mężczyzna ma na twarzy czarną maskę, a u pasa srebrny topór. Nie umiem odwrócić wzroku od tej broni, jak zahipnotyzowana patrzę na ostrą krawędź stali odbijającą słoneczne światło. Wiem, do czego służy ten topór, a jednak wciąż nie chcę przyjąć tego do świadomości.

– Lucien? – pyta z niedowierzaniem Diuszesa. – Słyszałam, że schwytano przywódcę, ale... No, naprawdę, kto by pomyślał. Lucien? Zawsze wydawał się taki...

– Posłuszny? – Hrabina Kamienia nachyla się ku Diusziesie, a jej wielkie piersi o mało nie wyskakują ze stanika brązowej sukni. – Winni są zawsze ci, którym ufasz najbardziej.

– Jak się dowiedzieli? – pyta Diuszesa.

– Najwyraźniej chciał naznaczyć królewski zamek. Roztrzaskał wszystkie lustra w Komnacie Odbić i zostawił na nich te swoje klucze.

Klucze... Moje klucze! Kiedy ktoś je odkrył, Lucien wziął winę na siebie.

A myślałam, że mój świat się zawalił, kiedy usłyszałam, że Luciena schwytano.

Ale to było nic... Nic w porównaniu z tym, że schwytano go przeze mnie. Dom Aukcyjny rozmazuje mi się w oczach, a moje płuca kurczą się o połowę. Nie mogę zaczerpnąć tchu!

To moja wina. Moja wina. Moja wina...

Arystokraci wciąż rozmawiają, ja jednak słyszę tylko szum. O czym myślałam wtedy, w pokoju pełnym zwierciadeł? Co sobie wyobrażałam? Po co to zrobiłam? Byłam nieostrożna, głupia... Lucien... Lucien nigdy taki nie był. Lucien jest cierpliwy i ostrożny. Miły i szczodry. Ocalił mi życie i uświadomił, kim naprawdę jestem i do czego jestem zdolna. Opiekował się mną jak starszy brat, jak ojciec.

A ja go zawiodłam. W jednej chwili, w nagłym przypiływie aroganckiej pewności siebie wszystko zepsułam.

Nagle przez mgłę osnuwającą mój umysł przebija się dźwięk. Grają trąbki. Na platformę wchodzi Hierarcha i Wybranka odziani w szkarłat, czerń i złoto, swoje herbowe barwy. Wybranka wygląda na oszołomioną. Hierarcha ma ponurą minę. Przez moment patrzy na Diuszesę, po czym przenosi wzrok na tłum i unosi dłoń. Cichną ostatnie szepty.

– Drodzy zebrani – zaczyna dźwięcznym głosem. – Arystokraci Samotnego Miasta. Odkryliśmy w naszych szeregach zdrajcę. – Obraca się do kogoś, kto stoi poza zasięgiem mojego wzroku. – Przyprowadźcie go.

Garnet kładzie dłoń na kolbie pistoletu, ale przecież niczego nie możemy zrobić. Kiedy Lucien zostaje wprowadzony na platformę, z ogromnym trudem powstrzymuję się, żeby nie wrzeszczeć, żeby go nie wołać.

Lucien kuleje i ma rozcięte czoło. Jedno jego oko jest sine i opuchnięte. Zamiast tradycyjnej sukni dwórki ma na sobie jutowy worek przewiązany w pasie kawałkiem sznura. Jego stopy są bosa i brudne, ręce zaś związane. Prowadzi go dwóch Gwardzistów. Jeden z nich popycha Luciena, a wtedy on potyka się i niemal traci równowagę. Tłum zaczyna się śmiać i pokrzykiwać.

Nagle spostrzegam, że Lucienowi ogolono głowę, jego koczek znikł. Bez niego Lucien sprawia wrażenie o wiele młodszego.

– Ten człowiek, znany wcześniej jako Lucien z Królewskiego Pałacu, winny jest zdrady i podburzania do buntu – oznajmia Hierarcha, gdy Gwardzista podprowadza Luciena do marmurowego bloku. – Udowodnione zostało, że jest przywódcą rebelianckiego stowarzyszenia mianującego się Sprzysiężeniem Czarnego Klucza. Cięży na nim

odpowiedzialność za wszystkie akty okrucieństwa, których dopuszczono się w niższych Kręgach, i za ataki na dobra arystokratów położone tamże, co jest jednoznaczne z atakiem na sam Klejnot. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że stojący przed wami jest winny. Karą za jego zbrodnie jest śmierć.

Mdli mnie, żołądek zwija mi się w supeł, gdy Gwardzista zmusza Luciena, by ukląkł. Serce tłucze mi się w piersi, a z każdym jego rozpaczliwym uderzeniem w mojej głowie niesie się jedno słowo:

Nie, nie, nie, nie, nie...

Z wyrazem zniesmaczenia na twarzy Hierarcha obraca się do swego byłego sługi.

– Czy chcesz powiedzieć przed śmiercią jakieś ostatnie słowa? – pyta.

Niebieskie oczy Luciena lustrują tłum. Na widok Garneta rozbłyskują lekko, potem zaś przesuwają się na mnie. Mam wrażenie, jakby Lucien cieszył się, że tu jestem.

– To wszystko tylko i wyłącznie moja wina – mówi wreszcie powoli, starannie dobierając słowa. – Biorę pełną odpowiedzialność za moje czyny. I nie przepraszam za zbrodnie, których się dopuściłem. To, co uczyniłem, uczyniłem z miłości do tego miasta, do wszystkich zamieszkujących je ludzi. Niższe Kręgi od zbyt dawna są źle traktowane. Arystokracja odbiera nam synów i córki, a potem zmusza ich do służby, rujnując ich sny i marzenia, a wszystko to w imię czego? W imię zaspokojenia zachcianek, w imię żądzy posiadania. To był najwyższy czas, żeby zapłacili za swoje czyny. Nie wstydzę się tego, co zrobiłem. – Wzrok Luciena znów zatrzymuje się na mnie. – I biorę na siebie całą winę.

Potrząsam głową, bo przecież to nie jego wina, tylko moja! Żal, ból i wstyd zdają się rozszarpać moje płuca i serce na kawałki. To ja powinnam kłaść głowę pod topór, nie Lucien. To miasto go potrzebuje. Ja go potrzebuję.

Na wargi Luciena wkrada się cień uśmiechu, a w jego oczach dostrzegam przebaczenie. W tej chwili nienawidzę się jeszcze bardziej, tak bardzo, że nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Nienawidzę siebie bardziej niż Diuszesy, niż Aukcji, niż tego przegniłego, obsypanego

brokatem Kręgu.

Kiedy Lucien znów się odzywa, mam wrażenie, jakbyśmy byli tu sami, jakby mówił tylko do mnie, jak wtedy, w dniu, kiedy go poznałam w gotowalni Domu Aukcyjnego. W dniu, który na zawsze odmienił moje życie.

– To dopiero początek – oznajmia Lucien, powtarzając słowa swojej siostry, które słyszałam wiele miesięcy wcześniej w Bramie Południowej. Uśmiecha się leciutko. – Nie boję się.

Potem spokojnie kładzie głowę na zimnym marmurze, jakby to była poduszka. Łzy napływają mi do oczu. Gorące łzy wstydu, których nie jestem godna wypłakać.

Topór przecina powietrze z cichym sykiem. Krew plami biel kamienia, spływa na rubiny i złote zawijasy.

Stoję jak sparaliżowana. Tłum wokół mnie znów zaczyna szemrać, ale rzeczywistość po prostu do mnie nie dociera. Patrzę, jak Gwardziści ściągają ciało Luciena z platformy. Kolejny idzie za nimi z koszem w dłoniach. Służący usuwają marmurowy blok, a Hierarcha klaszcze w dłonie i ogłasza coś, czego nie słyszę, bo dla mnie cały świat pogrążył się w absolutnej ciszy. Zebrani ruszają przed siebie, opływają platformę i suną w stronę Domu Aukcyjnego. Daję się ponieść nurtowi tej ludzkiej rzeki, choć nogi mam jak z drewna, choć nie wiem, jak się chodzi, jakby wraz ze śmiercią Luciena zasady rządzące światem zmieniły się na takie, których nie umiem pojąć.

Czuję dotyk na ramieniu i unoszę głowę. To Garnet. Jego oczy pełne są łez i dopiero widząc to, odkrywam, że ja również płaczę. Przed nami idzie Diuszesa, prowadząc Hazel na smyczy, zaraz za nią zaś Rye i Carnelian. Obydwoje wydają się oszołomieni i zagubieni, ale to przecież nie ich świat roztrzaskał się na kawałeczki.

Garnet skinieniem głowy wskazuje rozwarte odrzwia Domu Aukcyjnego i spogląda na mnie płonącymi oczyma.

– Dla niego – szepce.

Myślałam, że na zawsze straciłam dar mowy, ale moje usta, jak się okazuje, działają niezależnie od mózgu.

– Dla niego – chrypię. Garnet mruga, pociera oczy i puszcza mój łokieć. Ja również ocieram twarz. Później będę opłakiwać Luciena.

Później ukarzę samą siebie za sprowadzenie na niego śmierci. Na ten dzień wszyscy czekaliśmy. Nie zawiodę Luciena, nie teraz, w tej kluczowej chwili.

Hol Domu Aukcyjnego jest gigantyczny. Sufit wykonano ze szkła, tak więc do komnaty wpada światło i obmywa pokrytą skomplikowanymi mozaikami podłogę. W środku pomieszczenia znajduje się wielka fontanna z olśniewającą statua Diamanty Wielkiej, Wybranki, która zapoczątkowała tradycję Aukcji. Z wyciągniętych ramion posągu spływają strumienie wody. Wśród gości spacerują kelnerzy, oferujący różowe i błękitne koktajle. Arystokraci przechadzają się po komnacie i rozmawiają o egzekucji, jakby była dodatkową atrakcją tego dnia.

Wbrew sobie myślę o zeszłorocznej Aukcji. Kiedy Lucien mnie przygotowywał, kiedy siedziałam w poczekalni z Dahlią, na górze działo się to samo, co teraz.

Na podwyższeniu stoją trzy ozdobne krzesła, trony. Hierarcha zasiada pośrodku, zaś po obydwu jego stronach siedzą Wybranka i Diuszesa. Hazel stoi za Diuszesa i patrzy na mnie, a obroża na jej szyi lśni i błyszczy niczym wstrętą parodią pięknego naszyjnika. Jestem naprawdę wdzięczna losowi, że Larimar, jak się zdaje, nie otrzymał zaproszenia na własne przyjęcie zaręczynowe. Być może arystokracja uznała dzieci za zbędny dodatek.

Zebrany przygrywa orkiestra, a pomiędzy gośćmi spacerują żonglerzy i akrobaci wyczyniający swoje sztuczki. Jest dokładnie tak, jak to opisała Coral.

– Gwardziści, którzy mają odebrać surogatki, będą na dole najwcześniej za dziesięć minut – szeptem Garnet zwrócony do mnie plecami, by nie zwracać na siebie uwagi. – Przystawiliśmy wszystkie zegary, więc Gwardia myśli, że nadal ma czas. Pociągi lada chwila będą na miejscu. Powinnaś się pospieszyć.

– Hazel – mówię cicho, spoglądając na siostrę. Wiem, że muszę iść, ale nie chcę jej tak zostawić. Co, jeśli zostanie zabita, zanim nasza rewolucja na dobre się zacznie?

– Będę jej pilnował tak długo, jak to możliwe – zapewnia mnie Garnet. – Idź.

Poczucie winy i żal znikają, zgniecione na pył innym uczuciem. Strachem.

To się dzieje naprawdę.

Carnelian zajęta jest Rye'em i Hrabinią Róży, wykorzystuję więc okazję, by się wymknąć.

Stacja kolejowa położona jest na najniższym poziomie Domu Aukcyjnego. Bez trudu znajduję właściwe drzwi. Są dokładnie tam, gdzie widziałam je na planach – wschodni korytarz, trzecie wejście po lewej. Wchodzę do niewielkiej komnaty, właściwie przedpokoju, i zmierzam do kolejnych drzwi, za którymi kryją się schody. Zbiegam na dół, mijając dwa poziomy, na których znajdują się gotowalnie, i kolejny, przypominający ul, gdzie surogatki pozbawia się przytomności przed przewiezieniem ich do nowych domów. W dół, w dół, w dół, ciągle w dół, aż wreszcie schody kończą się w kamiennym korytarzu. Przypominam sobie plany Luciena.

W prawo.

Skrećam i puszczam się pędem ku wielkim drewnianym wrotom, które zaprowadzą mnie na stację, do Raven i innych. Po drodze mijam windę towarową, którą nieprzytomne surogatki wwożone są do gotowalni.

Wreszcie widzę drzwi. Wpadam na nie, naciskam klamkę i otwieram je szeroko akurat w chwili, w której na stację zajeżdża ostatni pociąg. W tych pociągach nie ma żywej obsługi, nie ma konduktorów, wagony sterowane są automatycznie. Mam nadzieję, że dziewczyny dały sobie radę z doktorami i opiekunkami. Gwardziści jeszcze nie zeszli, dokładnie tak, jak zapowiedział Garnet.

Pociąg hamuje ze zgrzytem, a wyrzucana kominem para spowija pomieszczenie lekką mgiełką. Jedne po drugich zamykają się żelazne wrota prowadzące do wnętrza budynku, a huk niesie się echem w pustym, przypominającym jaskinię pomieszczeniu. Spoglądam w górę. Wyłożony kamieniami w odcieniach czerni oraz ciemnej i jasnej szarości sufit dworca wznosi się ostro w górę, tworząc niemal szpic, z którego zwieszają się na grubych łańcuchach ciężkie żelazne żyrandole. Świetlne kule rzucają na ściany żółtą poświatę.

Nie mam czasu na ostrożność.

– Paladynki! – wołam.

– Violet? – Kiedy słyszę głos Raven, czuję radość tak wielką, że nie sądziłam, bym jeszcze kiedyś była do niej zdolna. Raven wychyla się ze śliwkowego, należącego do Bramy Południowej pociągu. – Violet! – krzyczy i wyskakuje z wagonu.

Nie umiem powstrzymać dobywającego mi się z piersi okrzyku, który brzmi bardziej jak zdławione wycie. Biegnę na spotkanie Raven i w pół drogi wpadamy sobie w ramiona.

– Nic ci nie jest – szepce Raven, przyciskając mnie mocno do siebie i przesuując rękoma po moich plecach, jakby chciała się upewnić, że jestem cała.

– Lucien nie żyje – mówię. Moje własne słowa są jak uderzenie w splot słoneczny. Ale tak właśnie jest. Lucien nie żyje.

– Co? – wydusza z siebie Raven. Nie mam czasu opowiedzieć jej, co się stało, bo przez okna pociągu wyglądają kolejne dziewczyny i po chwili podziemna stacja zaludnia się niedoszłymi surogatkami, które rozglądają się w zdumieniu po ogromnej komnacie.

– Violet – mówi ktoś. Nagle kolejne dziewczęta podchwytyją moje imię i po chwili ich głosy zaczynają odbijać się echem w zamkniętej przestrzeni. – Violet! Violet! Violet tu jest!

Chcę płakać. Chcę wrzeszczeć. Chcę je wszystkie objąć. Chcę im powiedzieć: niech szlag trafi mur, rozwalimy ten Dom Aukcyjny tu i teraz, ukarzymy arystokrację za zamordowanie mężczyzny, który był o wiele lepszym człowiekiem niż ktokolwiek z nich mógłby się kiedykolwiek stać.

– Violet, jak się cieszę... – Indi zamyka mnie w jednym z tych swoich uścisków. – Zapomniałam o twoich włosach i twarzy. W ogóle siebie nie przypominasz!

Podbiegają do nas Sienna i Olive. Za nimi idzie Sil.

– Słyszałyśmy o Coral – mówi Sienna w tym samym momencie, w którym Olive pyta:

– Widziałaś moją panią?

– Lucien nie żyje – powtarzam. Tym razem jest mi łatwiej to powiedzieć, zupełnie jakby moje ciało wreszcie zaakceptowało ten fakt.

Twarz Sil staje się biała jak płótno. Indi ze świstem wciąga

powietrze, a Sienna zatyka sobie usta dłonią. Nawet Olive wygląda na poruszoną.

– To moja wina – szepczę. – Moja wina. – Patrzę tylko na Sil. – Ja... Zrobiłam coś głupiego, a on... On wziął na siebie winę. Nie powinnam była... Nie przyszło mi do głowy... – Po twarzy spływają mi strumienie łez.

Sil podchodzi i ujmuje w dłoń moją brodę.

– Przestań ryczeć – rozkazuje mi ostro. – I patrz na mnie. – Przynajmniej spojrzaniem srebrzystych oczu. – Ten człowiek kochał cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Choćbyś stanęła na rżęsach, nie przywrócisz go do świata żywych, ale możesz uhonorować to, kim był, i to, co zrobił, tu i teraz. Te dziewczyny cię potrzebują, Violet.

Zamaszystym gestem wskazuje siedemdziesiąt siedem dziewcząt, które powinny były pojawić się tu nieprzytomne i zostać sprzedane w niewolę, ale zamiast tego stoją wokół mnie z oczekiwaniem i determinacją wypisaną na twarzach.

– Są tutaj, żyją i cholernie cię potrzebują, jasne? – mruczy do mnie. Siedemdziesiąt siedem par oczu wpatruje się we mnie, oczekując wskazówek. Dziewczyny w wieku od lat trzynastu do dziewiętnastu liczą, że je poprowadzę.

Sil ma rację. Biorę głęboki oddech.

– Musimy się rozdzielić – mówię. – Raven, Indi, Sil, Olive, dowodźcie grupami. Upewnijcie się, że macie u siebie wszystkie żywioty. Sienna, idziesz ze mną.

Sienna pstryka zapalniczką i sprawia, że płomień strzela wysoko.

Odwracam się do czekających dziewczyn i po raz pierwszy naprawdę je widzę. Amber patrzy na mnie skupiona, zaciskając zęby. Obok niej stoją Tawny, Ginger i Henna. W tłumie dostrzegam Sloan, piękność o brązowej skórze i ciemnych, wygiętych we wdzięczne łuki brwiach. To przywódczyni dziewczyn z Bramy Północnej. Sloan odrzuca włosy na plecy z właściwym sobie wdziękiem. Mała Rosie Kelting, czternastolatka z Bramy Wschodniej, czeka na instrukcje, nerwowo zagryzając dolną wargę. Tak wiele twarzy, tak wiele imion...

Silne, piękne dziewczęta. Paladynki.

– Brama Południowa idzie z Raven – wołam. – Północna z Sil.

Wschodnia z Olive. Zachodnia...

Przerywam, gdy zupełnie nagle kawałek ściany odsuwa się na bok. Z ciemności wyłania się Gwardzista. Czuję przypływ paniki, a potem spostrzegam kosmyki jasnych włosów wystające spod czapki i czuję ogromną ulgę.

– Co ty tu robisz? – pytam, ruszając w stronę Garneta. – Miałeś być...

Kiedy podchodzę dość blisko, by rozpoznać twarz mężczyzny, mam wrażenie, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem.

To nie Garnet.

Wszędzie wokół znajdują się ukryte drzwi, które teraz rozwierają się szeroko niczym paszcze potworów. Z przerażeniem patrzę na wbiegających do pomieszczenia, okrążających nas Gwardzistów, na ścianę czerwieni.

Jesteśmy otoczone.

Rozdział 24

Mamy przewagę zaskoczenia. I tylko to.

Blondyn gapi się na mnie z otwartymi ustami, jakby nigdy wcześniej nie widział dziewczyny.

Komnata dworca jest jak beczka z prochem, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Gdy tylko ktoś się poruszy, czar przestanie działać. Kolana uginają się pode mną, gdy przygotowuję się, by rozpętać tu piekło.

Otacza nas skała. Pod nami płynie woda. Oddychamy powietrzem. A Sienna ma zapalniczkę.

– Kim, w imię Hierarchy, jesteście? – pyta Gwardzista.

– Jestem Violet Lasting – przedstawiam się spokojnie. Potem biorę głęboki oddech i krzyczę, ile sił w płucach: – Paladynki!

Instynktownie łączę się z Powietrzem. Przyciągam do siebie wszystkie jego molekuly i ściskam je niby sprężynę. Potem wypuszczam je jak kamień z procy prosto na wciąż gapiącego się na mnie jasnowłosego Gwardzistę. Powietrze trafia w niego z taką siłą, że mężczyzna unosi się i uderza w ścianę, by paść nieprzytomny na podłogę.

– Sil, Ziemia! – krzyczę. – Indi! Woda!

Słysząc cichy pomruk, gdy podłoga zaczyna się trząść. Sil woła dziewczyny, które umieją łączyć się z Ziemią, ale Gwardziści już biegną w ich stronę, nie zwracając uwagi na poruszające się podłoże. Dwoma z nich udaje mi się grzmotnąć o ścianę, ale trzeci wyciąga broń i celuje prosto w moją głowę.

To jest to, myślę. Może znowu zobaczę Luciena. I mojego ojca.

Nagle Gwardzista staje w płomieniach. Jego rozpaczliwe, nieludzkie wrzaski na moment przyciągają uwagę wszystkich. Odwracam się i widzę Siennę z morderczym grymasem na twarzy. Kiwamy sobie głowami, a tuż u naszych stóp ziemia rozwiera się dzięki staraniom Sil, Amber i pięciu innych dziewcząt. Dwóch Gwardzistów wpada do dziury, która wciąż się pogłębia, próbując sięgnąć położonych niżej wód. Sienna posyła wijącą się niczym wąż strugę ognia w kierunku

Gwardzisty celującego z pistoletu w Sloe.

– Nie zabijajcie ich! – wrzeszczy któryś z mężczyzn. –
Arystokracja chce je mieć żywcem!

– Porąbało cię? – krzyczy inny z Gwardzistów.

– Co to, kurde, jest? – wydziera się kolejny.

Lej w ziemi sięga wody. Czuję jej zapach, czuję jej płynną siłę.

– Nareszcie – wzdycha Indi.

Razem z siedmioma innymi dziewczynami kompresuje Wodę, tak jak wcześniej ja kompresowałam Powietrze, i wystrzeliwuje potężny biały strumień. Jeden z Gwardzistów dostaje nim prosto w twarz i jego kark łamie się z suchym trzaskiem. Pozostali osłaniają oczy, gdy struga rozdziela się, by ich dosięgnąć. Po chwili zaczynają ślizgać się na mokrym podłożu.

Jestem wciąż zjednoczona z Powietrzem, kiedy słyszę wizg pocisku. Nie wiem, czy to ja podejmuję świadomą decyzję, czy żywioł robi to za mnie, słyszę jednak, jak metal przelatuje obok mnie, trącąc mnie w ucho, a potem gwałtownie zmienia kierunek i uderza w ramię jednego z Gwardzistów. Czuję krew spływającą mi na szyję, ale ignoruję ból.

Mój wzrok przyciągają ciężkie żyrandole.

– Ziemia! – krzyczę. – Ściany!

Sil spogląda na mnie, a wtedy gestem głowy wskazuję jej wiszące wysoko żelastwo. Dołącza do nas Sloe, a potem Amber. Wspólnymi siłami sprawiamy, że w ścianach pojawiają się pęknięcia i rosną do sufitu.

– Cofnąć się, cofnąć! – wykrzykuję i Paladynki pospiesznie wycofują się w kierunku drzwi. Żyrandol zaczyna się bujać dokładnie nad grupą Gwardzistów.

Wreszcie, z głośnym chrupnięciem, spada. Przez chwilę zdaje mi się, że robi to powoli, że to piękny taniec metalu i światła. Chwytam Sil za ramię, przetaczam się w stronę Sloe i zbijam ją z nóg. Udaje nam się umknąć dokładnie w tym samym momencie, w którym ciężki żyrandol roztrzaskuje się na ziemi.

Hałas jest ogłuszający. Odbija się od ścian, dziesięciokrotnie powielony przez echo. Mam wrażenie, jakby bębniarki miały mi popękać.

Kawały kamienia i ostre fragmenty żelaza rozpryskują się na wszystkie strony. Razem z Sil jednoczymy się z Powietrzem, by odepchnąć od dziewczyn największe fragmenty skały. Czuję, że leżąca pode mną Sloe się trzęsie.

– Nic ci nie jest – mówię. Dzwonienie w moich uszach cichnie powoli i nagle przypominam sobie, jak czułam się tuż po eksplozji w Banku.

Unoszę głowę i oceniam zniszczenia.

Wydaje się, że większość dziewcząt dotarła do wyjścia. Ale... Nie wszystkie. Pod gruzami dostrzegam ciała. Niedaleko mnie leży dziewczyna z kręconymi włosami. Jej szyja zgięta jest pod nienaturalnym kątem, a w piersi ziejże dziura po pocisku. Nie rozpoznaję jej, najpewniej była jedną z tych, które dowiedziały się o swych mocach jako ostatnie, wtedy, gdy byłam już w Klejnocie.

Zwłoki Gwardzistów zaścielają posadzkę.

– Raven! – krzyczę chrapliwie, siadając. Mam pył we włosach i na rzęsach. – Raven!

– Jestem cała – odpowiada Raven, wytrzepując drobiny gruzu z włosów.

– Sienna? Indi? Olive? – wołam.

Słyszę pokasywanie i spomiędzy kawałków skały wyłania się pokryta warkoczykami głowa Sienny.

– Nic nam nie jest.

Indi znajduje się tuż obok niej. Jej blada twarz poznaczona jest smugami szarości. Dostrzegam również Olive, która pociera zaczerwienione oczy.

– To był dobry pomysł – mówi Indi.

– To dopiero początek – przypominam jej. – To była tylko niewielka część Gwardzistów, którzy strzegą Domu Aukcyjnego.

Kiedy jednak rozglądam się po poboju, w które zamieniłyśmy stację, myślę, że choć jesteśmy nieliczne, to jednak mamy w sobie moc, z którą nasi wrogowie muszą się liczyć. Mam nadzieję, że Lucien, gdziekolwiek teraz jest, patrzy na to, co uczyniłyśmy.

– Sil, Raven, Indi, Olive – wymieniam po kolei. – Poprowadźcie wszystkie dziewczyny do muru. Pamiętajcie drogę, prawda? –

Równocześnie kiwają głowami. – Ogień nie za wiele tam zdziała, ale może uda się wam wykorzystać Wodę. Najważniejsze będą Ziemia i Powietrze. Ten mur jest gruby. Bardzo gruby.

– Wiemy – odpowiada Sloe. – Widziałyśmy go.

– A ty dokąd idziesz, Violet? – pyta Amber.

Spoglądamy po sobie ze Sienną.

– Idziemy poinformować resztę tego miasta, że nadszedł czas. Pokażmy arystokratom, że nie mogą nas dłużej kontrolować.

Kilka dziewczyn zaczyna wiwatować, ale Sil szybko stawia je do pionu.

– Cisza! – warczy.

– Hrabina... – mówi do mnie Raven z błaganiem w oczach.

– Jest tutaj – zapewniam ją. – Z Frederickiem. Nie martw się, dostaniesz swoją szansę. Ale teraz... Te dziewczyny cię potrzebują. Poprowadzisz je. – Obracam się do Sienny. – Chodźmy.

Ruszam do drzwi, z powrotem do schodów, którymi tu zesłam. Kiedy się po nich wspinamy, a adrenalina pulsuje w moim ciele, zastanawiam się, czy szlachta poczuła wstrząs, kiedy wielki żyrandol roztrzaskał się na posadzce, czy też wszyscy nadal są cudownie nieświadomi tego, co niebawem ich czeka.

Na niższym piętrze gotowalni znajdują się drzwi na zewnątrz.

– Bądź ostrożna – szepczę do Raven, która gestem daje znak Indi, by szła za nią. Dziewczyny są cicho, nawet te, które wyglądają na najbardziej przerażone. Jedna za drugą wychodzą na korytarz, zdeterminowane i milczące. Sil zamyka ten pochód.

– Zobaczymy się na górze – mówi, wskazując gestem wijące się w mroku schody. Ściskam ją za ramię, a potem Sil znika.

Wspinamy się z Sienną na najwyższe piętro gotowalni. Wiem, że nie uda nam się ominąć Gwardzistów. Niższy poziom używany jest jedynie wtedy, kiedy na Aukcję trafia wiele surogatek, ale z tego korzysta się co roku. Zatrzymuję się przed drzwiami i nasłuchuję. Docierają do mnie przynajmniej trzy różne głosy. Gwardziści.

Kładę dłoń na klamce i wskazuję brodą zapalniczkę Sienny. Musimy jakoś odwrócić uwagę strażników. Wściekle pomarańczowy płomień strzela wyżej. Otwieram drzwi, a wtedy Sienna posyła

w korytarz strugę ognia. Słyszymy wrzaski strzegących drzwi gotowalni Gwardzistów i ich pospieszną ucieczkę. Kilka sekund później wychodzimy na korytarz. Płomienie pożarły dywan i wspinają się po ścianach, ale poza nami nie ma tu żywej duszy. Wspólnymi siłami gasimy ogień.

Spostrzegam drzwi, o które nam chodzi, i otwieram je podmuchem powietrza, bo klamka jest zbyt gorąca, by jej dotknąć. Ukryte za nimi spiralne schody są wąskie i strome. W ścianach znajdują się wąskie okienka. Zaczynamy się wspinać. Krok za krokiem. Krok za krokiem. Kiedy wchodzimy na samą górę, przez niewielki otwór dostrzegam niecały metr niżej jedną z mniejszych kopuł Domu Aukcyjnego. Jeśli wykręcę szyję, zobaczę również mur. Krótki korytarzyk prowadzi do długiej drabiny.

Idę pierwsza. Muszę podwiązać spódnice dwórki, żeby się w nie nie zaplątać. Sienna ma na sobie spodnie. Na pewno jest jej o wiele wygodniej.

W połowie drogi upiornie bołą mnie ramiona i ciężko oddycham. Sienna też łapczywie chwyta powietrze, ale nie narzekamy i nie zwalniamy. Kiedy słyszę nad głową podmuchy wiatru, wiem, że jesteśmy prawie na miejscu. Wychodzimy na niewielką, okrągłą platformę wykonaną z tego samego złotego materiału, co otaczająca nas iglica.

Kiedy rozglądam się wokół, czuję wdzięczność do losu za to, że nie mam lęku wysokości.

Iglica to tak naprawdę pustka otoczona złotymi pasami, które strzelają ostro w górę i tworzą wokół nas coś w rodzaju klatki. Jesteśmy nieco ponad szczytem muru i możemy podziwiać jego oszałamiającą grubość.

– Nieźle – mruczy Sienna. Tak, nieźle. Mur jest jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów od nas i jest... potężny. Spoglądam w dół i na zielonym trawniku otaczającym Dom Aukcyjny widzę niewielkie figurki Paladynek. Łatwo rozpoznać jasne włosy Indi. Przez chwilę przyglądam się, jak Raven ustawia dziewczyny w szyku.

– Strasznie to wielkie – zauważa ponuro Sienna.

– Owszem.

– Naprawdę mamy zamiar to rozwalić?

Zaciskam zęby. Ash obiecał mi, że będzie czekał tuż za tą gigantyczną ścianą z Ochre'em i członkami Sprzysiężenia. Lucien na mnie liczył. Nie mogę ich teraz zawieść. I nie zawiodę.

– Damy radę. Dawaj. – Wskazuję jej zapalniczkę. – Ale najpierw...

Pora dać Sprzysiężeniu znać, że czas odpalić ładunki wybuchowe.

Sienna pstryka zapalniczką i płomień strzela wysoko.

– Jaśniej – mówię i nagle płomień staje się tak oślepiający, że aż trudno mi na niego patrzeć. Wiatr targa warkoczami Sienny i wyrywa mi z koczka pasma włosów. Od gwałtownych podmuchów łzawią mi oczy.

Łączę się z Powietrzem i z jego pomocą wydaję zapalniczkę z rąk Sienny. Unosi ją wysoko, wysoko ponad splecione pasma tworzące iglicę, prosto w niebo, gdzie płomień zawisa niby miniaturowe słońce. Kiedy ściskam ją mocniej, zapalniczka eksploduje oślepiającym blaskiem.

Wstrzymuję oddech. Mija dziesięć sekund. Dwadzieścia. Patrzę, jak umierają ostatnie, zdmuchnięte wiatrem iskierki, jak kawałki metalu, w które zamieniła się zapalniczka, spadają na trawnik.

Mija kolejnych dwadzieścia sekund. Nic. Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale zakładałam chyba, że odpowiedź na znak będzie natychmiastowa. Ściska mi się żołądek i czuję pierwsze ukłucie przerwania. Sienna wypowiada moje wątpliwości na głos.

– Myślisz, że im się nie...

Nagle słychać ogłuszający huk i gdzieś nad centrum Banku wykłuta kula ognia. Kawałki szkła opadają z nieba i w blasku słońca wyglądają jak fajerwerki. Nareszcie! Wybuchają bomby Sprzysiężenia! Chwilę później dostrzegam chmurę czerni unoszącą się nad czymś w Dymie. Farma jest zbyt daleko, bym mogła stwierdzić, czy tam też odpalono ładunki.

Chwytam Sienną za rękę.

– Gotowa? – pytam po raz kolejny.

Ściska mnie mocno, tym razem oszczędzając mi zgryźliwych komentarzy. Spojrzenie ma twarde i zimne. W jej oczach jest jedynie cień strachu.

Łączę się z Powietrzem i krzyczę, ile sił w płucach:

– TERAZ!

Popycham mój głos na dół, by dotarł do czekających na trawniku dziewczyn. Potem wypuszczam Powietrze i zanurzam się w Ziemi.

Czuję żar bijący z dłoni Sienny, uspokajające ciepło tak różne od przyciągania kamiennej ściany. Kamienie, z których wybudowano mur, są tu od bardzo, bardzo dawna. Jestem świadoma tego, że przyłączają się do nas kolejne dziewczęta mogące jednoczyć się z Ziemią. Wydaje mi się, że słyszę, jak Raven pokrzykuje motywująco, ale jej głos może być równie dobrze wytworem mojej imaginacji. Mur jest ciężki. Tak bardzo ciężki... Wyczuwam, że Sienna walczy wraz ze mną, wyczuwam Sil, Amber i inne Paladynki, ale... To takie trudne. Strasznie trudne. Mijają kolejne minuty. Z każdym uderzeniem serca coraz bardziej lękam się, że nam się nie uda. Ramiona drżą mi z wysiłku.

Lucien się mylił. Mój plan od początku skazany był na porażkę. Nie jestem przywódczynią, którą chciałabym być. Nieważne, jak wiele Paladynek tu ściągnęłam. Poprowadziłam je na śmierć.

Nie poddawaj się, kochanie. Głos Luciena szepce gdzieś z tyłu mojej głowy, tak czysty i wyraźny, jakbyśmy stali obok siebie. *Wiem, że potrafisz to zrobić. Wiedziałem już w dniu, w którym się spotkalismy.*

Myślę... Myślę, że cię kocham. To słowa Asha.

Znalazłaś mnie, szepce Raven. Czuję słoną woń oceanu.

– Mam nadzieję, że się co do niej nie pomyliłeś, sarka Sil. Bo jeśli się pomyliłeś, to jesteśmy tylko bandą optymistycznych kretynów i resztę tego zakichanego życia spędzimy jak kryjące się pod podłogą karaluchy.

Moje serce bije coraz szybciej, przyspieszając z każdym kolejnym głosem, który słyszę. Ci ludzie są powietrzem, którym oddycham, krwią, która płynie w moich żyłach. Są moją odwagą. Nie zawiodę ich.

Wiem, że potrafisz to zrobić.

Lucien we mnie wierzył. Zawsze. Uczepiam się tej myśli i po raz pierwszy ja również próbuję w to uwierzyć. Nie, nie próbuję.

Mogę to zrobić. Jestem silniejsza, niż mi się wydaje.

W nogach i rękach czuję ciężar skał pod sobą. Moja pierś jest z materii tej ziemi, moje oczy są małymi kamykami. Moje serce bije w pełnym mocy rytmie, coraz silniej i silniej z każdym uderzeniem. Kurczowo ściskam dłoń Sienny.

Kiedy wierzę, kiedy akceptuję wreszcie swoją moc w całej jej

pełni, wiem, że jest równie potężna i starodawna, co kamienie tworzące mur. Przekazuję ją Siennie, a wtedy wypełnia nas obie żar płomieni, nurt dzikiej rzeki, porywisty wiatr. Jestem wszystkimi Żywiołami i wyczuwam każdą ze stojących na dole dziewczyn. Ich magia świeci niby rozsiane po trawniku płomyki świec. Wsączam w nie tę moc tak, jak zrobiłam to tej nocy, gdy ocalałam Raven. Przekazuję im całą moją miłość, całą nadzieję na lepsze życie, na lepszy świat. Jestem z nich najsilniejsza i szczerze dzielę się z nimi tą siłą.

Jesteśmy Paladynkami. Jesteśmy potężniejsze niż skała i kamienie. Teraz to wiem.

Jesteśmy strażniczkami tej wyspy.

Cały mój lęk znika jak odgarnięta dłonią pajęczyna. Wszystko, co mam, całą siebie, rzucam przeciwko murowi. Sienna również. I wszystkie dziewczyny na dole.

Kiedy pojawia się pierwsze pęknięcie, czuję je w piersi, choć go nie widzę. Sienna wzdycha, akceptując tę czystą, pulsującą moc. Nigdy wcześniej nie czułam się tak potężna, tak pełna życia. Teraz rozumiem, że pierwszy pomysł Luciena, żebym sama obaliła mur, nigdy by nie zadziałał. Musimy pracować wszystkie. Razem. Żadna Paladynka nie dałaby sobie samodzielnie rady z tym zadaniem.

Nagle, z głośnym zgrzytem, wielki blok muru zaczyna się kruszyć. Kiedy kawały skały opadają na ziemię w ulewie pyłu i gruzu, uwalniam żywioł i chwytam się dłonią stelażu iglicy. Odgłos toczących się kamieni współgra z moim ciężkim oddechem. Sienna przykuca koło mnie i zatyka uszy.

Ale to jeszcze nie koniec. Łączę się z Powietrzem.

– Powietrze! – krzyczę do dziewcząt na dole.

Powietrze jest gotowe i chętne do pomocy. Sienna patrzy, jak unosimy potrzaskane skały oraz kawałki gruzu i ciskamy je w nienaruszone fragmenty muru, by oczyścić drogę siłom, które czekają w Banku. Widzę, jak Indi unosi rękę i nagle z ziemi wytryskuje woda, która spływa w szczelinę i wymywa z niej gruz.

Główna ochrona arystokracji właśnie przestała istnieć.

Podmuch wiatru przynosi echo okrzyków wznoszonych po drugiej stronie muru. Po chwili, gdy wiwaty stają się głośniejsze, zrywam

kontakt z Powietrzem. Przez szczelinę, walcząc z płynącą coraz wolniej wodą, przepychają się ludzie. Na ramionach mają białe opaski.

Rozglądam się za Ashem, ale rebeliantów jest wielu, a ja jestem za wysoko.

Spostrzegam jednak Sil, która odwraca się i coś krzyczy. Patrzę za nią i serce podjeżdża mi do gardła. Z Domu Aukcyjnego wybiega przynajmniej setka uzbrojonych Gwardzistów. Zaczynają strzelać. Kobiety i mężczyźni padają na ziemię i już się nie podnoszą.

– Musimy zejść na dół – krzyczę.

Obydwie z Sienną pospiesznie schodzimy po drabinie. Z ostatnich szczebli zeskakujemy. Zbiegamy po spiralnych schodach, aż wreszcie docieramy do niższego poziomu gotowalni. Gwardziści są wszędzie, pędzą korytarzem, by dołączyć do walki. Przykucnięte, czekamy, aż nas wyminą. Zapalniczka Sienny wybuchła, nie możemy więc skorzystać z Ognia, by odwrócić ich uwagę.

Ale jestem Paladynką. Nie boję się.

Biorę głęboki oddech i przyciągam do siebie Powietrze tak mocno, że podmuch zwiewa czapki z głów strażników, a potem odpycham je z siłą większą niż kiedykolwiek. Mężczyźni padają jak kostki domina, Sienna zaś łączy się z Ziemią i sprawia, że podłoga zaczyna się trząść, a z góry spadają kawały sufitu. Wypadamy na korytarz i przebijamy się przez powalonych Gwardzistów, obsypując ich kolejnymi kamieniami i odpychając niedobitków podmuchami powietrza. Sienna wydaje się silniejsza niż wcześniej. Zupełnie jakby obalenie muru dało nam więcej mocy, niż sądziłyśmy, że mogłybyśmy mieć.

Kiedy wybiegamy na trawnik, spostrzegam, że drzwi na zewnątrz zostały wyrwane z zawiasów. W różowej fasadzie Domu Aukcyjnego widnieją dziury po pociskach. Jeden z nich przelatuje mi koło ucha i odruchowo zmieniam tor jego lotu, by skończył w nodze jakiegoś Gwardzisty.

Wszędzie leżą ciała, a zieleń trawnika pokrywa się ciemną czerwienią krwi. Gwardziści, członkowie Sprzysiężenia z białymi opaskami na ramionach, Paladynki... Dostrzegam małą Rosie Kelting o martwych, pustych oczach. Indi posyła na wszystkie strony strumienie wody, które zbijają wrogów z nóg, a Sil obrzuca strażników wielkimi

kawałami skał, które unosi z pomocą Powietrza. Garnet obwiązał sobie ramię białą opaską i przewodzi grupie rebelianckich Gwardzistów, którzy ścierają się z tutejszymi. U jego boku widzę Raven, która bez trudu dotrzymuje mu kroku w walce. Usiłuję wśród walczących dojrzeć Asha, ale jest tu zbyt wielu ludzi i panuje chaos.

Rye jest wirem czerni i bieli. Porusza się tak szybko, że trudno mi nadążyć za nim wzrokiem. Razem z nim walczy kilku innych Towarzyszy, wszyscy w smokingach. Wyglądają pięknie i groźnie zarazem. Jeden z nich zdobył skądś miecz i widzę, jak przecina nim gardło jakiegoś Gwardzisty. Z tętnicy chlusta krew i plami czerwienią koszulę Towarzysza.

Przez wyrwę w ścianie wpadają kolejni rebelianci, zmuszając wreszcie Gwardzistów do odwrotu w stronę Domu Aukcyjnego.

Jeden z wycofujących się unosi pistolet i celuje w Sil, jednak Indi uderza go wodnym biczem tak mocno, że mężczyzna roztrzaskuje się o ścianę budynku.

Nagle słyszę strzał. To dziwne, że w nieustającej kanonadzie jestem świadoma akurat tego jednego. Bardziej czuję, niż widzę, jak pocisk nieubłaganie zbliża się do Indi. Natychmiast kieruję w tamtą stronę podmuch powietrza, jednak jestem zbyt wolna...

Przez sekundę nie umiem pojąć, dlaczego jej głowa nagle odskakuje do tyłu, a pomiędzy jej włosów tryska czerwień.

Niemal z gracją osuwa się na ziemię. Jej wysokie, silne ciało drga raz jeszcze i nieruchomieje. Indi nie wstaje.

– Indi! – wrzeszczę, pędząc do niej. Wszędzie latają pociski, ale wściekłość dodaje mi sił, wystarczy więc, że machnę dłonią, a Powietrze odpycha ode mnie wszystkich strzelających. Niektórzy wpadają na ścianę, inni na stojących dalej kolegów.

Indi ma otwarte oczy i patrzy w czyste, błękitne niebo z lekko zdumionym wyrazem twarzy. Jej usta są lekko rozchylone, włosy w nieładzie. Tył jej głowy krwawi, a loki nasiakają szkarłatem.

Od strony Domu Aukcyjnego idzie w moją stronę przynajmniej dwudziestu Gwardzistów. Mierzę ich wściekłym spojrzeniem, czując, jak ogarnia mnie furia, jakiej dotąd nie czułam, furia, która nasila się z każdym uderzeniem mojego serca.

– POGRZEBCIE ICH! – ryczę.

Gniew spala mnie od środka. Łączę się z Ziemią tak szybko i łatwo, że mam wrażenie, jakbym od dawna była częścią fundamentów tego budynku, korzeniami porastających teren roślin, jakbym sięgała głęboko, głęboko w miejsce, gdzie wyspa łączy się z oceanem.

Zniszczę. Każdego. Z. Nich.

Wyczuwam, jak Sienna dołącza do mnie w Ziemi, a po niej następna z dziewcząt, i kolejne. Jesteśmy jak puzzle, zazębiaamy się ze sobą, a nasza moc wzrasta, im więcej z nas koncentruje się na tym samym celu. Dom Aukcyjny wydaje z siebie dziwny, rozpaczliwy dźwięk. Gwardziści są oszołomieni, ale któryś z nich strzela i trafia jedną z Paladynek połączonych z Ziemią w pierś. Kiedy dziewczyna upada, wyczuwam, że ją straciłyśmy. Jej jasne światło gaśnie jak zdmuchnięty płomyk.

Pogrzebać ich, powtarzam w myślach i cała południowa ściana Domu Aukcyjnego wali się w gruzy.

Gwardziści mają ledwie ułamki sekund na ucieczkę. To zbyt mało. Różowa ściana spada na nich z hukiem i trzaskiem tłukących się na miliony kawałeczków okien. W budynku zieje ogromna dziura, przez którą widzę pozostałości amfiteatru, gdzie zostałam sprzedana. Pomieszczenie rozpękło się na dwie części, podłogę zaścielają przewracane eleganckie fotele i fikuśne leżanki zredukowane do roli śmieci. Wszędzie tylko gruzy, pył i zwłoki.

Przez otwór w murze wciąż napływają kolejni Członkowie Sprzysiężenia.

Nadal klęczę koło Indi, kiedy podbiega do mnie Sienna.

– Nie – szepce, delikatnie kładąc dłoń na bladym policzku Indi. Inne dziewczęta zbierają się w grupki wokół poległych w walce przyjaciółek. Niektóre z nich płaczą, niektóre kołyszą martwe koleżanki w ramionach, jakby chciały je utulić, pocieszyć. Jakby to było możliwe. Patrzę tępo, jak spora grupa szalenie przystojnych mężczyzn przechodzi przez mur, brodząc w leniwej rzece, którą Indi przyzwała ledwie pół godziny wcześniej.

Nagle słyszę głos, boleśnie znajomy, jedyny, który może dotrzeć do tej studni żalu i rozpacz, w której się znalazłam.

– Violet!

– Ash? – Podrywam się na nogi i biegnę w jego kierunku, roztrzając ludzi, którzy stoją mi na drodze.

I oto jest. Włosy ma dłuższe niż wtedy, gdy widziałam go ostatnio, a policzki ocienione zarostem. Ma na sobie czarną koszulę, na ramieniu białą opaskę, a w dłoni trzyma zardzewiały, wyszczerbiony miecz. Patrzy w złym kierunku, wciąż i wciąż wołając moje imię, szukając mnie wśród tłumu.

Przez krótką chwilę zastanawiam się, czy w ogóle mnie rozpozna, czy pamięta, że teraz wyglądam inaczej. Wtedy Ash odwraca się w moją stronę i miecz wypada mu z ręki.

– Violet – mówi. Nie słyszę go, wiem jednak, że ma na wargach moje imię. Idzie w moją stronę, z początku powoli, potem szybciej, aż wreszcie obydwójce biegniemy ku sobie, płacząc i wyciągając ramiona.

Ash pachnie krwią i potem z lekką domieszką prochu. Zarost na jego szczęce jest chropowaty, ale i tak przyciskam do niego policzek. Trzymam Asha mocniej, niż powinnam, ale chcę po prostu czuć, jak jego pierś unosi się i opada, chcę się nim nasycić. Jestem pijana radością.

– Żyjesz – szepce mi Ash do ucha, tak samo wzruszony jak ja.

– Przepraszam – chrypię. – Tak bardzo cię przepraszam. Powinnam była w ciebie wierzyć.

– Już dobrze, już dobrze – mruczy Ash. – Nic ci nie jest...

A potem wybucham śmiechem i robię to samo, choć właściwie nie wiem, dlaczego.

– Ochre – wyduszam z siebie, wyplątując się z objęć Asha. – Czy...

– Nic mu nie jest – odpowiada Ash. – Razem z kilkoma innymi chłopakami wciągnęli w pułapkę Gwardzistów z Banku. Zaprowadzili ich prosto do czekającego pod murem Sprzysiężenia.

Zalewa mnie ulga. Mój brat jest bezpieczny.

Teraz muszę pomóc siostrze.

– Lockwood! – Podbiega do nas Towarzysz w smokingu. Jest z nim Garnet. – Gwardziści uciekli. Część z nich ciągle siedzi w Domu Aukcyjnym, obawiamy się jednak, że inni będą próbowali chronić resztę Klejnotu. Sądzę, że wielu arystokratów albo nie żyje, albo ukryło się

w schronach, ale nie wiemy, ilu z nich siedzi w swoich pałacach.

– Przeszukajcie każde piętro – komenderuje Ash. – Pojmijcie, ilu się da, ale nie bawcie się w subtelności. Opierających się zabijcie. – Spogląda przez wyrwę w ścianie na Bank. – Potrzebujemy więcej ludzi.

– Potrzebujecie Paladynek – odpowiadam, a potem wołam Siennę, Sil i Olive. – Sil, zbierz dziewczyny, które łączą się z Ziemią i Powietrzem. Musimy rozwalić większy kawał muru. Sienna, zbierz swoją własną grupę. Pójdiesz z naszymi Gwardzistami i sprawdzicie, czy gdzieś w Klejnocie nie ukrywają się jeszcze arystokraci. Olive, weź kilka dziewczyn i idźcie z Towarzyszami oczyścić Dom Aukcyjny.

Sienna natychmiast biegnie po Sloe i kilka innych Paladynek, które zna. Olive klaszcze w dłonie.

– O rany, może będzie tam moja pani – rzuca i pędzi zebrać swoją własną drużynę.

– Ja też tam idę – mówię, obracając się do Asha. – Sądzę, że Hazel wciąż jest w środku.

Ash patrzy na mnie z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Co? – pytam.

Rzuca mi mój ulubiony, tajemniczy uśmiezek.

– Jesteś niesamowita.

– Wiesz, tobie też niczego nie brakuje – odpowiadam, kiwając głową otaczającym nas Towarzyszom. – Kiedy to wreszcie się skończy, będziesz musiał o wszystkim mi opowiedzieć.

– Kiedy to się skończy – zgadza się Ash. – A teraz wyciągnijmy twoją siostrę.

Odwraca się do czekających Towarzyszy, Gwardzistów oraz członków Sprzysiężenia i zaczyna wydawać rozkazy. Kipiąc z niecierpliwości, ruszam w stronę Domu Aukcyjnego.

– Gdzie jest Raven? – pyta nagle Garnet.

Rozglądam się, ale nie mogę ujrzeć przyjaciółki w tłumie ludzi. A potem unoszę głowę.

Dobrze wiem, dokąd zmierza, bo wszystkie miesiącami uczyłyśmy się planów. Raven zaparła się, żeby znać każdą możliwą drogę do jednego, bardzo określonego miejsca. Do schronu Hrabiny Kamienia.

– Tam – mówię, wskazując wieżę, w której znajdują się bezpieczne

komnaty Domów Założycieli. – Tam właśnie idzie.

Garnet klnie pod nosem.

– Odbiło jej?

Spoglądam na niego, a potem na Asha.

Nie zostawię mojej siostry w tym koszmarnym miejscu, ale nie pozwolę również, by moja przyjaciółka musiała sama stawić czoło Hrabinie.

– Chodźmy.

Rozdział 25

Główne wrota zwisają smętnie na zawiasach, zupełnie jakby ludzie, którzy z nich korzystali, nie zawracali sobie głowy otwieraniem ich.

Grupa Olive wchodzi z nami do środka, tak samo jak ekipa Towarzyszy. Ash trzyma w dłoni miecz, a Garnet odbezpieczony pistolet.

Główny hol przedstawia koszmarny obraz pełen zniszczenia i śmierci. Fontanna rozszczepiła się na pół, a woda płynie swobodnie po mozaikowej posadzce, mieszając się z krwią arystokratów, Gwardzistów oraz służących. Kiedy przechodzimy przez pomieszczenia, spostrzegam wśród zwłok spoczywające na podwyższeniu ciało Wybranki. Martwa wygląda tak młodziutko. W jej piersi ziele wielka dziura.

Ale nigdzie nie widać ani Diuszesy, ani mojej siostry. Raven również nie ma.

Nagle po drugiej stronie holu rozlega się wrzask.

– Moja pani! – krzyczy Olive. Pani Promienia kuli się za podwyższeniem dla orkiestry razem z kilkorgiem innych przerażonych arystokratów. – Pani, to ja! Och, wreszcie cię znalazłam!

– Zostaw mnie, nie zbliżaj się! – wrzeszczy Pani Promienia i w chwili, w której Olive dopada jej z wyciągniętymi ramionami, porywa z podestu kornet i mocno się nim zamierza. Instrument uderza Olive w bok głowy i dziewczyna ciężko upada na posadzkę. Jedna z jej koleżanek krzyczy z rozpaczą. Sekundę później z mokrej podłogi podnosi się wysoka fala, gdy Paladynki Olive dokonują zemsty na zabójczyni swojej liderki. Towarzysze sięgają po broń i kończą dzieło.

Olive wciąż ma na twarzy ten uśmiech, z którym po raz ostatni biegła do swojej dawnej pani.

Tak wiele śmierci. Tak wielu ludzi dziś odeszło.

Obracam się do Garneta i Asha.

– Raven będzie próbowała dostać się do schronu Hrabiny. A Hazel może być z Diuszesą w schronie Domu Jeziora.

– Te schrony są obok siebie – mówi Garnet.

Zamykam oczy, przywołując w myśli przerywane linie i opisy, których z takim poświęceniem uczyłam się na pamięć.

– Tędy – mówię wreszcie. Ruszamy, zostawiając jatkę za sobą.

Przechodzimy przez drzwi z poczerńiałego drewna, a potem ruszamy korytarzem o ścianach pokrytych biało-złotymi tapetami i ozdobionych pięknymi kinkietami... i wpadamy na Raven siłującą się z jakimś Gwardzistą.

Garnet wydaje zdławiony okrzyk i rzuca się na szamoczącą się parę, obalając zarówno Raven, jak i jej adwersarza na ziemię. Raven odtacza się na bok i podrywa się na nogi, a Garnet uderza mężczyznę kolbą broni w głowę. Gwardzista pada nieprzytomny.

– Co ty wyprawiasz? – wścieka się Garnet, wstając i patrząc ponuro na Raven.

– Muszę to zrobić – mówi twardo Raven, nie opuszczając wzroku.

– Wiem. Po prostu nie rozumiem, dlaczego na nas, do jasnej cholery, nie zaczekałaś?!

Raven otwiera usta, ale do korytarza wpada kolejny Gwardzista. Łączę się z Powietrzem i ciskam nim o ścianę.

– Tu jest przejście do schronów – wyjaśniam, otwierając drzwi, za którymi znajdują się spiralne, wiodące w górę schody. Strzeże ich dwóch strażników, jednak bez trudu odbijam ich pociski, a Ash unieszkodliwia ich kilkoma oszczędnymi ruchami miecza.

Po drodze mijamy inne schrony, przeznaczone dla szlachty z mniej znamienitych rodów. Schrony dla członków Domów Założycieli znajdują się na samym szczycie wieży. Każdy pokój jest zamknięty na głucho, by chronić znajdujących się wewnątrz arystokratów. Mam nadzieję, że ci nie będą nam sprawiać problemów, skoro ich bezcenni Gwardziści poszli w rozsypkę, a mur runął.

Na samej górze znajduje się pięcioro drzwi, każde z pieczęcią. Łuski, ród królewski, Róża, Jezioro i Kamień.

Skupiam swoją uwagę na schronie Domu Jeziora. Najpierw wyciągnę Hazel, potem pomogę Raven.

– Odsuńcie się – mówię. Ściągam do siebie powietrze, a potem wypycham je, tak samo, jak zrobiłam to przy drzwiach z rozpaloną do czerwoności klamką. Odrzwia otwierają się z hukiem. Za nimi jest

niewielki, pięknie urządzony pokoik.

Zupełnie pusty.

– Nie ma jej tu – mówię z przerażeniem. – Nie ma...

– Hrabina – błaga Raven. – Proszę.

Obracam głowę i uderzam Powietrzem w drzwi, na których znajduje się symbol Domu Kamienia, skrzyżowane młoty na tle szarego kwadratu. Podmuch wyrywa drzwi z zawiasów i ciska je przez pomieszczenie. Słyszę potworny trzask, gdy wylatują przez okno po przeciwnej stronie pokoju.

Po jakie лихо im w schronach okna, myślę, kiedy przebywający w komnacie padają na ziemię i zaczynają kaszleć. Podłogę pokoiku, urządzonego podobnie jak ten należący do Domu Jeziora, zaściela szkło.

Wpadamy do środka. Zasuszony mężczyzna, którego widziałam przelotnie na wczorajszej kolacji, kuli się pod ścianą.

– B... błagam – wyjąkuje. – Nie... nie zzzzabijajcie mnie.

– Czego chcecie? – pyta hardo Hrabina. Kiedy spostrzega Garneta, jej oczy robią się wielkie jak spodki. – Garnet?

– Do usług – odpowiada Garnet i saltuje drwiąco.

– Co tu się dzieje? – sarka Frederick, wyłaniając się zza sofy. – Jakim cudem...

Ale Raven zdążyła się do niego podkraść, a teraz bierze zamach i z całej siły uderza go w twarz.

Nos Fredericka łamie się z trzaskiem. Mężczyzna łapie się za niego i cofa się z jękiem, a spomiędzy jego palców tryska krew.

Raven odwraca się do Hrabiny.

– Cześć, Ebony – mówi.

Kocham moją przyjaciółkę. Ocaliłam jej życie i nie zawahałabym się przed niczym, by zrobić to po raz kolejny. Ale wyraz jej twarzy, gdy wpatruje się w Hrabinę Kamienia, jest przerażający. Po kręgosłupie przebiega mi dreszcz, a włoski na moim karku stają dęba. Na lewym policzku Raven formuje się wielki siniec, a na szyi ma kilka długich zadrapań. Wygląda groźnie i... dziko.

Hrabina natomiast sprawia wrażenie, do czego ma poniekąd prawo, jakby ujrzała ducha.

– Ty nie żyjesz – wydusza z trudem.

Raven wskazuje palcem samą siebie.

– Ja? Skąd. Mam się świetnie.

Hrabina szybko odzyskuje rezon.

– Kiedy to wszystko się skończy, zadbam o to, by spotkała cię należyta kara, 192.

– Nazywam się – cedzi Raven powoli – Raven Stirling. A czas twojej okrutnej zabawy i pogardy właśnie się skończył.

Kątem oka widzę poruszenie i otwieram usta, żeby ostrzec Raven przed Frederickiem. Garnet unosi pistolet. Ale moja przyjaciółka jest szybsza niż którekolwiek z nas. Może usłyszała szelest, a może tego właśnie się spodziewała. Z gracją robi unik, a potem obraca się. Teraz to ona stoi za Frederickiem, a nie Frederick za nią.

Chwyta twarz mężczyzny w dłonie.

– Och, Fredericku – szepce – tak długo czekałam na to, aż znów się spotkamy.

A potem gwałtownym gestem skręca mu kark. Frederick upada na podłogę niczym szmaciana lalka z głową wygiętą pod dziwnym kątem.

– Nie! – wrzeszczy Hrabina.

Raven przestępuje nad trupem, nie zaszczycając go kolejnym spojrzeniem.

Hrabina wbija w nią ponury wzrok.

– Chyba nie wierzysz w to, że wygracie, prawda? – Rozgląda się po pokoju. – Ta cała wasza rewolucja... Garść niezadowolonych służących, zbuntowanych Towarzyszy i paru parobków. Ach, zapomniałam o jednym nedorobionym przedstawicielu arystokracji.

– Próbowalaś może wyrzeć przez okno? – odpowiada jej Raven. – Wasze siły są w rozsypce. Wasz mur się zawalił. Kręgi połączą się ze sobą, a ludzie... Ludzie odbiorą wam to miasto. Byliście tyranami.

– Ludzie w tym mieście byliby zgubieni, gdyby nie arystokracja – warczy Hrabina. – Potrzebują nas, by przetrwać.

– Nie – mówi zimno Raven. – Wcale was nie potrzebujemy. – Unosi dłoń i dotyka palcami blizn na głowie. – Dałaś mi wspaniały prezent, Ebony. I nawet o tym nie wiedziałaś.

– Nie mów do mnie po imieniu – wścieka się Hrabina.

Raven ją ignoruje.

– Widzisz, słyszę teraz różne rzeczy. Wiem, że się boisz. Boisz nawet bardziej niż wtedy, kiedy twoja matka głodziła cię przez tydzień, bo byłaś gruba i ciągle nie chudłaś. Zamykała cię w lochu i nie pozwalała z niego wychodzić. Każdej nocy twój własny płacz utulał cię do snu. – Kiedy moja przyjaciółka dostrzega przerażoną minę Hrabiny, w jej oczach rozpala się okrutny błysk. – O tak... Znam twoje sekrety. Znam twoje myśli. Nie można tak po prostu grzebać w czyimś mózgu i spodziewać się, że to nie będzie miało konsekwencji. A już zwłaszcza nie wolno dotykać mózgu Paladynki. – Hrabina marszczy brwi, a Raven przekrzywia lekko głowę. – Właśnie nimi jesteśmy. Paladynkami – wyjaśnia. Nie surogatkami. Nie niewolnicami. Ale przecież o tym wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś, że jesteśmy inne. Byłaś wystarczająco mądra, żeby się nas obawiać. Oczywiście nie przyznałabyś się do tego. Nazywałaś ten strach... jak? Ciekawością? Chęcią eksperymentowania? Ale tak naprawdę zdawałaś sobie sprawę z tego, że coś w nas jest, że jest coś w Auguriach, coś, co, spuszczone ze smyczy, mogłoby wam wszystkim zagrozić. – Podchodzi o krok bliżej.

Hrabina cofa się w kierunku wybitego okna.

– Nie boję się ciebie.

– Ależ owszem. Boisz się. – Głos Raven do złudzenia przypomina teraz syk gotowego do ataku węża. – I masz rację. Powinnaś się bać.

Raven robi kolejny krok. Hrabina wciąż się cofa.

Nagle moja przyjaciółka rzuca się w jej stronę. Oczy kobiety rozwierają się szeroko, a wielkie usta układają się w kształt litery „o”, gdy Raven, zdecydowanym gestem, wypycha ją przez okno. Hrabina znika z wrzaskiem, który kończy się gwałtownie, gdy arystokratka uderza o ziemię.

W pokoju panuje cisza, jeśli nie liczyć rozpaczliwego szlochu Hrabiego. Raven staje przy oknie i patrzy w miejsce, w którym po raz ostatni widziała Hrabinę, a jej pierś ciężko się unosi i opada.

– Nie ma jej – szepce bardziej do siebie niż do kogokolwiek z nas, jakby musiała powiedzieć to na głos, by wreszcie uwierzyć. Nagle kolana uginają się pod nią. Garnet natychmiast bierze ją w objęcia.

– Nie ma jej – chlipie Raven w jego tors.

– Tak, nie ma – mruczy Garnet w jej włosy. – Nigdy więcej cię nie

skrzywdzi. Nigdy, przenigdy.

Raven bierze głęboki, drżący oddech i unosi głowę, by spojrzeć Garnetowi w oczy. Patrzą na siebie przez długą chwilę. Garnet delikatnie obwodzi opuszką palca siniec na jej twarzy. To takie osobiste, że nikt nie powinien być tego świadkiem. Ja również. Obracam się i przechodzę z komnaty Domu Kamienia do pustego pokoju, który przypomina mi, że ten dzień jeszcze się nie skończył.

– Diuszesa ciągle ma Hazel – mówię.

Ash potakuje.

– Dokąd mogła ją zabrać? – zastanawia się. – Do Pałacu Jeziora? Do jednej z posiadłości w okolicy?

– Nie – odpowiada Garnet ponuro. Wyczuwam w jego głosie rezygnację. – Chyba wiem, dokąd poszła. Chodźcie za mną.

Zbiegamy po schodach, przebiegamy przez zrujnowany i pełen zwłok hol, a potem przez frontowe drzwi.

– Tędy – rzuca Garnet, wskazując stojące w rzędzie automobile czekające, by odwieźć do domów arystokratów, którzy przecież nigdy już nie opuszczą tego miejsca.

Wsiadamy do jednego z pojazdów, Garnet i Raven z przodu, ja z Ashem z tyłu. Garnet wyrywa kable spod kierownicy i majstruje nimi, aż wreszcie silnik z rykiem zaskakuje. Pędzimy przez prawie zupełnie opustoszałe ulice Klejnotu. Tu i ówdzie toczą się walki między członkami Sprzysiężenia i Gwardzistami. Dostrzegam również kilkoro wyraźnie zagubionych służących. Spostrzegam, że wiele pałaców jest właśnie okradanych, bramy do nich wyłamano, okna zaś wybito.

– Dokąd jedziemy? – dopytuje Raven.

Nagle ziemia pod nami trzęsie się gwałtownie i automobil podskakuje na zwirowanej drodze. Kawalek dalej strzela w niebo kolumna dymu, a potem powietrze przeszywają lecące w różne strony kamienie.

– Sil – stwierdzam z głęboką satysfakcją. Ash mocniej ściska moją dłoń.

– Zburzycie je wszystkie – mówi. – Wszystkie mury w tym mieście. Lucien będzie taki dumny.

Gardło mi się zaciska.

– Lucien nie żyje – szepczę.

Ash wygląda na zdumionego, jakby te trzy słowa zlepione w jedno zdanie nie miały dla niego sensu. Potem zaciska usta w wąską linię i gwałtownie mruga.

– Och – wydusza z siebie.

– Gdzie, do licha, jedziemy? – powtarza Raven.

– Do Królewskiego Pałacu – wyjaśnia wreszcie niechętnie Garnet.

Och tak, do domu, którego Diuszesa zawsze pragnęła, i który był poza jej zasięgiem. W miejsce, które miało należeć do niej.

– Oczywiście – mruczę pod nosem. – Oczywiście.

Rozdział 26

Garnet dociska gaz i pędzimy po Hazel, aż żwir tryska spod kół.

Jeszcze nim zagłębiamy się w lesie, widzę pałac. Przy tej prędkości zielenie i brązy drzew są jedynie rozmazaną plamą. Mijamy fantastyczne, wycięte w żywopłocie bestie, aż wreszcie, z piskiem opon, zatrzymujemy się koło fontanny z dmącymi w trąbki chłopcami.

Drzwi do Królewskiego Pałacu są otwarte. Wchodzimy do środka. W holu nie ma żywej duszy.

– Stawiam cały mój majątek na to, że poszła do sali tronowej – mówi Garnet.

– Którędy? – pytam, a Garnet rusza w kierunku imponującego głównego korytarza. Mijamy salę balową, w której, w trakcie Balu Hierarchy, grałam na wiolonczeli. Przez okna dostrzegam ogród, w którym tej samej nocy rozmawiałam w altance z Ashem. Potem skręcamy w lewo.

Na dźwięk głosów wszyscy przystajemy. Garnet unosi dłoń i na palcach dochodzimy do zakrętu korytarza. Gruby dywan tłumi nasze kroki. Garnet wygląda za róg i szybko się wycofuje.

– Siedmiu Gwardzistów – szepce niemal bezgłośnie.

Ash wyciąga miecz, Garnet sięga po pistolet, a Raven staje na ugiętych nogach w bojowej pozycji. Łączę się z Powietrzem i pozwalam sobie przez sekundę zatopić się w cudownej wolności, jaką daje jedność z żywiołem.

Potem koncentruję się, przyzywając do siebie powietrze z setek komnat w tym pałacu. Bieży ku mnie z szumem i wizgiem. Kiedy posyłam je na Gwardzistów, Ash, Garnet i Raven wypadają zza zakrętu.

Kolejne chwile zdają się tylko nieostrym obrazem. Słyszę okrzyki, nawoływania i uderzenia. Miecz Asha śpiewa pieśń stali, do moich uszu docierają strzały, a ja wciąż i wciąż wypełniam pokój wichurą tak wściekłą, że nawet moje oczy łzawią i płoną jednocześnie.

Kiedy słyszę, że Ash krzyczy, bym przestała, uwalniam żywioł i wszystko nagle się uspokaja. Gwardziści leżą na podłodze. Część z nich nie żyje, część jest tylko nieprzytomna.

Stoimy przed wejściem do wielkiej komnaty. Na jej wysoko sklepionym, łukowatym suficie wymalowano cztery pory roku, a przez wielkie, witrażowe okna wpadają do środka promienie słońca. Przefiltrowane przez barwne szkło sprawiają, że czarno-biała posadzka wygląda jak obsypana klejnotami.

W samym środku komnaty znajduje się podwyższenie, a na nim stoją dwa masywne, bogato zdobione trony. Ich podłokietniki ukształtowano na podobieństwo węży o rubinowych oczach. Obydwa trony ocieniają wyrastające z nich gigantyczne złote skrzydła, a siedziska obite są szkarłatnym aksamitem.

Na jednym z tronów siedzi Diuszesa w pogniecionej sukni. Wygląda na mocno zniesmaczoną tym, co się dzieje. Kiedy dostrzega swego syna, jej palce zaciskają się na węzowej głowie niczym ptasie szpony.

– Garnet? – wydusza.

Hazel, wciąż na smyczy, spoczywa na podłodze obok Diuszesy. Jej twarz rozjaśnia się na mój widok. Za nią stoją Cora i Carnelian. Cora wytrzeszcza oczy na Garneta, ale Carnelian patrzy wyłącznie na Asha.

– Cześć, Matko – mówi Garnet takim tonem, jakbyśmy wszyscy właśnie siadali do śniadania. – Nietypowa trochę ta Aukcja, prawda?

– Ty... Jesteś z nimi? – Diuszesa niemal wypluwa ostatnie słowo. Przesuwa wzrok na Raven, na Asha, potem na mnie. – Walczysz razem z dziwkami i służącymi?

– Masz na myśli to, że walczę razem z innymi ludźmi? – pyta Garnet. – Tak, Matko. Właśnie tak.

Diuszesa prycha z pogardą.

– Nie powinnam być zaskoczona. Zawsze bardziej przypominałeś swojego ojca niż mnie.

Garnet udaje, że przez chwilę zastanawia się nad jej słowami.

– Uznam to komplement.

– Więc wolisz być słabeuszem?

– Lepiej być słabeuszem niż mordercą – mówię, podchodząc bliżej.

Diuszesa wstaje i wtedy dostrzegam w jej dłoni sztylet, najpewniej ten, który dał jej Hierarcha. Rękojeść wysadzana jest kamieniami, a na ostrzu widać skomplikowany, srebrzysty grawerunek.

– Nie pozwolę na to, żeby zwykła dwórka mówiła do mnie w ten sposób. Kiedy ta cała rebelia się skończy, zadbam o to, by wyrwano ci język. A twoja głowa trafi na pal. Sprawię...

– Niczego nie sprawisz – mówię chłodno, idąc powoli ku tronowi.
– Nie masz już żadnej władzy w tym mieście. A ja nie jestem zwykłą dwórką.

Nigdy więcej nie będę się jej bała.

A ona niech zobaczy wreszcie, kim naprawdę jestem.

Najpierw zobacz, jakie jest. Potem w myślach ujrzyj swych. Potem wolą skrępuj to.

Skóra głowy swędzi mnie, gdy moje włosy odzyskują swój naturalny, czarny kolor, a nos piecze, wracając do normalnego kształtu, tak samo jak czoło. Oczy zostawiam na koniec. Znow mam wrażenie, jakby płonęły mi w czaszce, jednak zmuszam się, by nie zamykać ich, kiedy zieleń z wolna przemienia się w fiolet. Chcę zobaczyć minę Diuszesy, kiedy spostrzeże, że to ja.

Nie czuję zawodu.

Diuszesa otwiera usta i upuszcza sztylet, który odbija się od posadzki i ląduje tuż poza zasięgiem Hazel. Moja siostra sięga po niego, ale smycz ogranicza jej ruchy. Diuszesa pośpiesznie chwytą ostrze, po czym szarpnięciem za włosy stawia Hazel na nogi i przyciska jej sztylet do gardła.

– Cofnij się – rozkazuje.

– Violet – jęczy Hazel.

– Nie skrzywdzisz jej – syczę. Chętnie połączyłabym się z Powietrzem i zdmuchnęła Diuszesę z podwyższenia, ale to mogłoby się fatalnie skończyć dla Hazel.

– No więc – mruczy Diuszesa, wyraźnie pewniejsza siebie, mając moją siostrę za zakładniczkę – wróciłaś. Byłam ciekawa, czy to zrobisz. Między innymi dlatego to właśnie ją zabrałam. Pomyślałam, że może złapię cię, gdy będziesz próbowała jej pomóc. – Unosi jedną brew. – Przebranie miałaś znakomite, muszę ci to przyznać.

Ash, Raven i Garnet otaczają mnie luźnym półkolem. Cora przygląda mi się z niecierpliwością, nie mogąc doczekać się, aż pomszczę jej córkę.

– Między innymi... – mówię powoli. – Jakie były inne powody?
Diuszesa wzrusza ramionami.

– Czy to nie oczywiste? Miałam nadzieję, że twoja siostra ma takie same zdolności jak ty. Szybko okazało się, że nie jest surogatką, jakiej potrzebowałam. No i nie może mieć dzieci. – Dostrzegam w oczach Diuszesa przeblysłk czegoś, czego nie potrafię zidentyfikować. Jakby... żalu? Ale uczucie to znika zbyt szybko, bym mogła dojść, o co chodzi. Diuszesa jeszcze mocniej odciąga głowę Hazel do tyłu. – Kiedy uciekłaś z tą męską dziwką, myślałam, że to już koniec. Że nigdy nie osiągnę tego, co sobie wymarzyłam, czego pragnęłam... Że nie uda mi się posadzić na tronie córki, żeby rządziła tak, jak ja miałam kiedyś rządzić. Ale... Macie takie powiedzenie w niższych Kręgach, prawda? Kiedy życie ma dla ciebie tylko kwaśne cytryny, to zrób z nich lemoniadę. Dostrzegłam pewną możliwość. Czemu miałabym darować dziecku życie, którym to ja powinnam żyć? Wybranka... Och, Wybranka jest prosta i głupiutka, łatwo nią manipulować. Czemu by tego nie wykorzystać? Przecież i tak robiła, co w jej mocy, żeby mi się przysłużyć. Powtarzała wszystkim wokół, jak strasznie mnie nienawidzi i jak bardzo nie życzy sobie bratać się z moim Domem. Była zazdrosna. A zazdrość to takie żalosne uczucie... Zatruiwa umysł. Nie daje ci spokoju. Sprawia, że zachowujesz się nieostrożnie. A przecież Wybranka miała wszystko, tylko nie umiała tego docenić. Ha! Gorzej nawet, dostała coś, na co nigdy nie zasługiwała.

– Więc wykradłaś moją siostrę i uknułaś intrygę przeciwko Wybrance, żeby wreszcie połączyć się z Hierarchą?

– Niezła dedukcja – zauważa Diuszesa ze złośliwym półuśmiechem. – Kiedy Onyx zorientował się, że naprawdę jest szansa, że będziemy znów razem... No cóż, zrobilibyśmy dla siebie wszystko. Nawet gdyby miało to oznaczać zamordowanie jego koszmarnej żony. To jest głębia naszej miłości.

– To gdzie on się teraz podziewa? – rzucam, wykonując zamaszysty gest ręką. – Wygląda na to, że cię porzucił.

– Och, nie – odpowiada ze spokojem Diuszesa. – On nigdy więcej mnie nie porzuci.

Coś w tonie jej głosu sprawia, że czuję niepokój. Cora również

zdaje się denerwować. Rozgląda się po komnacie, ale nikogo prócz nas w niej nie ma.

– Kiedyś już to zrobił – zauważam, starając się znaleźć jakiś słaby punkt Diuszesy. Co i raz zerkam na przyciśnięty do gardła Hazel sztylet.

– Zostawił się. Poślubił Wybrankę.

– Nie mów o nim tak, jakbyś cokolwiek o nim wiedziała – odparowuje Diuszesa. – Nie zostawił mnie. Nie z własnej woli. Zostaliśmy rozdzieleni siłą. – Unosi dumnie głowę. – Kochamy się. Bardziej niż dwoje ludzi kiedykolwiek się kochało. Razem... Razem stworzyliśmy coś pięknego, a oni nam to zabrali, wydarli to ze mnie, nazwali potworem... To było nowe życie. Rosło we mnie. – Jej spojrzenie jest dzikie, półprzytomne. – To nie jest sprawiedliwe! – krzyczy. – Wy głupie, bezużyteczne surogatki! Możecie mieć dzieci! Możecie rodzić! A ja?

Stoję jak wmurowana. Diuszesa była brzemienna? Kiedy kobiety z arystokracji wychodzą za mąż, są sterylizowane, ale... Cóż, wychodzi na to, że Hierarcha i Diuszesa sypiali ze sobą o wiele wcześniej. Słyszę, jak Garnet ze świstem wciąga powietrze. Nawet Cora wydaje się zszokowana. Gdyby te wieści kiedykolwiek się rozniosły, Dom Jeziora upadłby w jednej chwili.

Oczy Diuszesy błyszczą od łez, choć jej dłonie aż drżą z furii. Czubek sztyletu dotyka szyi Hazel i po jej skórze spływa kropla gęstej krwi.

– Ależ byłam głupia – szepce Diuszesa. – Myślałam, że pozwolą mi urodzić to dziecko. Że pozwolą mi je zatrzymać.

Przez krótką chwilę widzę ją taką, jaką musiała być kiedyś, młodą i zakochaną. Na kogo mogłaby wyrosnąć, gdyby jej losy potoczyły się inaczej?

– Przykro mi z tego powodu – mówię.

Carnelian odrywa wzrok od Asha i patrzy na mnie zszokowanym wzrokiem. Ma dokładnie taki sam wyraz twarzy jak Diuszesa i po raz pierwszy, od kiedy znam je obydwie, dostrzegam ich pokrewieństwo.

Zaskoczenie Diuszesy niemal natychmiast zamienia się w pogardę.

– Nie potrzebuję twojej litości – cedzi. – I nie chcę jej.

– Tym się właśnie różnimy – mówię. – Ty widzisz litość. Widzisz

słabość. Ja widzę współczucie i siłę. Kiedy ty cierpisz, chcesz sprawić, by wszyscy wokół ciebie również cierpieli. Pozwoliłaś na to, żeby ta tragedia przemieniła cię w kogoś zimnego i okrutnego. Zamordowałaś Dahlię, dziewczynę, której imienia nawet nie znałaś i która niczego ci nie zrobiła. Otrułaś ją z niechęci do Wybranki. Zabiłaś Annabelle tylko po to, by mnie ukarać. Odbierasz życie zupełnie bez powodu, bo tak chcesz, bo pragniesz coś komuś udowodnić. A mogłaś stać się kimś wspaniałym, Pearl. – Zwracam się do niej tak samo, jak Raven zwróciła się do Hrabiny Kamienia, jak do kogoś równego mi statusem. – A kim jesteś? Kolejną małoszkową, wredną arystokratką.

– Nie. Ona jest kimś więcej – oznajmia nagle niski głos.

Z cieni wyłania się Hierarcha, a do komnaty wlewają się jego osobiści strażnicy, morze czerwonych, pasujących do obicia siedzisk tronów, kurtek.

– Onyx – mówi Diusza z wyraźną ulgą. – Zastanawiałam się, gdzie się podziałeś.

Otacza nas przynajmniej dwudziestu Gwardzistów, a każdy z nich trzyma w dłoni karabin.

Jesteśmy w pułapce.

Rozdział 27

Hierarcha nachyla się, by pocałować Diuszesę w policzek. Żadne z nich nie zwraca uwagi na przerażoną Hazel.

– Miałem zamiar posłać więcej ludzi do miasta – wyjaśnia Hierarcha – ale wtedy usłyszałem głosy i uznałem, że lepiej sprawdzę, co się z tobą dzieje.

– Cieszę się, że to zrobiłeś, najdroższy. Pamiętasz zapewne moją poprzednią surogatkę, 197. Przybyła na pomoc swojej siostrze.

– Dokładnie tak, jak się spodziewałaś – zauważa władca i jego wzrok przesuwają się na Garneta. – A on co tutaj robi?

– Jest z nimi. Zawsze był rozczarowujący.

Hierarcha muska palcem linię szczęki Diuszesy.

– Zasłużyłaś na coś lepszego – stwierdza.

Nawet na nas nie patrzą. Mamy jeden pistolet i żadnych szans w starciu z karabinami. Miecz Asha również wiele nie pomoże.

– No więc – Diuszesa zwraca się w moją stronę – od jak dawna knułaś z eunuchem?

Mózg mi niemal paruje, kiedy usiłuję wymyślić jakiś sposób, by nas stąd wydostać. Najlepiej przeciągać to wszystko, póki nie doznam jakiegoś objawienia.

– On miał imię – mówię.

– Ależ świetnie zdaję sobie sprawę z imienia Luciena, po prostu nie...

– Nazywał się inaczej. Rozumiesz w ogóle, dlaczego to wszystko się dzieje? – Gestem wskazuję przedstawiające zachód słońca okno i to, co poza nim. – Czy jesteś w stanie pojąć, co zrobiliście żyjącym w tym mieście ludziom? Co zrobiliście tej wyspie?

Uśmiech Diuszesy jest lodowaty.

– Jesteś głupiutką dziewczuchą. Bez nas ta wyspa byłaby niczym. To my uczyniliśmy ją wielką. Stworzyliśmy coś w miejscu, w którym wcześniej nie było niczego.

– Nie było niczego? To nieprawda – odpowiadam. – Żyli tu ludzie, nasi przodkowie. Ludzie, których wasi wspaniali przodkowie, którymi

tak się szczylicie, wymordowali. Albo przynajmniej tak im się wydawało.

Diuszesa sztywnieje, a Hierarcha wygląda na zaskoczonego.

– O czym ona mówi? – pyta.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Diuszesa.

Tym razem to ja się uśmiecham.

– Jak myślisz, co robił Lucien w twojej bibliotece? Wkuwał grzecznie historię arystokracji? Och, ludzie, ludzie... Nic a nic się nie zmieniliście. Bierzecie to, czego tylko zapragniecie. Naprawdę sądziłaś, że udało wam się zabić wszystkie Paladynki?

– Kogo? – chce wiedzieć Carnelian, ale nikt jej nie odpowiada.

– Skąd o tym wiesz? – syczy Diuszesa.

– Bo jestem jedną z nich. Sądziłaś, że wasz mur sam upadł? Nie wyobrażasz sobie, do czego jestem zdolna.

– Więc pokaż mi! – Diuszesa jeszcze mocniej odgina głowę Hazel. Siostra wydaje okrzyk bólu. – Jedyne, co widziałam, to kilka podmuchów wiatru. Udowodnij swoją siłę. Proszę bardzo, zabij mnie.

Myślę o tym. Myślę o zawałeniu jej na głowę sufitu, o Powietrzu przetrącającym jej kark, albo o topiącej ją Wodzie, którą wyczuwam w ogrodzie za oknami.

Ale nie jestem Diuszesą. Nie rozwiązuję problemów brutalnością i rozlewem krwi.

– Mogłabym to zrobić – mówię ostrożnie. – Ale tego nie uczynię.

Diuszesa wybucha wysokim, odbijającym się od ścian śmiechem.

– Mogłabym, ale tego nie uczynię – przedrzeźnia mnie. – Och, to było niezłe.

Hierarcha również zaczyna się śmiać. Cora jest wściekła. Robi krok naprzód.

– Obiecałaś mi, że ją zabijesz! – krzyczy.

– Przepraszam – mówię w tej samej chwili, w której Diuszesa pyta:

– Co takiego?

– Zamordowałaś moją córkę – wrzeszczy Cora, obracając się do niej. – Myślałaś, że mnie to nie obejdzie? Naprawdę wierzyłaś, że niczego do niej nie czuję?

Diuszesa miażdży dwórkę pogardliwym spojrzeniem. Cora się

wzdryga.

– Powinnam była utopić to chuchro, kiedy się urodziło – cedzi. – Miałaś szczęście, że w ogóle mogłaś ją poznać.

– Czy ty w ogóle słyszysz samą siebie, Matko? – wtrąca się Garnet.
– Annabelle była... Była najmilszą osobą w całym pałacu. Była niewinna. Była dobra.

– Nikt nie jest do końca niewinny – odpowiada Diuszesa. – Jeśli w to wierzysz, to jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam. – Spogląda na coś za moimi plecami. – Zacznijmy od Towarzysza, dobrze?

Wszyscy byliśmy tak skoncentrowani na tym, co dzieje się na podeście, że nikt z nas się nie obejrzał. Obracam się i widzę, jak trzech Gwardzistów dopada Asha. Dwóch łapie go za ramiona, zabierając mu miecz, a trzeci przystawia mu lufę do czoła.

– Nie! – krzyczymy unisono z Carnelian.

Gwardzista, który trzyma broń, ma brzydką, kwadratową twarz i złoty ząb, który połyskuje, kiedy mężczyzna się uśmiecha. Wygląda na brutala, na kogoś, kto lubi zadawać ból.

Ash wpatruje się we mnie i szepce bezgłośnie: *Hazel*.

Wiem, o co mu chodzi, ale... Nie umiem. Nie potrafię tak po prostu wybrać. Ash patrzy na mnie, jakby to była nasza ostatnia wspólna chwila. Jakby przygotowywał się na to, że nigdy już mnie nie zobaczy.

– Zabij mnie! – wrywa się nagle Carnelian. Patrzy błagalnie na Diuszesę. – Zabij mnie zamiast niego. Proszę. Tylko nie rób mu krzywdy.

To bardzo odważne z jej strony. Odrywam wzrok od Asha, by na nią spojrzeć. Wygląda na przestraszoną, ale i szczerą. Ona naprawdę gotowa jest zginąć dla Asha. Aż trudno mi uwierzyć, że kiedyś miałam ją za tępą i wredną babę. Moja nienawiść do niej nie miała tak naprawdę podstaw.

– Carnelian, przestań proszę odstawiać ten cyrk. Robisz z siebie idiotkę. – Diuszesa nawet nie trudzi się, by spojrzeć na siostrzenicę. Wygląda, jakby to, co się dzieje, sprawiało jej sporą radość. Po szyi Hazel spływają kolejne krople krwi. – Powiedz mi, jaka byłaby z tego korzyść? Żywa czy martwa, nic dla mnie nie znaczysz. Ten Towarzysz ryzykował życiem, by być z surogatką. Jesteś aż tak ślepa? On cię nie

kocha. Nawet twoja własna matka wolala śmierć niż twoje towarzystwo. Kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że tak naprawdę nikt cię nie chce?

Nawet ja czuję, jak pełne jadu są jej słowa obliczone na to, by dotknąć Carnelian jak najgłębiej, w te miejsca, które są najbardziej obolałe po latach żalu i okrucieństwa.

Błyskawicznie staję się jednością z Powietrzem, zupełnie jakby żywioł cały czas na mnie czekał.

Diuszesa posyła mi ostatnie, obojętne spojrzenie.

– Zabijcie wszystkich – mówi znudzonym tonem, ale ja jestem gotowa i nie pozwolę jej skrzywdzić moich przyjaciół.

Karabiny wystrzeliwiają niemal unisono ze zwielokrotnionym hukiem.

Potrafisz to zrobić, szepce mi Lucien. Wierzę w ciebie.

Wyczuwam każdy z pocisków, które tną powietrze, zatrzymuję je więc i podbijam w górę, a potem sprawiam, że zaczynają krążyć nad nami niczym stado przerośniętych much.

Hazel z całej siły nadeptuje Diuszesie na palce. Arystokratka wydaje zduszony okrzyk i puszcza moją siostrę. Sztylet spada poza podium.

Unoszę dłonie. Gwardziści gapią się na naboje, wyraźnie oszołomieni i skonfundowani. Rozcinając rękoma powietrze, posyłam pociski tam, skąd przyleciały. Strażnicy upadają niczym skoszony łan zboża. Jeden z pocisków przelatuje przez przymocowany do obroży mojej siostry łańcuch, rozrywając go na dwoje.

Raczej wyczuwam, niż widzę, że paskudny Gwardzista do mnie strzela. Słyszę okrzyk Asha, a potem głośnie chrupnięcie. Niemal od niechcienia odbijam pocisk, nie dbając o to, w którą stronę polecą. Hazel rzuca mi się w ramiona.

– Jesteś bezpieczna – szepczę, gdy szłocha mi w ramię. – Trzymam cię. Jesteś bezpieczna.

– NIE! – krzyk, który wydobywa się z gardła Diuszesy, jest dziki i chrapliwy niczym wycie umierającego zwierzęcia. Po chwili dociera do mnie, co się stało. Ostatni pocisk, ten, który posłałam byle gdzie, trafił dokładnie w sam środek klatki piersiowej Hierarchy.

Diuszesa trzyma władcę w ramionach, a po jej policzkach płyną

łzy.

– Onyx... Błagam, proszę... nie, nie...

Z ust mężczyzny płynie krew.

– Pearl – chrypi Hierarcha, wyciągając dłoń, żeby dotknąć twarzy Diuszesy. A potem jego ręka opada bez życia, a głowa przechyla się na bok. Diuszesa rozpaczliwie tuli się do martwego ciała, a potem podrywa nagle głowę.

– Za to zabiję cię bardzo powoli – oświadcza, patrząc na mnie płonącymi oczyma. Delikatnie opuszcza zwłoki Hierarchy na ziemię, a potem wstaje, by stawić mi czoła. Ostrożnie popycham Hazel za siebie i przygotowuję się do zjednoczenia z Ziemią, żeby usunąć Diuszesie posadzkę spod stóp. – Rozumiesz mnie? Za to...

Nagle wydaje zdławiony okrzyk, a jej plecy wyginają się w łuk. Zaczyna się dławić, dźwięk jest tak upiorny, że najchętniej zatkałabym uszy. Na błękitnej sukni wykwita plama czerwieni, zmieniając kolor materiału, jakby ktoś użył na nim Augurii..

Za Diuszesą stoi Carnelian. Płynnym ruchem wyciąga sztylet z pleców ciotki i triumfalnie unosi go do góry. Musiała go podnieść, kiedy spadł poza podest.

– Jesteś jednym wielkim rozczarowaniem, Carnelian – syczy, przedrzeźniając Diuszesę, po czym znowu wbija w jej plecy sztylet. – Nikogo nie interesuje, co masz do powiedzenia, Carnelian. – Ostrze znów zatapia się w ciele. – Nikt cię nie kocha, nikt cię nie kocha. – Carnelian raz po raz dźga Diuszesę, a ja mogę tylko patrzeć, oszołomiona i przerażona.

W końcu Diuszesa upada na podłogę obok ciała Hierarchy. Carnelian wygląda tak, jakby miała ochotę zabić ją jeszcze z tuzin razy, ale podbiega do niej Ash i chwyta ją za nadgarstki. Carnelian cała się trzęsie.

– Już, już dobrze – mruczy Ash. – Już po wszystkim. Ona nie żyje. Już dobrze.

Carnelian mruga i unosi na niego wzrok.

– Ona... Ona była... Ja... Nie mogłam...

– Wiem – mówi miękko Ash. Sztylet upada na podłogę, a Carnelian tuli się do Asha i rozpaczliwie płacze. Patrzymy na siebie

ponad jej głową. Kiedyś taka scena wzbudziłaby we mnie zazdrość. Zmieniłam się.

Hazel szarpie mnie za ramię, odwracam się więc do niej.

– Rany, pozbądźmy się tego – mówię, spoglądając na obrozę na szyi siostry. Raven pomaga mi ze smyczą, a ja ściągam z twarzy Hazel welon. Garnet poszedł pomóc Corze. Hazel zrzuca wysokie obcasy, a potem pomagam jej pozbyć się sztucznego brzucha. Siostra z wyraźną furią wykopuje go dalej.

– Już po wszystkim? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Hazel zarzuca mi ramiona na szyję i przez długą chwilę po prostu mocno się obejmujemy.

– To, co zrobiłaś... – mówi w pewnym momencie, unosząc głowę, żeby na mnie spojrzeć. – No wiesz, z wiatrem i pociskami... – Oszołomiona rozgląda się po pomieszczeniu. – Mówiłaś mi, że umiesz różne rzeczy, ale to...

– Ty też je umiesz – oznajmiam jej.

Siostra mruga.

– Umiem?

Uśmiecham się do niej.

– To jest Raven – wyjaśniam. – Moja najlepsza przyjaciółka. Jeśli zechcesz, wszystko ci pokaże.

– Chcesz, żebym teraz zabrała ją na klif? – dopytuje Raven.

– Co takiego? – pyta Hazel.

– Może niekoniecznie w tej chwili – mówię. – Może to za wcześnie. Hazel powinna odpocząć. Minęło...

– Przez całe miesiące nie robiłam nic, tylko odpoczywałam – protestuje Hazel, cofając się o krok i splatając ramiona na piersi. – Pokażcie mi, co tam chcecie mi pokazać. Dam sobie z tym radę.

Puchnę wręcz z dumy.

– Wiem, że dasz sobie radę. Chodź.

Opuszczamy salę tronową i wychodzimy do ogrodu, w którym ponad różanymi krzewami latają motyle. Słońce wygląda jak topiący się krążek złota na idealnie błękitnym niebie. Wszędzie wokół czuję moc natury, jej pełen życia spokój. Udało nam się.

Raven bierze mnie za rękę, a ja chwytam dłoń Hazel.

– Co robimy? – pyta siostra.

– Pokażemy ci, kim naprawdę jesteś – mówię. Powtarzałam to tak wiele razy, w Bramie Południowej i we wszystkich innych Magazynach. Dawałam dziewczętom coś, w co mogły uwierzyć, uświadamiałam im, jak niesamowicie są potężne.

Ale nigdy wcześniej nie znaczyło to dla mnie tak wiele, jak w tej chwili.

Klif jest przepiękny.

Niebo nad nim wygląda jak nasze niebo, bezchmurne i niebieskie. Powietrze jest ciepłe i łagodnie porusza bujnymi, żywozielonymi koronami drzew, a wokół posągu leniwie krążą pszczoły. Ocean śpiewa kojącą pieśń. Och, jakże bym chciała zobaczyć ten prawdziwy ocean otaczający naszą wyspę.

Obracam się do siostry. Hazel rozgląda się wokół, zahipnotyzowana pięknem i majestatem tego miejsca. W jej fiołkowych oczach widzę zachwyt.

Wzdycham.

Błagam, odmieńcie ją, szepczę bezgłośnie do moich przodkiń, które wciąż trwają wokół nas, w przestrzeni pomiędzy życiem a śmiercią. Proszę.

Odmieńcie ją, powtarza za mną Raven. Nasze błagania unoszą się w powietrzu i okrążają srebrno-błękitną statwę. Mam wrażenie, jakbym słyszała setki głosów naraz wypowiadających naszą prośbę.

Odmieńcie ją, odmieńcie ją...

Hazel podbiegła do krawędzi klifu i spogląda na ocean. Nagle chwytą się za twarz i opada na kolana. Chcę ruszyć jej na pomoc, ale Raven mocniej chwytą mnie za rękę. Przez kilka chwil moja siostra kołysze się w przód i w tył, a potem zastyga w bezruchu.

Kiedy obraca się w naszą stronę, serce nieomal wyskakuje mi z piersi. Gdybym mogła w tym miejscu dobyć z siebie głos, gdybym mogła krzyczeć albo płakać, zrobiłabym to.

Magia klifu zadziałała. Paladynki sprawiły, że Hazel znów stała się sobą. Cokolwiek zrobił jej lekarz, jego sztuka nie może się równać z magią, która przepelnia to miejsce.

Twarz Hazel jest taka, jak ją zapamiętałam. Oczy wróciły do swego pierwotnego koloru, a nos, usta i policzki mojej siostry są takie same jak dawniej.

Hazel patrzy na mnie ze zdumieniem i zachwytem, który wcześniej widziałam na twarzach tak wielu dziewcząt. Razem z Raven dołączamy do niej na skraju klifu. Patrzymy na ocean, pozwalając, by jego słońca woń wypełniła nasze nozdrza. Czuję zachwyt. I ciekawość. Mam wrażenie, że jestem tylko bardzo małą częścią czegoś tak wielkiego, że nie można tego pomieścić na jednej wyspie, w jednym mieście.

Chciałabym wiedzieć, co jest dalej.

Ja również, myśli Raven. Chcesz to odkryć?

Tak. Ale wcześniej muszę coś jeszcze zrobić.

Rozdział 28

Kiedy wracamy z klifu, okazuje się, że kwiaty Hazel są białe tak samo jak moje.

Siostra klęka przy nich, a wtedy rosną wyżej, muskają płatkami opuszki jej palców, po czym więdną i giną, zastępowane przez kolejne.

– Co czujesz? – pytam, ciekawa, z jakimi żywiołami związana jest Hazel.

– Wszystko – szepce. – Czuję, jak rośnie trawa, słyszę szepty wiatru i... Mam wrażenie, że jest tu coś płynnego, jak... woda?

Kładę jej dłonie na ramionach.

– Posiedź tu przez chwilę. Od teraz wszystko się zmieni. Ciesz się tą chwilą. To początek twojego nowego życia.

I to jaki początek, myślę. To przecież zupełnie nowe miasto. Nowy świat.

Nie chcę zostawiać tu siostry, jest jednak coś, co muszę zrobić, a raczej miejsce, w które chcę się udać.

Odwracam się do Raven, ale ona jak zwykle wie, o co mi chodzi, zanim o tym powiem. To dodatkowa zaleta posiadania przyjaciółki, która czasem potrafi czytać w myślach.

– Garnet i ja zostaniemy tu z nią – oznajmia. – Idź.

Ciekawe, czy wie, dokąd się wybieram, czy tylko czuje moją potrzebę. A zresztą, czy to ważne? Uśmiecham się i obejmuję ją mocno.

– Zrobiliśmy to – szepcę.

– Zrobiliśmy – szepce Raven.

Hazel klęczy w trawie i oczyma pełnymi zachwyty patrzy na różany krzew. Nagle pączki gwałtownie rozkwitają, eksplodując feerią barwnych płatków. Zostawiam siostrę zachwyconą naturą i idę do środka.

Garnet i Cora przenieśli ciała Diuszesy i Hierarchy pod ścianę, a teraz znoszą na środek sali karabiny Gwardzistów. Carnelian siedzi na podwyższeniu z Ashem. Wciąż wygląda na wstrząśniętą.

Kiedy wchodzę do pomieszczenia, Ash wstaje.

Potykam się o własne nogi. Dociera do mnie, jak straszliwie jestem

zmęczona, ale ten dzień przecież wciąż jeszcze się nie skończył.

– Co z Hazel? – pyta Ash, ujmując mnie za łokieć.

– W porządku. – Wbijam w niego wzrok, nie chcąc patrzeć na ciało na podłodze. – Ja... Muszę gdzieś pójść. Jest tutaj takie miejsce... Sekretne. Muszę...

Nie wiem, co właściwie muszę zrobić. Wiem jedynie, że chcę wrócić do pracowni Luciena. Sprzysiężenie wygrało, tak więc nie ma powodu, bym niszczyła to miejsce. Pragnę jednak upewnić się, że w warsztacie wciąż unosi się jakaś cząstka Luciena. Że nie porzucił do końca tego świata.

Ash obejmuje mnie w talii i całuje w czoło.

– Gdziekolwiek się wybierasz – mówi – idę z tobą.

Trzymając się za rękę, wychodzimy z sali tronowej i przemierzamy puste korytarze wiodące do frontowych drzwi. Skręcam w lewo i już mam poprowadzić Asha do przedpokoju z malowidłem psa, kiedy przystaję.

– Chcę, żebyś to zobaczył – szepczę, a poczucie winy niemal przygniata mnie do ziemi. – Chcę, żebyś zobaczył, co najlepszego narobiłam.

Otwieram drzwi do pokoju pełnego luster. Ash ze świstem wciąga powietrze i wchodzi do środka. Jego oszołomiona twarz odbija się w potrzaskanym szkłe. Część zwierciadeł została usunięta, ale reszta jest tam, gdzie je zostawiłam, zupełnie jakby służba porzuciła sprzątanie w połowie. Wciąż zostało mnóstwo kluczy.

– To ty to zrobiłaś? – pyta Ash.

– W noc poprzedzającą Aukcję. Wtedy władcy wydali kolację, więc byłam tu z Carnelian i... Byłam taka wściekła. Sfrustrowana. Chciałam, żeby ten koszmar jak najszybciej się skończył. Nie... Nie sądziłam, że ktoś to zobaczy. W tym pałacu są setki komnat. Ja... Myślałam, że jestem taka mądra, taka odważna.

Gardło mi się zaciska i milknę. Nie, nie byłam mądra. Zachowałam się idiotycznie i z tego powodu Lucien stracił życie.

Ash patrzy na mnie, jakby czytał we mnie jak w księdze. A może po prostu emanuję poczuciem winy.

– Więc chcesz teraz ukarać samą siebie?

– Tak – szepczę. Patrzę na swoje odbicie w owalnym lustrze, na roztrzaskane oko i przecięte na ukos wargi.

Ash zakłada mi kosmyk włosów za ucho i ujmuję moją twarz w dłoń.

– Naprawdę sądzisz, że Lucien chciałby, żebyś poniosła za to karę? Nie sądzisz, że raczej czułby się dumny? Naznaczyłaś jego symbolem pałac, w którym tak długo żył zniewolony.

– Zabiłam go – wyrzucam z siebie.

– Nie – mówi miękko Ash. – To arystokracja go zabiła. – Wie, że mu nie wierzę. – Dokonałaś pewnego wyboru, Violet. A każdy wybór niesie ze sobą konsekwencje. Ocaliłaś mnie. Ocaliłaś Raven. Nie zawsze to, co wybieramy, daje efekty, których byśmy chcieli albo których byśmy się spodziewali. Ale to, co zrobiłaś, co zrobił Lucien, to co ja, Raven, Garnet, wszyscy w Białej Róży i w Stowarzyszeniu próbowaliśmy robić... Przecież wiesz, o co nam chodziło, prawda? O to, by każdy, niezależnie od swojego pochodzenia i statusu społecznego, mógł dokonywać własnych wyborów. Niektóre rzeczy są większe, ważniejsze niż ja czy ty. – Przytula mnie mocno i szepce mi do ucha: – Ale to nie znaczy, że to nie boli, Violet. On odszedł, więc ból... Nie ma w nim niczego złego. Tylko... Tylko, proszę, nie nienawidź samej siebie.

Po moich policzkach spływają gorące łzy i wsiąkają w koszulę Asha.

– Chodź ze mną – proszę cicho.

W niewielkiej komnacie odsuwam na bok obraz psa i przez otwór wspinam się na schody. Ash nie zadaje żadnych pytań, po prostu idzie za mną. Lucien, zgodnie z tym, co zapowiadał, zostawił mi znaki, białe litery X mówią mi, gdzie mam skręcić i którymi iść korytarzami. Wreszcie, mam wrażenie, że po godzinie, stajemy przed drzwiami jego pokoju.

Otwieram je drżącymi dłońmi. W sypialni Luciena panuje chaos, widocznie był tutaj, gdy po niego przyszli. Koce i ubrania walają się po podłodze, a kredens leży na ziemi. Na szczęście szafa kryjąca wejście do warsztatu pozostała nietknięta.

To tylko kilka kroków, ale mnie wydaje się, że od pracowni dzielą

mnie kilometry. Nie, nie kilometry. Równie dobrze mogłaby być na innej planecie.

Nogi zamieniły mi się w kamień i wrosły w podłogę. Nie mogę się ruszyć. Z trudem oddycham.

Ash nie ma pojęcia, gdzie się znalazł, nie wie, ile znaczy dla mnie to miejsce, a jednak bez wahania staje u mojego boku i spleta swoje palce z moimi. W tym momencie uświadamiam sobie, że choć straciłam Luciena, to wpływ, jaki wywarł na mnie, na moje życie, na moich przyjaciół i ludzi, których kocham, jest wieczny.

Trzymając Asha za rękę, stawiam pierwszy krok. A potem kolejny. Idę, nie, niemal biegnę do szafy. Gwałtownie otwieram drzwi, odsuwam na bok białe szaty i wyszarpuję arkana z włosów, by przycisnąć je do wgłębienia w tylnej ścianie.

Ukryte przejście otwiera się z cichym kliknięciem. Stoję w progu, czując na ramionach gęsią skórkę. W środku, jedno po drugim, zapalają się światła.

– Violet? – pyta Ash.

– Zaczekaj chwilę. Proszę.

Otwieram szeroko przejście i zostawiam Asha za sobą, wiedząc, że mnie posłucha, mając pewność, że choć nie wie, co się dzieje, to wierzy we mnie i w to, co robię.

Wchodzę do pracowni Luciena i wspomnienia są jak cios w splot słoneczny. Zegary na ścianie tykają miarowo, jakby ich właściciel miał za chwilę wrócić. Notatki, książki, zlewki... Wszystko wygląda dokładnie tam samo jak w dniu, w którym Lucien mi je pokazał, dawno temu, kiedy byłam Imogen, a Coral wciąż żyła.

Kiedy mój wzrok pada na stojącą w kącie sztalugę, z ust wrywa mi się zdławiony okrzyk... A może raczej szloch. Obraz, który malował Lucien, ten, na którym był zaledwie zarys dziewczyny... Myślałam, że przedstawia Azaleę.

Ale to ja.

Lucien oddał moją twarz we wszystkich szczegółach, nie zapomniał nawet o lekko spiczastej brodzie. Spoglądam na nim lekko w lewo i uśmiecham się uśmiechem jednocześnie słodkim i zwodniczym, jakbym za chwilę miała zrobić coś szalonego. Włosy

spływają mi na ramiona, a moje oczy... Lucien idealnie oddał ich kolor. Na stole spostrzegam kilka tubek z różnymi odcieniami fioletu.

Kiedy patrzę na ten portret, walczą we mnie poczucie winy, żal i miłość. Nie zwracam uwagi na zalaną łzami twarz. Kręci mi się w głowie, a kolana uginają się przede mną. Pokój wiruje i wiem, że za chwilę zemdleję.

Silne ręce chwytają mnie i stawiają na nogi. Znajomy zapach Asha jest równie krzepiący, co jego ramiona, ale nie powstrzymuje mnie od łez. Płacę jeszcze bardziej rozpaczliwie. Nagle ciężar całego dnia spada na mnie jak wielki głaz, szlocham więc i szlocham, póki nie zaczyna brakować mi łez. Ash milczy. Pozwala mi po prostu przez to przejść.

Wreszcie zbieram się w sobie i biorąc głęboki oddech, uśmiecham się blado. Ash ociera moje policzki.

– To jest... To niesamowite miejsce – mówi. – I tak bardzo kojarzy się z Lucieniem.

Przetykam lepka ślinę, a potem przesuwam dłońmi w dół ramion Asha i ujmuję go za nadgarstki. Jeszcze raz rozglądam się wokół siebie.

– Powiedział mi, żebym je zniszczyła, jeśli przegramy. Kazał mi to przyrzec.

– No cóż, cieszę się, że tej obietnicy nie musisz dotrzymać.

Czuję się wyczerpana, ale najbardziej na świecie chcę być teraz z moją siostrą.

– Chodźmy – mówię, kiedy jednak się odwracamy, mój wzrok przyciąga coś błyszczącego. Miedziana rurka, sprężyna, którą Lucien bawił się, kiedy opowiadał mi o swoich zegarach, ta, którą rozwinął i rzucił na stół. Zabieram ją i chowam do kieszeni.

Potem wyciągam kamerton z drzwi i wracamy z Ashem do naszych przyjaciół i mojej rodziny.

Rozdział 29

Następnego dnia grzebiemy naszych zmarłych.

Pałac Królewski stał się nową główną kwaterą Sprzysiężenia Czarnego Klucza. Ludzie zaczęli napływać wczoraj wieczorem – służący, członkowie konspiracji, przyjaźni nam Gwardziści, Paladynki. Sil przybyła razem ze swoją grupą po tym, jak „zawaliły solidny kawał tej cholernej ściany”, jak to ujęła. Sienna przyszła później. Czując na jej widok ogromną ulgę, uściskałam ją, a ona nie tylko nie protestowała, ale również mnie objęła.

Rankiem przybywa Ochre z gromadą chłopaków mniej więcej w jego wieku. Obydwie z Hazel rzucamy się na niego i po chwili wszyscy troje leżymy na ziemi, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Sprzysiężeniu? – pyta Hazel, uderzając go w ramię.

– Przecież powiedziałem! – protestuje Ochre, unosząc dłoń, by powstrzymać kolejny cios. – Ale nie chciałaś mi wierzyć.

– Poczekaj, aż zobaczysz, co potrafię! – Hazel wojowniczo wysuwa brodę.

– Coś w stylu tego, co robi Violet z wodą i tak dalej?

– Ej, gdzie to widziałeś?

– Och, Hazel, od bardzo dawna jestem członkiem Sprzysiężenia – chlępi się Ochre.

– O rany, przestańcie! – rzucam z szerokim uśmiechem i obejmuję obydwój ramionami. – Cieszę się, że wreszcie jesteście razem.

Tej nocy odbywa się spotkanie, na którym mamy przedyskutować, co zrobić z ocalałymi arystokratami. Tak jak mówił Lucien, wielu ludzi domaga się ich śmierci. Inni, na przykład Sil, uważają, że szlachta powinna zapłacić za swoje zbrodnie ciężką pracą.

Wreszcie dochodzimy do porozumienia. Zostanie zwołany trybunał, w którym zasiądą przedstawiciele wszystkich kręgów i każdy arystokrata zostanie osądzony.

Wraz z Ashem, Raven, Garnetem, Ochre'em i Hazel siedzimy nieco na uboczu. Pewien pomysł nie daje mi spokoju.

Podnoszę się i gestem proszę Sil, żeby za mną poszła. Nie zadaje pytań, kiedy prowadzę ją do pracowni Luciena.

– No cóż – mówi wreszcie po długim milczeniu. – Tylko on mógł wymyślić coś takiego.

– Pomyślałam, że może jest tu coś, co mogłoby pomóc Sprzysiężeniu. Albo nowemu rządowi, jakkolwiek byśmy go nie nazwali. – Przesuwam palcami po prototypie tabliczki Annabelle. Kiedy unoszę wzrok, Sil dziwnie na mnie patrzy.

– Nie wiem, czy wiesz – zaczyna, podchodząc do półek z książkami i przyglądając się kilku tytułom – ale znałam Luciena od prawie pięciu lat. Kiedy pojawił się u mnie po raz pierwszy, połączyłam się z Powietrzem i zdmuchnęłam go z ganku.

– Co takiego?

– A co ty byś zrobiła, gdyby nagle na twoim progu stanęła dwórka? Biała Róża miała być nie do odkrycia, nie? – pyta Sil z lekką złośliwością. – Po tym wydarzeniu jakoś nie mógł się do mnie przekonać. Oczywiście, dla dobra Azalei musieliśmy jakoś współpracować.

– Wiem.

– Ale Azalea nigdy nie połączyła nas tak jak ty – oznajmia Sil. Gapię się na nią, oniemiała, ale Sil nie ma zamiaru na mnie patrzeć. Niespiesznie przegląda jakieś opasłe, oprawione w skórę tomiszczce. – Jeszcze zanim cię poznałam, dostrzegłam w Lucieniu zmianę. To, jak o tobie mówił... Gdybym usłyszała jeszcze jedną przekłętą historyjkę o Violet, nie wiem, co bym zrobiła. Gadał i gadał, nieważne, czy był z ciebie dumny, czy się martwił, czy zawracał mi dupę przez arkana, żeby na ciebie ponarzekać... – Sil parska śmiechem w otwartą książkę, a ja nie mogę zaczerpnąć tchu. – Strasznie długo mieszkał w tym Kręgu i nie sędzę, żeby dostrzegał, jak bardzo Klejnot wpłynął na niego, nawet jeśli nigdy sobie tego nie życzył. A potem zjawiała się Violet, wręczyła Lucienowi lustro i... bum! Nagle Lucien zobaczył, że nie tylko surogatki warto ocalić, ale jego również.

– Oczywiście, że tak – szepczę.

– Mówisz, jakbyś sądziła, że tak łatwo jest w coś takiego uwierzyć – oznajmia Sil i prycha. – A potem znowu się u mnie zjawiał, nie z jedną,

tylko z dwiema surogatkami oraz Towarzyszem i arystokratą na dokładkę. – Wzdycha ciężko. – Mało mnie szlag nie trafił, zresztą sama wiesz, bo widziałas. Ratowanie tych ludzi, dziewczyny w ciąży i Towarzysza oznaczało dodatkowe ryzyko. Tak strasznie byliśmy z Lucieniem zajęci kombinowaniem, co robić, że zapomnieliśmy, po co właściwie się w to zaangażowaliśmy. Na początku chyba po prostu pragnęłam zemsty. Lucien zresztą też. Chciał pomścić swoją siostrę. Krew za krew.

Wreszcie zwraca się w moją stronę. Jej oczy są zaczerwienione i błyszczące.

– Myliliśmy się. Pokazałaś nam, co jest naprawdę ważne. I... zmieniłaś nas. Chciałabym, żebyś potrafiła to dostrzec, Violet. – Odwraca się i ociera nos rękawem. – Lucien był kretyńcem, co do tego nie ma wątpliwości. Ale nie ma też wątpliwości, że cię kochał.

Opadam ciężko na fotel, a Sil pogrąża się w kartkowaniu notatek, oglądaniu zlewek i mamrotaniu komentarzy, z których mało co rozumiem.

– O, tym się na pewno zainteresuje aptekarz, a na to powinien spojrzeć jakiś kowal.

Lucien odszedł. Rewolucja dobiegła końca. Powinnam zacząć korzystać z wolności, o którą tak ciężko walczyliśmy.

– Sil? – pytam z wahaniem.

– Mhm – mruczy, nie unosząc wzroku znad zlewki z migoczącym błękitnym płynem.

– Ja... Chcę wyjechać. Ale jest coś... Wiem, że ciągle jest mnóstwo pracy i wieloma rzeczami trzeba się zająć, ale...

Obrzuca mnie spojrzeniem, którym mogłaby przewiercić kamień.

– No, wyduś to z siebie – komenderuje.

– Chcę zobaczyć ocean.

Z całych sił pragnę spojrzeć ponad Wielkim Murem, zobaczyć, co się za nim kryje. Chcę dotrzeć do granicy naszego maleńkiego skrawka świata i wspiąć się na wybudowany przez arystokratów mur. Chcę ujrzyć to, czego nikt od stuleci nie oglądał.

Chłodne oczy Sil miękną. Rozumie mnie.

– Zrób, co musisz zrobić – oznajmia, poklepując mnie po ramieniu,

a potem wraca do stołu Luciena.

Grzebiemy zmarłych na trawniku otaczającym Dom Aukcyjny, Paladynki jednak zostają złożone oddzielnie, w cieniu niewielkiej kępy drzew.

Dwadzieścia pięć dziewcząt. Indi, Olive, mała Rosie Kelting... Ginger również nie przeżyła. Kiedy zasypujemy ich groby, ziemię po raz ostatni porastają kwiaty, inne dla każdej z poległych. Widzę cytrynowożółte kwiaty Indi splatające się z ciemnozielonymi, należącymi do Olive.

– Chcę zobaczyć ocean – mówię do Raven.

Przyjaciółka szczerzy zęby w uśmiechu.

– Ja też – oznajmia. – Pójdziemy wszyscy razem.

– Wszyscy? – pytam, zaskoczona.

Raven wskazuje wzrokiem Asha i Garneta, którzy stoją kawałek dalej i patrzą na naszą małą ceremonię z pełnego szacunku dystansu. Potem moja przyjaciółka dramatycznie wzdycha.

– Jeśli wybierzemy się bez nich i tak za nami poleżą – zauważa, obejmując mnie ramieniem. – Więc kiedy chcesz wyruszyć?

Nim jesteśmy gotowi, mija kolejny dzień.

Spodziewam się, że Hazel i Ochre również do nas dołączą, że pragną odwiedzić Bagno i nasz dom, ale ku mojemu zaskoczeniu, żadne z nich nie ma na razie zamiaru ruszać się z Klejnotu.

– Nie mogę tam wrócić – oznajmia kategorycznie Hazel. – Teraz wszystko jest inne i... Tutaj coś znaczą. Nie mogę wrócić do Bagna, jakby nic się nie zmieniło, bo tak nie jest. Ja też się zmieniłam.

– Właśnie – zgadza się z nią Ochre. – Poza tym Sprzysiężenie mnie potrzebuje.

Uparty, szepce głos Luciena.

To rodzinne, myślę.

– Dobrze – mówię, nie chcąc się z nimi kłócić. Teraz mogą sami o sobie decydować.

– Uważajcie na siebie – prosi Sienna.

– I nie róbcie żadnych głupot – przestrzega Sil. – W mieście nadal

jest niebezpiecznie, w niższych Kręgach cały czas toczą się walki.

– Na twoim miejscu bym się tak nie martwił, Sil – oznajmia radośnie Garnet i klepie Sil w plecy. – Nie wiesz, że jest z nami najpotężniejsza Paladynka w historii?

– Raczej druga w kolejności – prycha Sil i wszyscy wybuchamy śmiechem.

Opuszczamy Klejnot przez południowy odcinek muru, ten nieopodal Domu Aukcyjnego. Przejście przez Bank zajmuje nam niemal cały dzień. Krąg upadł raczej szybko po klęsce arystokracji, jednak i tak wszędzie wokół widać ślady zniszczeń. Wiele sklepów zostało ograbionych i podpalonych.

Kiedy dochodzimy do kolejnego muru, Garnet patrzy na mnie pytająco.

– Dasz radę zrobić przejście?

– Oczywiście, że da radę – odpowiada Ash, a ja uśmiecham się szeroko.

Łączę się z Ziemią i z radością przyjmuję uczucie bycia częścią czegoś nieskończenie trwałego i wiekowego. Wyczuwam kamienie, z których zbudowano ten mur i witam się z nimi niczym ze starymi przyjaciółmi. Kiedy zaczynają pękać, po brzegi wypełnia mnie energia. Ta ściana nie jest nawet w połowie tak gruba jak mur otaczający Klejnot. Tworzę tylko wąski przesmyk, przejście na tyle szerokie, byśmy byli w stanie się przez nie przecisnąć.

Po drugiej stronie czekają na nas ruiny. Być może wszystko jest tak zniszczone, bo w Dymie wybuchło więcej ładunków. Fabryki zostały zrównane z ziemią, a na ulicach leżą ciała. Słyszeć też odgłosy walki.

Gdy stajemy pod murem odgradzającym Dym od Farmy, oddycham z ulgą. Z początku Farma zdaje się nietknięta przemocą, ale potem mijamy pierwsze spalone gospodarstwo i widzę wokół jałowe, pokryte warstwą popiołu pola. Podróż przez ten Krąg zajmuje nam kilka dni.

Przed murem na Bagno stajemy późno w nocy. Stopy mam poobcierane i bolą mnie plecy, gdy jednak sięgam ku Ziemi, czuję, że wracają mi siły. Mur jest ścianą czerni na tle nieba, nie muszę go jednak widzieć, by go obalić. Jest zbyt ciemno, by kontynuować podróż,

rozbijamy więc obóz w jego cieniu.

Budzę się o świcie. Powietrze jest chłodne, a w moich włosach, niczym diamenty, skrzą się krople rosy. Spoglądam na wschód, na szaroperłowy pas nieba, który jaśnieje z każdą chwilą. Wreszcie pojawia się pierwsze muśnięcie oranżu podkreślone delikatnymi maźnięciami różu i złota. Na niebie rozgrywa się spektakl kolorów, gdy natura wita nowy dzień.

Zawsze uwielbiałam wschody słońca. Jest w nich coś niosącego nadzieję.

Po szybkim śniadaniu wyruszamy w drogę. Obydwie z Raven postanawiamy, że odwiedzimy nasze rodziny w drodze powrotnej. Boję się, że gdybym ujrzała mamę teraz, mogłabym nie mieć dość sił, by choć na chwilę ją zostawić.

Na początku Bagno wydaje się zupełnie opuszczone. A potem dociera do mnie, że większość robotników jest zapewne w innych Kręgach. Widzę osoby starsze oraz dzieci z młodymi matkami. Albo same dzieci. Wielki Mur majaczy w oddali i zdaje się wcale nie przybliżać.

Aż wreszcie mijamy ostatnie z lepianek. Przed nami rozciąga się połać wyschniętej, spękanej ziemi, nad którą góruje Wielki Mur. Jest większy, niż sobie wyobrażałam, większy od wszystkich pozostałych murów w tym mieście, i wiem, że nigdy nie byłabym w stanie sama go zburzyć.

Z każdym naszym krokiem Wielki Mur rośnie. Na pustkowiu wieje porywisty wiatr, który rzuca nam w twarz drobny pył i ziemi. Idziemy i idziemy, a mur staje się coraz wyższy i wyższy. Kiedy wreszcie stajemy u jego stóp, od spoglądania w górę boli mnie szyja.

Obracam się do współtowarzyszy.

– Nie damy rady go zburzyć.

Garnet ma oczy jak spodki, Ash zaś wygląda na lekko oszołomionego.

– Jest... taki...

– Wielki – kończy Raven.

Słowo „wielki” nie do końca oddaje jego ogrom. Zbudowano go z ciężkich, szarych i brązowych kamieni, z których część pokryła się

mchem. Raven wyciąga dłoń, przesuwa palcami po powierzchni muru i ze świstem wciąga powietrze.

– Tędy – rzuca i zrywa się do biegu. Garnet pędzi za nią. Po chwili dołączam do nich z Ashem.

Czegokolwiek szuka Raven, przez kolejne pół godziny tego nie znajduje.

– Tutaj! – wykrzykuje wreszcie triumfalnie, pokazując coś, co mnie wydaje się po prostu kolejnym odcinkiem gargantuicznej ściany.

Po chwili dostrzegam jednak cień rzucany przez wyryte w kamiennej płaszczyźnie schody. Prowadzą wysoko, tak straszliwie wysoko. Aż kręci mi się w głowie. Ale... Muszę to zobaczyć.

Na początku schody są szerokie i gładkie, im jednak wyżej się wspinamy, tym węższe się stają. Mniej więcej w połowie drogi moje łydki zdają się być w agonalnym stanie i męczą mnie bolesne skurcze w boku. Kiedy spoglądam w dół, jestem bardziej przerażona niż w kanałach, kiedy to wspinałyśmy się z Raven po zardzewiałej drabinie, bardziej niż wtedy, kiedy stałam na szczycie złotej iglicy Domu Aukcyjnego i razem ze Sienną posyłałam w niebo flarę. Kiedy od szczytu dzieli nas około ćwierć początkowej odległości, wszystko w dole zamienia się w miniaturki. Miniaturowe chałupy, miniaturowe drzewa. Widzę stąd całe Bagno, aż po odgradzający je od Farmy mur.

– Jak długo... oni... to budowali – dyszy Ash.

– Dwadzieścia pięć lat – odpowiada Garnet.

Raven rzuca mu zaskoczone spojrzenie.

– No co? – wzdycha Garnet. – Myślisz, że dało się żyć pod jednym dachem z moją matką i nie wiedzieć? Uwielbia... – milknie i odkasłuje. – Uwielbiała powtarzać, że to nasza rodzina zbudowała ten mur. Zbudowała, jasne... Może i go sfinansowała, ale niech mnie szlag trafi, jeśli bodaj jeden członek Domu Jeziora kiedykolwiek dotknął kamienia czy cegły.

– Cóż, teraz dotyka – kwituje Raven.

Garnet patrzy na swoje dłonie, jakby nigdy wcześniej ich nie widział.

– Tak – mruczy. – Pewnie masz rację. – Wzrusza ramionami. – Właściwie to nie ma już żadnego Domu Jeziora. Więc chyba jestem, cóż,

nikim.

– Nie życzę sobie więcej słuchać takich bzdur – warczy Raven. – Nie po tym, jak tyle poświęciłeś. Nie po tym, ile zrobiłeś.

– Moglibyśmy iść dalej? – pyta Ash. Opiera się mocno o ścianę, a jego skóra ma dziwnie szarawy odcień.

– Nie musiałeś tego robić – mówię, kiedy kontynuujemy wspinaczkę. Każdy kolejny krok sprawia, że mięśnie moich nóg płoną.

– Owszem, musiałem – odpowiada Ash przez zaciśnięte zęby. – Tak samo jak ty chcę na własne oczy zobaczyć, co jest za murem.

– Nie miałam pojęcia, że boisz się wysokości.

Ash parska zdyszczanym śmiechem.

– Ja też nie. A zresztą to nie jest jakaś tam wysokość. Do licha, czuję się, jakbyśmy się wspinali wprost do nieba.

Kiedy wreszcie stajemy na szczycie, naprawdę mam wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w jakimś innym świecie. Mur okazuje się mieć przynajmniej sześć metrów grubości, a jego szczyt pokrywają chropawe kamienie. Wieje tu porywisty wiatr, w jego smagnięciach jest jednak coś, co kojarzy mi się z ruchliwymi małymi paluszkami, które muskają mnie i poszczypują, jakby chciały stwierdzić, kim jestem. Drżąc z oczekiwania, podchodzę do drugiej krawędzi.

I jest tam. Ocean. Wygląda dokładnie jak ten, który widziałyśmy z klifu. Raven wydaje zduszony okrzyk i chwyta mnie za rękę.

Jest szary, jest niebieski i jest nieskończony. O pasmo plaży, setki metrów niżej, rozbijają się białogrzywe fale. Wielki Mur ciągnie się aż po horyzont i przez kilka chwil naprawdę łatwo mi uwierzyć w to, że ta wyspa jest jedynym suchym lądem na tym bezkresnym oceanie. Że poza nią istnieje tylko woda.

A potem dostrzegam statki.

Ich kadłuby gniją, maszty są połamane, a żagle zwisają w strzępach, pożarte przez wodę, wiatr i czas. Ale istnieją. Jest ich jakiś tuzin, spoczywają w zatoczce nieopodal Muru. Być może arystokraci zatrzymali je z sentymentu. A może po prostu o nich zapomnieli. Minęło w końcu tak wiele czasu... To nieistotne. Liczy się tylko to, że te statki tu są. A to oznacza, że arystokracja przyłynęła tu z jakiegoś innego lądu, dokładnie tak, jak mówiła księga Sil.

– Wcześniej widziałem statki tylko w książkach – mówi Garnet z odcieniem zachwyty w głosie. Ash usiadł na kamieniach i wbija wzrok ocean, jakby nie mógł się na niego napatrzeć. Siadam obok.

– Nigdy nie sądziłem, że to zobaczę – mówi.

– Ja też nie.

– Ale przecież ty widziałaś.

– Ale nie w ten sposób.

– To niesamowite – odzywa się Raven. Garnet obejmuje ją ramieniem w talii i całuje delikatnie w czoło.

Słonawa woń wypełnia moje nozdrza, ostra i słodka zarazem. Ryk fal miesza się z wyciem wiatru, jednak słyszę coś jeszcze, coś, co może być pieśnią w dziwnym języku, którego nie znam. Ten głos sprawia, że rośnie mi serce, a jednocześnie zasmuca mnie.

Odbieramy im tę wyspę, myślę, zastanawiając się, czy duchy Paladynek mogą mnie usłyszeć, czy rozumieją, co chcę im przekazać. Dla was. Dla nas.

Pieśń staje się głośniejsza, a potem stapia się z wiatrem. Jest umierającym echem rasy, która nieomal wyginęła.

Ale nie wyginęła. Przetrwała.

Siedzimy na Wielkim Murze i patrzymy, jak słońce zanurza się w oceanie i znika za linią horyzontu. Zaciśnięta na mojej dłoni ręka Asha jest ciepła. Czuję się taka... Taka kompletna. Spełniona. Rebelia, arystokracja, samo miasto, wszystko to wydaje się bardzo odległe. Są tu tylko ciemniejące niebo, pieszczota wiatru i stłumiony pomruk oceanu. Spoglądam po moich przyjaciołach i myślę o tym, kim kiedyś byliśmy i jak daleko zaszliśmy.

Znów jestem Violet Lasting.

Jestem w domu.

PODZIĘKOWANIA

Wprost nie mogę uwierzyć, że skończyłam tę serię. Nie udałoby mi się bez pomocy wielu niesamowitych ludzi.

Dziękuję Karen Chaplin, mojej cudownej redaktorce, za jej pasję, mądrość i ogromną wiarę we mnie. Dzięki twojemu przewodnictwu ta historia stała się lepsza, niż mogłabym przypuszczać, i będę ci wdzięczna na wieki za to, jak bardzo dbałaś o mnie, o mój świat i moich bohaterów.

Charlie Olsen, dziękuję ci za cierpliwe słuchanie mnie, za ochronę, bycie championem i za wiarę we mnie nawet wtedy, gdy mnie jej brakowało. Przytrzymam ci wszystkie drzwi.

Dziękuję wszystkim w HarperTeen, a zwłaszcza Rosemary Brosnan, Olivii Russo i Olivii Swomley – jesteście wspaniałe i cieszę się, że znalazłam się w tak dobrych rękach. Wielkie uściski dla Heather Daugherty, Erin Fitzsimmons i dla grafików za kolejną precudowną okładkę.

Ogromnie dziękuję wszystkim w Walker Books, zwłaszcza Gill Evans i Emily Damesick za ich ogromną wydawniczą wiedzę, a także Jack Noel za piękną brytyjską okładkę.

Dziękuję Lyndsey Blessing za bycie mistrzem w dziedzinie sprzedaży zagranicznej i wszystkim w InkWell Management za ich wiedzę i wsparcie. Philippie Milnes-Smith dziękuję za wspaniałą opiekę nad Violet.

Jess Verdi, nawet nie chcę myśleć o tym, jak miałabym przetrwać pisanie tej serii bez ciebie. Byłaś ze mną przy każdym słowie, przy każdym okrzyku frustracji, przy każdym objawieniu. Dziękuję, że zawsze powtarzałaś mi, żebym parła naprzód, i wspierałaś mnie, gdy czułam, że dłużej nie mogę. Kocham cię szalenie. Moonstone.

Dziękuję moim wspaniałym recenzentkom – Caeli Carter, Alyson Gerber i Corey Ann Haydu – jesteście cudowne! Dzięki za waszą mądrość i zapał.

W mojej podróży wspierało mnie wielu fantastycznych przyjaciół – Matthew Kelly, Erica Henegen, Jill Santopolo, Lindsay Ribar, Alison

Cherry, Mindy Raf, Rory Sheridan, Jonathan Levy, Tori Healy, Maura Smith, Mike Hanna, Melissa Kavonic, Ali Imperato, Carly Petrone, Shilpa Ahluwalia, Nina Ibanez, Marissa Wolf i Jared Wilder. Dziękuję wam! Cenię waszą przyjaźń bardziej, niż przypuszczacie. Chciałabym każde z was obdarować pałacem.

Moja rodzina jest dla mnie od lat nieustającym wsparciem. Dziękuję zarówno Ewingsom, jak i McLellansom – Jean i Dave’owi, Donowi i Sandy, Timowi, Sadie i Reedowi, Craigowi i Vicki, Samowi i Sophie, Jennifer, Jonathanowi, Marthcie i Mike’owi. Ściskam mocno Kristen i Molly. I jak zawsze, specjalne podziękowania dla Bena, Leah, Otto i Bei.

Ogromnie dziękuję moim rodzicom, którzy codziennie przypominają mi o sile marzeń. Dziękuję, że we mnie wierzycie, że mi ufacie i że pomogliście mi stać się osobą, którą jestem.

I dziękuję również Faetrze. Chciałabym, żebyś mogła zobaczyć swoje imię na stronie z dedykacją. Chciałabym, żebyś mogła zobaczyć, jak ta historia rozrosła się od tych kilku rozdziałów, które wysłałam ci e-mailem, do trzech prawdziwych książek. Ale, jak to powiedział E. E. Cummings: „I carry your heart with me (I carry it in my heart)”. Na zawsze zostaniesz w moim sercu.

